

SIECI

WYWIAD

PIOTR SEMKA
W SZCZEREJ ROZMOWIE:
„TEGO SIĘ NIE DA ZAPOMNIEĆ”



TYLKO U NAS

**SMOLEŃSK. WIDZIELIŚMY,
JAK AMERYKANIE PRACUJĄ
PRZY DRUGIM TUPOLEWIE**

DODATEK

**PEŁEN PAS JI:
GIGANCI NAUKI.PL**



**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 41 (463) 2021

11–17 października 2021

CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

SIECI

RAPORT Z GRANICY

**„JEST CIĘŻKO,
A JESTEŚMY OPLUWANI”
— MÓWIA NAM
STRAŻNICY
GRANICZNI**

TYLKO U NAS

CHOROBA JAK WYROK. JUŻ SIĘ NIE BOJĘ

EUROPOSEŁ PiS, BYŁY SZEF MSZ
WITOLD WASZCZYKOWSKI

MÓWI NAM O SWOJEJ WALCE O ŻYCIE I PROSI:
DBAJCIE O POLSKĘ!

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269106



Najlepsi wracają do gry



Dekoder polsat box | 4K

Wybierz ofertę TV od 30 zł/mies.
z nowym dekodern 4K
i dobieraj pakiety sportowe

polsat box 

Wybierz swoje wszystko

TV satelitarna TV kablowa IPTV

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekodern. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Oferta ważna na dzień 4.10.2021 r. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.

Polska nie będzie „prawną kolonią”

Werdykt Trybunału Konstytucyjnego, który orzekł o wyższości polskiej konstytucji nad prawem unijnym (lub „prawem unijnym”, bo często są to po prostu wyssane z palca nadinterpretacje) w sferze reformy wymiaru sprawiedliwości, to werdykt jedyny możliwy. Werdykt, który w istocie podjąłby każdy suwerenny trybunał konstytucyjny lub sąd najwyższy każdego z państw członkowskich, gdyby stanął pod ścianą. A Polska pod ścianą stała. Jak mówił kilka tygodni temu w głośnym wywiadzie dla naszego tygodnika europoseł Jacek Saryusz-Wolski, to na naszym kraju testuje się maszynę polityczną i prawną (znów: lub „prawną”), która ma finalnie radykalnie osłabić pozycję wszystkich państw członkowskich Unii Europejskiej, może poza tymi najsilniejszymi, sterującymi Unią. Próbuje się przy tym po prostu zdemolować nasz wymiar sprawiedliwości, skazując go na anarchię, podważając same podstawy systemu prawa.

Według unijnych polityków i posłusznych im sędziów mamy przyjąć do wiadomości, że w sferze wymiaru sprawiedliwości Polska nie może. Niezgodna z unijnymi standardami i rzekomo z unijnym prawem okazuje się Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego, a więc nieśmiała w sumie próba wprowadzania jakiejkolwiek odpowiedzialności sędziów. Parę dni temu dowiedzieliśmy się, że sędziego nie wolno przenieść wbrew jego woli do innego sądu! Ma pracować tam, gdzie chce, w przeciwnym razie można ogłosić koniec demokracji. Pamiętajmy: przenoszenie sędziów to nie żadna reforma PiS, to praktyka stosowana od dekad. Okazuje się, że i tego nie wolno. Sędzia ma mieć status niemalże boski.

Zwróćmy uwagę: TSUE – będący polityczno-sądowym narzędziem Komisji Europejskiej, a właściwie tej jej części, która sprawuje realną władzę – buduje w Polsce prawdziwą sędziokrację. To sędziowie domykają przecież większość

procesów decyzyjnych. To oni są faktyczną koroną systemu władzy. Teraz mają być – jako grupa, jako „kasta” właśnie – wyjęci poza sprawczość państwa polskiego, wystawieni poza jego ramy. Będziemy mogli sobie głosować do woli i w dowolny sposób, ale nic nie będziemy mogli zmienić. Nawet jeśli przyjmujemy ustawy, zostaną obalone przez sędziów, których decyzji obalić nie będzie można.

Atak na reformę wymiaru sprawiedliwości jest więc atakiem na podstawowe uprawnienia Polaków do kształtowania swojej przyszłości zgodnie z przyjętymi procedurami. Jeśli nie zdołamy powstrzymać tego procesu, nasza suwerenność, nasze podstawowe prawa demokratyczne staną się fikcją. Tu naprawdę nie chodzi o sędziów, tu chodzi o wszystkich Polaków.

Polska się broni. Walczy z bezprawiem, walczy z kłamstwem, walczy z przemocą polityczną. Musi dopowiadać to, co wcześniej nie było dopowiedziane. I nie ulega szantażowi, który słyszy, a który sprowadza się do propozycji: zrezygnujcie z suwerenności, a my wypłacimy wam pieniądze, które wcześniej wynegocjowaliście i które wam się należą. Szantaż mało „europejski”, a do tego prawdopodobnie też zakłamany; gdyby TK nie podjął decyzji w sprawie wyższości konstytucji lub gdyby premier wycofał swój wniosek, znalazłaby się inna pałka.

Unijne ingerencje w nasz wymiar sprawiedliwości były bezprawne, brutalne, pozatraktatowe. Dlatego dobrze, że kierowany przez prezes Julię Przyłębską Trybunał Konstytucyjny nie dał się zastraszyć, że podjął decyzję zarówno zupełnie oczywistą, jak i fundamentalną. Podjął decyzję, która nie jest wymierzona w polskie członkostwo w Unii, ale która ma to członkostwo chronić. Jeśli niektórym politykom udałoby się przeobrazić Polskę na „prawną kolonię”, wcześniej czy później ta relacja uległaby bardzo gwałtownemu zerwaniu. A tak, broniąc podpisanych traktatów i uznanych reguł, mamy szansę na stosowne w tej sytuacji partnerstwo.

Jacek Karnowski



26

**Białoruskie
scenariusze**
Marek Budzisz



40

**Wojna i pokój
Czarzastego**
Stanisław Janicki

61-
-68

Dodatek specjalny
Giganci nauki PL

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 ZBIRY 2021**
Krzysztof Feusette
- 9 POPULISTA DONALD TUSK**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 KLIMAKTERIUM REDIVIVUS!**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 NIKE W KIERACIE**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA AGNIESZKI OSZCZYK**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 ZAŚWIADCZENIE O SZCZEPNIENIU.
JAKIM PRAWEM?**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 PASTERZ PUTIN I JEGO OWIECZKI**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM**
rozmawia Dorota Łosiewicz

KRAJ

- 24 JEST CIĘŻKO, A JESTEŚMY
OPLUWANI**
Wojciech Biedroń
- 26 BIAŁORUSKIE SCENARIUSZE**
Marek Budzisz
- 30 KTO CHCE KRZYWDY DZIECI?**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 32 OSTATNIA PROSTA**
Marek Pyza
- 37 SZLABAN NA ZIEMKIEWICZA**
Konrad Kołodziejcki
- 40 WOJNA I POKÓJ CZARZASTEGO**
Stanisław Janicki
- 43 Z PIOTREM SEMKĄ**
rozmawia Michał Karnowski

ŚWIAT

- 50 WSZYSCY PRZECIW ORBÁNOWI,
CZYLI O PRAWYBORACH
WĘGERSKIEJ OPOZYCJI**
Jan Rokita
- 53 MĘCZENSTWO PETERA
BOGHOSSIANA**
Aleksandra Rybińska
- 56 CENA MIGRACJI**
Marcin Tulicki

HISTORIA

- 58 SZTANDARY BITWY POD LEPANTO**
Włodzimierz Rędzioch

SIECI KULTURY

- 69 KRĘCI MNIE FILM**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 71 PISARZ KORZENNYCH KARAWAN**
Wojciech Stanisławski
- 72 Z MARIĄ STACHURSKĄ**
rozmawia Marcin Wikło
- 74 NAUKA, WIARA I KASZTANY**
Robert Tekieli
- 75 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 76 ADAMSKI POLECA**
Łukasz Adamski
- 78 ARTYZYM**
Krzysztof Logan Tomaszewski

GOSPODARKA

- 80 Z JANEM SARNOWSKIM**
rozmawia Maciej Wośko
- 84 Z ZOFIĄ PARYŁĄ**
rozmawia Maciej Wośko

NATURA DLA LUDZI

- 96 SEKRETY SUMA**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

- 98 MOJE SMAKI: RUKMINI IVER**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 99 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 100 JAK PIEKARSKA W SEJMIE**
Wojciech Reszczyński
- 101 ALE SMAŁEC**
Aleksander Nalaskowski
- 102 WYZNAWCY, IDEOLODZY I CENZORZY**
Jan Pospieszalski
- 103 SĘDZIOWSKIE DIAMENTY**
Jerzy Jachowicz
- 104 SZTABKA DO SZTABKI**
Ryszard Makowski
- 105 PRZED KONCERTEM**
Leszek Długosz
- 106 PRESJA BEZ SENSU**
Katarzyna Zybortowicz

Soki prosto
Z NATURE



TŁOCZONE PROSTO Z OWOCÓW, BEZ KONSERWANTÓW

stop.
cafe

Sygnalista nadaaje

🔊 Aktor Adam Ferency spotkał się z czytelnikami i wygłosił parę zdań refleksji – w stanie wskazującym na potężne zmęczenie. „Mnie się zdaje, żeby naprawdę nie głosować na Kaczyńskiego. Przepraszam, jeśli kogoś ranię. Nie głosujcie na Kaczyńskiego, błagam was. Nie wiem, na kogo trzeba głosować” – mówił Ferency. Zdania były nieskładne, momentami nielogiczne, ale linia była słuszną. Ciekawe, czy żegnając się z tym światem, aktorzy też pomstują na Kaczyńskiego?

🔊 Ferency mówił sporo o sobie, chyba szczerze: „Jestem smutnym facetem. Uważam, że życie jest złe, a ludzie są okropni. Ja nie wierzę w Boga, wiecie? No i co mam zrobić? Okropnie się czuję. Nie wierzę w Boga, w związku z tym myślę sobie: jak tu żyć? Powiem wam tak: można żyć bez wiary w Boga, tak żeby kochać ludzi. Ale ja nie lubię ludzi. Wiecie?”. Cóż, to akurat wiadać. W sumie można tylko współczuć. Głęboko nieszczęśliwy człowiek. Obiecujemy wsparcie modlitewne.

🔊 Dlaczego Ferency przyszedł w stanie wskazującym na spożycie na spotkanie z publicznością? Z winy PiS. „Mam naturalny odruch wstydu, ale też pewnego zniechęcenia. Od sześciu lat paskudnie mi się żyje w Polsce. Widzę coraz więcej rzeczy, które mnie przerażają, które żywo przypominają końcówkę XVIII w. Nie jestem pewien, czy jacyś obcy nie mieszaą w tym naszym polskim tygł, czy może jesteśmy aż tak nierozumni? Jest mi z tym złe, próbuję jakoś sobie radzić. Nie zawsze się udaje”. Skutek był widoczny na rzeczonym spotkaniu. Też widzimy wiele elemen-

tów z XVIII w. Zapraszamy do nas, razem możemy uratować Polskę.

🔊 Ulicami Warszawy przeszedł marsz ateistów. Uczestnicy „uczčili” pamięć swojego nieoficjalnego patrona Kazimierza Łyszczyńskiego, który został ścięty ponad 330 lat temu za „Traktat o nieistnieniu Boga”. Przemówił **Robert Biedroń**: „Nie ma Boga. Jeżeli dzisiaj mnie zetniecie, to wygra głupota i zacofanie. A w Polsce wygra Kaczyński. I głupota, i zacofanie odnieś sukces. Boga nie ma, nie skazujcie, nie ścinajcie, bo wygra Kaczyński”. Cóż, spokojnie. To Biedroniowe wołanie o łaskę, o trochę miłości i ciepła, i prawdy, Bóg na pewno usłyszał.

🔊 Posłanka Lewicy Karolina Pawliczak w „Strefie starcia” w TVP Info zadała uczestnikom programu naprawdę głębokie pytanie: „Jesteśmy ciągle informowani, jak doskonale działają nasze służby. To dlaczego boicie się terrorystów? Dlaczego boicie się ludzi, którzy mogą nam zagrozić, skoro tak doskonale działają służby?”. Logiki tej pani odmówić nie można, ale jednocześnie nie można jej powierzyć nawet najmniejszego kawałeczka odpowiedzialności za Polskę.

🔊 „Gazeta Wyborcza” twardo gra na przełamanie granicy i nie brzydzi się żadnym źródłem informacji. Publikuje np. niepotwierdzone komunikaty reżimu Łukaszenki, tytułując je tak: „Kolejna szokująca informacja białoruskiej straży granicznej. Syryjczycy mieli być pobici przez polskich pograniczników”. Sprawa wywołała burzę, a najeźniej rzecz ujął jeden z internautów: „Już

🔊
Publicysta
i pisarz
Rafał
Ziemkiewicz
został
zatrzymany
na brytyjskiej
granicy, a później
zawrócony do
kraju. „Pańskie
postępowanie
i poglądy są
sprzeczne z brytyjskimi
wartościami”
– powiedzieli mu
brytyjczy urzędnicy. Cóż,
to naprawdę idzie w stronę
komuny, lewicowo-liberalny
główny nurt coraz śmielej
sięga po twarde represje. To nie
jest drobniaczek, niewpuszczenie
do Wielkiej Brytanii to bardzo
dotkliwa sankcja. U nas wolność
jeszcze trwa, ale musimy mieć
świadomość, że wisi na bardzo
cienkim włosku. Wystarczy jedno
wyborcze zwycięstwo lewicy i będzie
gorzej niż na Wyspach. Dużo gorzej.

wiemy, co byście pisali w 1939 roku”. Inna sprawa, że o żadnym zaskoczeniu mowy być nie może. Jak ciągłość, to ciągłość.

Agnieszka Holland o Donaldzie Tusku: „Kiedy rozmawiałam z nim w roku 2013 i 2014, mówiłam, że największą szkodę, którą robi jego partia, to jest, że wytwarza pustkę aksjologiczną, w którą się może wlać każde gówno. Bo natura nie znosi pustki i może się wlać również gówno nacjonalistyczno-faszystowskie. I tak się stało. W momencie, kiedy przychodzi ktoś z bardzo mocną narracją, to ludzie jak za szczyrołapem za nim idą. W momencie, kiedy przychodzi ktoś, kto głosi naukę Chrystusa, to być może ludzie za nim pójdą”. Z tym że poza piarowskimi sztuczkami Tusk nie miał niczego istotnego do powiedzenia, rzeczywiście nie sposób się nie zgodzić.

O Tusku nie ma najlepszej opinii także Marcin Meller, który broniąc symetryzmu, tak punktuje lidera PO: „Spójrzmy na naszą antypisowską banieczkę: Donald jedzie na Kościół. Donald krzyczy, że Kościół za...uje Polskę. Spadają sondaże. Donald kreśli krzyżem chleb i troszczy się o katolików. I ten sam Donald pohukuje, że symetryści to największe zło. To jest polityka, spoko, ale Wy, drodzy symetryści, nie jesteście politykami i możecie z tego kpić”. Gdyby wierzyli w Tuska, pewnie by zacisnęli zęby. Ale już nie wierzą.

Rafał Trzaskowski w TVN24: „Zabezpieczenie granic może się dokonać bez stanu wyjątkowego. Ja się pytam, co PiS robił przez te ostatnie lata? [...] PiS nic nie robił, próbuje tylko szczuć na wszystkich migrantów i uchodźców”. Zdaniem prezydenta Warszawy „można się było spodziewać, że będzie problem na wschodniej granicy”. Jakim cudem człowiek, który przewiduje przyszłość, nie wygrał wyborów prezydenckich?

„Łukaszenka dostaje od polskich władz obrazki. On przywozi czerwony krzyż i UNHCR i pokazuje ludzi, którzy ich zdaniem stoją po polskiej stronie bez wody” – mówił w Polsat News Szymon Hołownia, stawiając przy okazji taką oto tezę: „To, co dzisiaj robi rząd PiS, to najlepszy prezent dla Łukaszenki. Jeżeli byłby sklep z polskimi rządami, to Łukaszenka kupiłby sobie właśnie taki”. My sądzimy, że kupiłby sobie raczej Hołownię. Któż nie chciałby walczyć z pajdokracją?

„Nad Warszawą wisi widmo cięć, podwyżek i zwolnień” – pisze na łamach stołecznego dodatku „Gazeta Wyborcza”, cytując warszawskiego skarbnika oraz prezydenta miasta, którzy



całą winą za zaistniałą sytuację obarczają... Polski Ład. Jak czytamy: „Koronawirus oraz reformy podatkowe rządu PiS spowodowały, że po raz pierwszy w historii dochody bieżące Warszawy przestały pokrywać bieżące wydatki. Kolejne reformy PiS ten kryzys jeszcze pogłębią”. Trzaskowski, człowiek o ponoć wielkich talentach menedżerskich, na pewno jakoś ogarnie sytuację.

Magdalena Środa ostro o Grzegorze Braunie i Januszu Korwin-Mikkem, liderach tzw. ruchu antyszczepionkowego: „Im więcej głupot wypowiedzą, im więcej jadu wysączą, tym zadowolenie zgromadzonej gawiedzi większe... Można mieć tylko nadzieję, że gawiedź niezaszczepiona wymrze rychło... (bo Korwin i Braun z pewnością zaszczerpieni, muszą przecież przeżyć kolejne pokolenia kretynów, a te odradzają się w Polsce jak grzyby po deszczu...)”. Cóż zrobić? Nawet Polska Ludowa niezdolna rozwiązać tego problemu, miała przecież w ręku naprawdę wszystkie narzędzia.

Podczas gali wręczenia nagrody Nike w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego nie obyło się bez politycznych akcentów. Uczestnicy prezentowali do kamer TVN kartki z hasłem „Gdzie są dzieci z Michałowa?”. Pojawiły się również wulgaryzmy i oskarżenia pod adresem rządzących. „Mam nadzieję, że to faszystowskie gówno, w którym się aktualnie znajdujemy, niedługo się skończy” – grzmiał podczas swojego przemówienia jeden z nominowanych, Grzegorz Piątek, autor książki „Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944–1949”. W tym momencie prowadzący galę poprosili o brawa. Spełnia się przepowiednia, że faszystami XXI w. będą antyfaszyści. A z panem pisarzem (nie znamy) nie sposób się nie zgodzić: to, co go otacza, brzydko pachnie.

À propos Michałowa. W sieci pojawiło się nagranie, na którym uchwyciono moment, gdy fotoreporterzy polskich mediów rzucają dzieciom słodycze, by – jak można sądzić – złapać lepsze ujęcie. OKO.press twierdzi, że to manipulacja: „Prawica wykorzystała fakt, że kobieta, obserwująca przywiezioną grupę irackich Kurdów na placu strażnicy w Michałowie, chciała im pomóc, przede wszystkim nakarmić kilkuletnie dzieci. Cudzoziemcy zostali właśnie przywiezieni z lasu nad granicą. Byli głodni i spragnieni, ale nie chcieli wejść do budynku strażnicy. A ponieważ funkcjonariusze zabronili im podchodzenia do ogrodzenia, rzuciła im słodycze na środek placu”. Cały kontekst sceny wskazuje, że było jednak inaczej. Mediom lewicowym – tak jak kiedyś „Prawdzie” – nie można wierzyć w żadnej sprawie.

Kapituła I Konkursu Osobowości Przygranicznych (KOP) ma nieprzyjemność przedstawić nominowanych do nagrody ZBIR Roku – przyznawanej, aby jeszcze pełniej docenić tych, którzy są w stanie zrobić wszystko i z każdym, byle jeszcze raz, i jeszcze mnogo, mnogo raz, przekraczać granicę. Godności, patriotyzmu, zdrowego rozsądku. Nagroda ZBIR Roku, nazwana tak od skrótu nazwy głównego sponsora konkursu, czyli Związku Białorusi i Rosji, może się stać w przyszłości ozdobą niejednej kariery, a także znakiem rozpoznawczym laureata. Oto lista nominowanych:

Sterczewski Franio – za to, że potrafił upaść i wstać. Za jedną z najbardziej spektakularnych w dziejach polskiej psychiatrii prób ataku na powagę Sejmu RP. Walkę, bez dwóch zdań, wygraną.

Joński Dariusz, Szczerba Michał – za umiejętne ściągnięcie na granicę blamażu przedstawicieli totalnych mediów, którzy za pizzę daliby się pokrajać. Za pierwszą przygraniczną szopkę, dzięki której świat dowiedział się, że polska demokracja może do Sejmu skierować naprawdę każdego.

Jachira Klaudia – za próbę przekonania Irakijczyków, iż islam nikogo nie wyklucza, więc przejdzie (przez granicę) nawet wieprzowina. Za wypromowanie swego wizerunku za granicą, na razie tylko na Białorusi, ale być może docenią panią „Yahirę” (jak mówią na nią w Mińsku), także filmowcy rosyjscy. Mogliby ją uwzględnić w obsadzie drugiej części filmu fabularnego, który kręca obecnie na orbicie okołoziemskiej.

Frasyniuk Władysław – za nazwanie „śmieciami” funkcjonariuszy polskiej straży granicznej. Za udowodnienie, że Polak, nawet z godną kartą w życiorysie, to wcale nie musi brzmieć dumnie. Bo to może być Frasyński.

Waleśa Bolesław Lech – za akcję poparcia dla słów Frasyniuka i udowodnienie, że pokojowy Nobel nie trafił byle gdzie, ale znacznie dalej.

Gdula Maciej – za przywiązanie do rodzinnych tradycji (ojciec szkolił politycznych funkcjonariuszy SB), a także próbę bicia rekordu świata w czasie nielegalnego przebywania za granicą. Według posła (ech, ten immunitet...) wystarczyłoby mu 10 minut, by przekazać imigrantom z Białorusi stosowne konserwy i lizaki. Przyjmując sam wrześnieowy bilans ponad 8 tys. prób przekroczenia granicy „na krzywego Gdule”, należy przyjać, iż na jedną osobę pan poseł potrzebowałby zaledwie 0,07 s. Ojciec, na szczęście, taki szybki nie był.

Duet egzotyczny Hartwich (Iwona) & Piekarska (Katarzyna) – za rzadko spotykaną w parlamentach na zachód od Uralu umiejętność nieutrzymania nerwów na wodzy w trakcie wystąpienia publicznego. Dla pani Iwonki specjalne podziękowania (choć nie żywa gotówka, bo to nie jest konkurs polityczny) za frazę, iż Polska „powinna najpierw przyjać” wszystkich, a dopiero potem ich „sprawdzać”. Także za poruszający lament, gdy owo „sprawdzanie” przyniosło efekt przewidywany przez wszystkich, poza panią Iwonką.

ZBIRY 2021



KRZYSZTOF FEUSETTE

Kanał telewizyjny CNN – za przeprowadzenie wywiadu, kontrwywiadu i rekontrwywiadu z prezydentem Łukaszenką. Za nieprzejednanie w zaniechaniu trudnych pytań, za powstrzymanie się od oceny wyroków białoruskich sądów na białoruskich opozycjonistów, za wyznaczanie trendów nowej, lepszej wolności słowa.

Kanał informacyjny TVN24 – za utrzymanie, a nawet poszerzenie zakresu nadawania na Polskę „całej »Prawdy«, całą dobę”. Za emisję wywiadu CNN z Łukaszenką, który może uprowadził pasażerski samolot i trzyma w więzieniach opozycjonistów, ale przecież mówi o Polsce bardzo dobrze. W sensie: słusznie. Że jest zła. Bo przecież taka jest, prawda? Izwińcie, „Prawda”?

Nowa Lewica – za ewangelizację i wskazanie, że każde istnienie jest ważne, że każde dziecko ma prawo do życia i szczęścia.

Brygady Onetu – za refleks przy płocie, za poruszające (nie mylić z „poruszone”, bo to przecież zawodowcy) zdjęcia dzieci z ośrodka dla uchodźców, gdy rzucono im czekoladę, by podeszły bliżej. Za niewzruszony smak. Za gruntowne dementi, iż to nie ludzie mediów rzucali słodczyce,

niestety, spóźnione o kilka godzin (koleżanka zdążyła sygnąć na Twitterze, że jednak rzucali). Brawo, wy.

Holland Agnieszka – za odkrycie analogii między murem berlińskim a granicą białorusko-polską i tym samym utwierdzenie migrantów w ich przekonaniu, iż zaraz za Usnarzem jest stolica Niemiec. Za porównanie polskiej straży granicznej do enerdowskich snajperów strzelających w plecy swoich rodaków, gdy tamci uciekali przed komunizmem, w którym tak dobrze Hollandowie kiedyś się odnajdywali. Za nieprzejednaną niechęć do wszystkiego, co polskie.

Trzeźwi uczestnicy gali wręczenia nagrody Nike (bo „na bombie” to żadne bohaterstwo), którzy trzymali karteczki: „Gdzie są dzieci z Michałowa”, choć w Michałowie aborcji nikt nie przeprowadza. Za demonstrację wpisanej w żywot literata III RP – niezależności od poglądów organizatora imprezy. Nominacja specjalna – dla gwiazdy pisarstwa, której nazwisko nic państwu nie powie, a która to potrafiła, na poczekaniu, ułożyć frazę o „faszystowskim g...wnie”. Ale przede wszystkim za stosowny do tematu wąsik. Ach, ten wąsik.

„Gazeta Wyborcza” – za artykuł (Łukaszenko)filii w Białymstoku, w całości przeklejony z mediów należących do białoruskiej władzy. Haroszaja rabota, ot, wsjo.

Wroński Paweł („GW”) – za przekonywanie, iż „GW” ma prawo powielać narrację Łukaszenki, bo jej przyjaciel i dziennikarz Andrzej Poczobut został przez Łukaszenkę uwięziony pół roku temu. Za przypomnienie, czym jest „czerskość” umysłu.

Kapituła nagrody ZBIR Roku pragnie na koniec przypomnieć słowa Andrzeja Poczobuta: „Wolę siedzieć w więzieniu, niż szmacić się przed reżimem”.

Czy są pytania?

Zdażyliśmy się już przyzwyczaić do tego, że polskie liberalne i lewicowe „elity” są w sporze z dużą częścią społeczeństwa, które złośliwie i na przekór wybiera tym „elitom” nie tę władzę, której one sobie życzą.

Z tego powodu „elity” co jakiś czas chętnie wykrzykują wyborcom, którzy źle wybierają, co o nich myślą. I tak np. pisarka Manuela Gretkowska pieszczotliwie mówiła o „pisowcach”, że są „brzydki brzydota tępoty, nie rysów twarzy”. Inna literatka, Maria Nurowska, twierdziła, że owi zniechęceni „pisowcy” mają „ordynarne ryje”, a ich „baby nie są lepsze”. W bardziej dosadnej i mniej literackiej formie dialog świata tolerancyjnego i otwartego ze zniechęconym, tępym zaściankiem zaczyna się wreszcie sprowadzać do prostego: „Wyp...”

Bywa jednak tak, że niezadowolenie z wyborców przybiera formę postulatów, by politycy społeczeństwo sobie wychowali. Co prawda do tej pory się nie udało, ale niektórzy nie tracą nadziei. Na łamach „Gazety Wyborczej” publicysta Jacek Żakowski apeluje do polityków: „Bądźcie liderami, przekonujcie wyborców, gdy się mylą!”. Dalej pyta i odpowiada zarazem: „Czy demokracja polega na tym, że liderzy robią to, czego chcą wyborcy? Nie, to jest populizm, a nie demokracja” – wyrokuje Żakowski. I rozwija swoją myśl: „Polacy nie chcą nielegalnych migrantów” – mówi Grzegorz Schetyna w rozmowie z Konradem Piaseckim. Dlatego – jego zdaniem – trzeba pilnować granicy »twardo«, tylko bardziej skutecznie i inteligentnie, np. wciągając Frontex. Czy demokracja polega właśnie na tym, że demokratyczni liderzy robią to, czego chcą wyborcy? Polacy np. nie chcą płacić podatków. Czy Grzegorz Schetyna zamierza je »twardo« zlikwidować? Polacy nie chcą benzyny po 6 zł, a polityczni liderzy jej nie zabraniają. Jak sobie z tym radzą? Tłumacz! Populiści obiecują i czasem robią to, czego chce większość lub ważna mniejszość. Demokraci obiecują i robią to, co możliwe, bezpieczne i dobre dla ogółu. Rządzą, gdy umieją przekonać większość do swoich propozycji. Trafność programu i zdolność przekonywania, a nie łatwość przyklejania

Populista Donald Tusk

Według definicji Żakowskiego lider PO to skrajny populistą.

Nie tylko robi to, czego jego zdaniem chciałaby część wyborców, ale jeszcze robi to wbrew sobie

się do różnych większości decyduje o jakości demokratycznych liderów” – oświeca nas Żakowski.

Z demokracją jest taki problem – i wiem, że to może martwić liberalne „elity” – iż źródłem władzy jest wola większości obywateli. Przynajmniej tych, którzy chodzą do urny. Jeżeli dana partia lub ugrupowanie nie rozumie, jaka jest wola głosującej większości, wówczas wybory przegrywa, a komentatorzy mówią, że dana partia lub lider nie mają słuchu społecznego lub go stracili. Jeżeli Polacy nie chcieliby płacić podatków, a jakaś partia znalazłaby sposób na ich obniżenie, np. uszczelniając niekontrolowany wypływ środków z budżetu, wówczas części wyborców mogłoby się to spodobać. Gdyby Polakom nie podobały się ceny paliw, to mogliby zmienić władzę, o której nabraliby przekonania, że za te ceny paliw odpowiada. Jeśli zdecydowana większość Polaków uważa, że swoje bezpieczeństwo

w ochronie granic, a jakaś partia obiecuje tę ochronę, wówczas wygrywa wybory. Gdyby owa partia powiedziała ludzom: „Nie obchodzi nas, że chcecie, byśmy chronili granice, nie zrobimy tego, pragniemy przekonać was, że się mylicie”, to prawdopodobnie wówczas ta partia przegrałaby wybory. Sprawa wydaje się dość prosta, a jednak niektórym sprawia trudność pojęcie tego mechanizmu.

Swoją drogą ciekawe, jak słowa o populizmie i przyklejaniu się do większości interpretuje Donald Tusk, który jeszcze w lipcu chciał zdejmować krzyże w miejscach publicznych, a gdy z sondaży wyniknęło, że wojna z katolikami się nie opłaca, chętnie całował chleb i wyznał: „Ja ciągle pamiętam, jak moja mama znak krzyża nakreślała na bochenku, zanim go rozkroiła”. Lider PO tłumaczył się później z tego gestu i słów: „Mam konkretne zadanie i oczywiście aspirację: żeby wygrać wybory, muszę przekonać Polaków w tych mniejszych miastach”.

Według definicji Żakowskiego Tusk to skrajny populistą. Nie tylko robi to, czego jego zdaniem chciałaby część wyborców, ale jeszcze robi to wbrew sobie. To, że redaktor Żakowski jest rozczarowany wyborcami PiS, to nawet rozumie, ale że aż tak rozczarował go Donald Tusk? To pewne zaskoczenie.

Dorota Łosiewicz



Bylý prezydent Gruzji Micheil Saakaszwili, który został aresztowany w Batumi po tym, jak niespodziewanie wrócił do kraju z emigracji, raczej nie wydzie zbyt szybko z więzienia. Saakaszwili miał nadzieję, że jego powrót w przeddzień wyborów lokalnych osłabi notowania rządzącej partii Gruzińskie Marzenie i doprowadzi do politycznych zmian w kraju. Na razie się jednak na to nie zanosi.

Gruzińskie Marzenie, które objęło rządy w 2012 r., zostało rok temu oskarżone przez opozycję o sfałszowanie wyborów parlamentarnych, które przeprowadzono na jesieni 2020 r. Ostatecznie część opozycji zgodziła się uznać wyniki tych wyborów dopiero po zawarciu porozumienia podpisanego pod egidą szefa Rady Europej-

 **Gruzja**



Powrót Saakaszwilego

skiej Charlesa Michela, w którym uzgodniono, że jeśli partia rządząca uzyska w tegorocznych wyborach lokalnych mniej niż 43 proc. głosów, zostaną rozpisane przedterminowe wybory krajowe. I choć Gruzińskie Marzenie wycofało się ostatecznie z tego porozumienia, to złożonej w kwietniu obietnicy i tak nie musiałoby wypełniać. W przeprowadzonych tydzień temu wyborach lokalnych rządząca partia zdobyła ponad 46 proc. głosów, a zatem przekroczyła uzgodniony próg. Główna siła opozycyjna – założony przez Saakaszwilego Zjednoczony Ruch Narodowy – zajęła drugie miejsce z wynikiem 30 proc. Na trzecim miejscu, otrzymując blisko 8 proc., uplasowała się formacja Za Gruzję byłego premiera Giorgiego Gacharii, która skupia rozłamowców z Gruzińskiego Marzenia i – jak niektórzy podejrzewają – jest sprytnym projektem politycznym mającym przyciągać niezadowolonych wyborców i tym samym zapobiegać przejmowaniu ich przez formację związaną z Saakaszwilim.

Były prezydent został tymczasem osadzony w jednoosobowej celi aresztu w Rustawi, gdzie ogłosił głodówkę protestacyjną. Saakaszwili, który stracił władzę w 2013 r. i wkrótce potem wyjechał na Ukrainę, jest oskarżony o cztery przestępstwa. W dwóch sprawach o nadużycie władzy zapadł już prawomocny wyrok łącznie sześciu lat więzienia i co najmniej tyle może spędzić za kratkami Saakaszwili. Co najmniej tyle, bo dwie pozostałe sprawy są w toku, a byłemu prezydentowi może zostać jeszcze postawiony zarzut nielegalnego przekroczenia granicy.

Zwolennicy Saakaszwilego ze Zjednoczonego Ruchu Narodowego uważają swojego dawnego lidera za więźnia politycznego i zapowiadają walkę o jego uwolnienie. Wyjaśnień domagają się też władze Ukrainy, której Saakaszwili jest obywatelem (obywatelstwo Gruzji zostało mu odebrane przez obecne władze w Tbilisi). Niewielkie są jednak szanse na wyjście Saakaszwilego na wolność. Obecna prezydent Gruzji Salome Zurbiszwili już zapowiedziała, że nie zamierza skorzystać wobec Saakaszwilego z prawa łaski. Być może po pewnym czasie polityk zostanie deportowany na Ukrainę, ale tylko pod warunkiem – jak uważają komentatorzy – że rządzące Gruzińskie Marzenie poczuje się wystarczająco silne, aby nie obawiać się byłego prezydenta i jego partii.

Konrad Kolodziejski

Wcieniu pandemii władze Chin przygotowują się do przyszłorocznych zimowych igrzysk olimpijskich. Jednak to nie covid spędza sen z powiek komunistycznej władzy. Znowu podnoszą się bowiem głosy (jak podczas poprzedniej olimpiady w Chinach w 2008 r.), aby zbojkotować nadchodzące igrzyska, jeżeli władze w Pekinie nie zagwarantują dziennikarzom swobodnej pracy i nie zmienią swojej polityki wobec prześladowanych mniejszości.

Władze w Pekinie pamiętają, że po masakrze na placu Tiananmen w 1989 r. przepadła Chinom szansa na organizację olimpiady w 2000 r. Wiedzą też, że wpuszczenie na olimpiadę organizacji międzynarodowych i zapewnienie mediom wolności słowa jest jednym z wymogów Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. W 2008 r. korespondenci zagraniczni dostali swobodę pracy. Jednak tylko na czas igrzysk. Władze wydzielili także miejsca, gdzie można było protestować, ale żeby skorzystać z tego prawa, należało mieć specjalne pozwo-

Powtórka z Moskwy?

 **Chiny**

lenie, co ułatwiło wyłuskanie potencjalnej opozycji. Do zagranicznych mediów dołała się wtedy przebieć historia dwóch 70-letnich kobiet, które próbowały otrzymać zgodę na protest przeciwko polityce mieszkaniowej, co ostatecznie – już po olimpiadzie – skończyło się dla nich obozem pracy. Ostra reakcja międzynarodowa wymusiła na Pekinie wycofanie się z tego wyroku.

W kwietniu amerykańskie media ujawniły, że rząd USA zastanawia się nad bojkotem igrzysk w Pekinie w 2022 r., m.in. z powodu prześladowania muzułmańskich Ujgurów w Sinciang. Chińczycy odwrócili wtedy kota ogonem, twierdząc, że amerykańskie groźby są niedopuszczalną formą „upolityczniania” igrzysk. Jednak wraz z zaostrzeniem relacji na linii Pekin–Waszyngton temat bojkotu powraca. Byłby to prestiżowy cios dla Chin, podobny do tego, który w 1980 r. uderzył w Moskwę, zwłaszcza że do Amerykanów mogliby się przyłączyć ich niektórzy sojusznicy.

Lukasz Adamski



Spór o historię

Algieria

Algieria oskarżyła Francję o uprawianie w przeszłości „polityki ludobójstwa”, mieszanie się w jej wewnętrzne sprawy i po raz drugi w ciągu ostatnich 18 miesięcy odwołała swojego ambasadora w Paryżu. Pojawiły się też doniesienia o zamknięciu algierskiej przestrzeni powietrznej dla francuskich samolotów wojskowych, co może być dolegliwe, zwłaszcza w obliczu wojskowego zaangażowania Francji w misje wojskowe w Sahelu.

Zaostrzenie relacji to bezpośredni skutek spotkania Emmanuela Macrona z młodzieżą z obydwu krajów, które paradoksalnie miało służyć pojednaniu i zasypywaniu starych podziałów historycznych. W spotkaniu wzięli również udział potomkowie tzw. harki, czyli Algierczyków, którzy w czasach kolonialnych współpracowali z władzami francuskimi i po uzyskaniu niepodległości przez Algierię wyemigrowali do Francji. Podczas obiadu w Pałacu Elizejskim, na który zaproszono też wnuka Alego Boumendjela, algierskiego adwokata zamordowanego przez francuskich śledczych w więzieniu w 1957 r., oraz prawnuka gen. Raoula Salana, który dowodził francuskimi wojskami w Algierii, Macron stwierdził, że władze w Algierze „piszą historię na nowo” oraz że opierają relacje między obydwojoma krajami „nie na prawdzie historycznej, ale na nienawiści do Francji”.

Te słowa, podobnie jak powątpiewanie Macrona, czy Algierczycy przed uzyskaniem niepodległości w 1962 r. byli narodem, wywołały wściekłość w Algierze. Tym bardziej że strona algierska spodziewała się czegoś zupełnie innego. Władze tego państwa od lat wywierają presję na Francję, aby ta oficjalnie przeprosiła za zbrodnie okresu kolonialnego, zwłaszcza za brutalne stłumienie przez oddziały Legii Cudzoziemskiej niepodległościowego powstania w 1945 r. Miało wówczas zginąć, według różnych danych, nawet 40 tys. Algierczyków. Jeszcze bardziej krwawa była toczona w latach 1954–1962 wojna o niepodległość, która pociągnęła za sobą od 500 tys. do nawet miliona ofiar.

Kryzys we wzajemnych relacjach jest jednak nie tylko wynikiem sporów historycznych. Paryż znacząco zmniejszył liczbę wiz pobytowych wydawanych przybyłym z Algierii (podobne restrykcje czekają też przyjeżdżających z Maroka i w nieco mniejszym stopniu z Tunezji). Władze w Algierze określiły antyimigracyjne decyzje Paryża mianem „niefortunnych”, komentatorzy zaś są zdania, że ich główną przyczyną jest rozkręcająca się właśnie kampania wyborcza przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi we Francji i chęć przypodobania się przez Macrona antyimigranckiej części wyborców. Kontrowersje w kwestiach historycznych zostały, jak można przypuszczać, wykorzystane przez władze Algierii, aby pokazać swoje stanowisko wobec polityki Paryża.

Marek Budzisz

Abdullah i Pandora

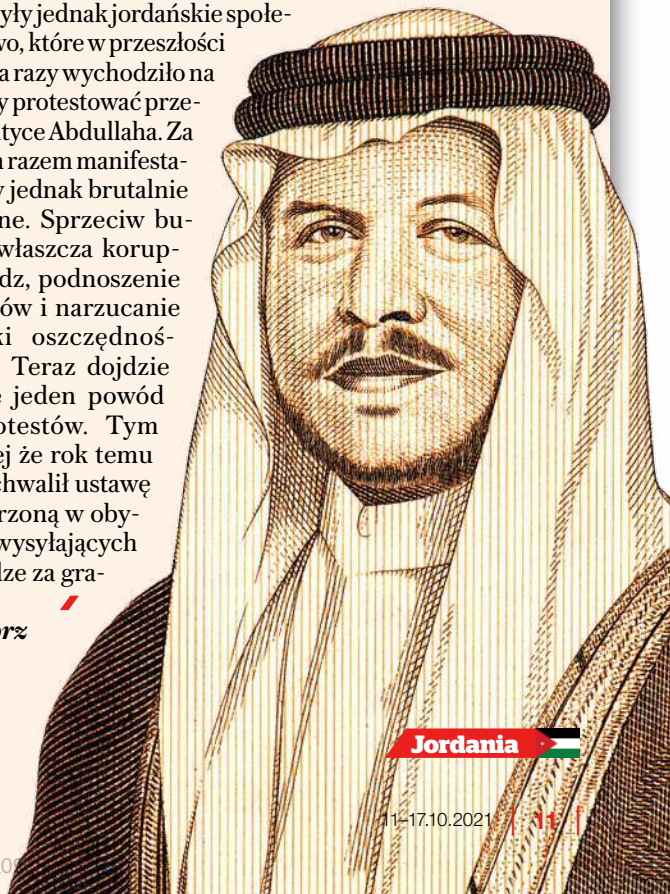
Miedzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych opublikowało wyniki swego dochodzenia na temat szefów rządów, wysokich urzędników oraz celebrytów z ponad 100 krajów świata, którzy przez lata zgromadzili duże sumy pieniędzy lub aktywa dzięki inwestycjom i firmom w rajach podatkowych. Wśród bohaterów sprawy Pandora Papers znajduje się 35 obecnych lub byłych przywódców państw, m.in. Tony Blair, Andrej Babiś czy Wołodimir Zelenki.

Jest wśród nich także król Jordanii Abdullah II ibn Al-Husajn, który od czasu objęcia władzy w 1999 r. kupił 15 luksusowych rezydencji w USA i Wielkiej Brytanii. Co najmniej cztery apartamenty nabył on w latach 2012–2016 w Georgetown na przedmieściach Waszyngtonu w czasie, gdy na tamtejszym uniwersytecie studiował jego syn, książę Husajn. Drogie nieruchomości służyły więc podczas nauki następcy tronu. Prócz tego monarcha zakupił m.in. za pośrednictwem spółki z Wysp Dziewiczych siedmiopokojową willę w dzielnicy multimilionerów w Malibu za 29 mln euro.

Powyższe rewelacje mogą wpłynąć na stosunek państw zachodnich do rządów Abdullaha. Ponieważ Jordania jest państwem stabilizującym sytuację na Bliskim Wschodzie, może liczyć na wsparcie Waszyngtonu i Londynu. Do tej pory obie stolice były bardzo szczodre dla Ammanu. Władze Wielkiej Brytanii przygotowały np. w 2019 r. pięcioletni plan pomocy dla królestwa Haszymidów o wartości ok. 760 mln euro. Afera Pandora Papers może sprawić, że Amerykanie i Anglicy przestaną być tak hojni dla pazernej monarchii.

Ujawnione informacje jeszcze bardziej wzburzyły jednak jordańskie społeczeństwo, które w przeszłości już kilka razy wychodziło na ulice, by protestować przeciw polityce Abdullaha. Za każdym razem manifestacje były jednak brutalnie tłumione. Sprzeciw budziła zwłaszcza korupcja władz, podnoszenie podatków i narzucanie polityki oszczędnościowej. Teraz dojdzie jeszcze jeden powód do protestów. Tym bardziej że rok temu rząd uchwalił ustawę wymierzoną w obywateli wysyłających pieniądze za granicę.

Grzegorz Górny



Jordania



**Jan
Pietrzak**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Klimakterium redivivus!

Jak dobrze, że mamy w Polsce babie lato, porę roku nieuwzględnianą w kalendarzu, ale sympatyczną. Przez wiele lat występowała ze mną Danuta Rinn. Bez względu na to, czy był mroźny luty, czy upalny lipiec, zapowiadałem ją tak: „Uwaga! Nadciąga babie lato, czyli pani Rinn”. Tu rozlegały się rześiste brawa, bo miała ona duży kredyt sympatii u publiczności i stosowny repertuar pt. „Polska baba” (panów Korcza i Brylla), a także dużo wcześniejsze śpiewanki na damskie tematy. Np. mocno satyryczną: „Niestety, to nie ty, bierz bety z kozety i zjeżdżaj mi z oczu, bo jak cię pogonię, to z kapci wyskoczysz, gamoniu”. W latach 70. takie sformułowania uchodziły za zbyt ostre, toteż piosenka, wywołująca w kabarecie owację, nie przebiła się przez media. Obecne poczynania niektórych reprezentantek płci nadobnej, zwłaszcza słownictwo ze slumsów, sprawiają, że pomijam ten trend. By jednak nie zniechęcić się zupełnie do kobiecego wątku, napisałem coś w rodzaju kontynuacji dawnego przeboju o prawdziwych mężczy-

znach. Jeżeli będziecie mieć szczęście, możecie usłyszeć, jak interesująco interpretuje te rozważania w utworze „Mężczyzna musi!” pani Dominika Świątek (muzyka Mariusza Dubrawskiego). Zbieżność nazwisk z inną panią Świątek nie jest przypadkowa – też talent!

Wracając do wspomnień – przed laty kilka koleżanek z mojego kabaretu dało się uwieść Elżbiecie Jodłowskiej, tworzącej grupę estradową Klimakterium. Projekt okazał się sukcesem. Skład personalny ulegał różnym przemianom, ale pomysł, by problematyką menopauzy zajmowały się same zainteresowane, okazał się brawurowy. Piszę o tym, ponieważ pojawiło się w przestrzeni publicznej duże grono pań nieodparcie śmiesznych, które bez aktorskiego przygotowania potrafią rozbawiać publiczność w Sejmie, na manifestacjach... itp. Siłą naturalszczyków jest nieokiełznana przebojowość, brak hamulców. Toteż wyczyniają rzeczy spoza jakichkolwiek kanonów. Szaleńcza kreacja pani Piekarskiej na mównicę sejmowej, wysoki pani Środy, absurdy pani Spurek są nie do odtworzenia przez profesjonalne aktorki. Koleżanki, wyrosła wam konkurencja. „Klimakterium redivivus”.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Z dala od kobiet

Wielka afera w USA. Nie, nie chodzi o źle zorganizowaną akcję wycofania z Afganistanu. Ani o podejrzaną interesy syna prezydenta Joego Bidena. Problem jest poważniejszy: trzy kobiece drużyny piłkarskie (chodzi oczywiście o naszego eurolatynoskiego soccera, a nie o football amerykański) zwolniły swoich trenerów. Jednego oskarżono o molestowanie seksualne, dwaj pozostali byli chyba po prostu niegrzeczni (po angielsku mobbing). Jak na razie twardych dowodów nie ma, jest słowo przeciwko słowu, nie można więc wykluczać, że piłkarki usiłują się zemścić na koleśkach, którzy wymagali od nich wysiłku.

No, ale rzymska zasada *praesumptio innocentiae* w czasach #MeToo nie obowiązuje. Myślę, że trenerzy mężczyźni teraz zastanowią się trzykrotnie, zanim przyjmą posadę szkoleniowca dziewcząt. To niebezpieczne zajęcie, nawet Remigiusz Mróz w swojej najnowszej powieści zauważył ten problem.

Piszę o tym nie dlatego, żeby się oburzać na obecne standardy, ale pro domo sua. Otóż trzon mojego zespołu redakcyjnego w Tygodniku TVP stanowią panie. I – nic nie ujmując panom, z którymi współpracuję – uważam je za świetnych redaktorów, są uważne, solidne, a przede wszystkim cechuje je zdrowy rozsądek. Oczywiście niektóre z nich miewają swoje humory, ale zdarza się im to ze sporą regularnością, więc wy-

starczy to przewidzieć i wtedy schodzić im z oczu.

Już się boję, czy tego, co powyżej napisałem, jakiś nadgorliwiec (nadgorliwczyni?) nie uzna za molesting, mobbing i seksizm. No bo w obecnych czasach już komplementy wobec kobiet są podejrzone, podobnie jak podawanie im płaszcza czy przepuszczanie w drzwiach. Kiedyś zdarzyło mi się w krótkim komentarzyku opisać seksowne policjantki, które zatrzymały mnie na ulicy i wypisały mandat – do dziś jestem za to oskarżany o seksizm.

Cóż, żyjemy w czasach, gdy niegrzeczne jest zwracanie się do kobiety zdrobniałym imieniem, bo to nazbyt protekcyjne. Żyjemy w czasach, gdy do kodeksów karnych wpisuje się przepisy regulujące kwestie najbardziej intymne: przyzwolenie na stosunek miłosny będzie musiało być wyrażone w sposób dosłowny, stwierdzeniem kobiety „tak, zgadzam się” (niebawem być może także na piśmie), nie wystarczy romantyczna atmosfera, trzymanie się za rękę, pocałunki, a na koniec potakujące erotyczne mruczenie...

Świat się kończy. Chyba bezpieczniej jest dziś trzymać się z dala od kobiet.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nike w kieracie

Na gali przyznania nagrody Nike, „najważniejszej polskiej nagrody literackiej”, jak oświadczył wiceprezident UW, który gościł imprezę, na temat literatury nie padło zdanie. Przepraszam: Jacek Podsiadło zadeklarował, że kartki z politycznymi sloganami, którymi wymachiwali uczestnicy, są od niej ważniejsze. To samo na zakończenie potwierdził najwybitniejszy znawca literatury w Polsce, Adam Michnik.

Gala poświęcona była walce z „faszystowskim gównem”, czyli PiS, które, jak można było wnosić z demonstracji uczestników, zabija dzieci w Usnarzu.

Do tłumu należy mówić obrazami, które wywołują emocje. Wiedzieli to już sofisci, a ich współcześni marketingowi dziedzice usiłują uczynić z tego naukę. Dziś jako tłum traktowana jest każda zbiorowość. Metoda ta stosowana jest przez sprzedawców i polityków, przez korporacje i wszelkiego typu organizacje. To z powodu umiejętnego jej użytkowania wojna wietnamska, militarnie wygrana przez USA, skończyła się ich wycofaniem. Obrazy okropieństw wojny, które w sposób sprzeczny z rozumem przypisywane były wyłącznie Amerykanom, tworzyła komunistyczna propaganda, ale podchwytywane były i rozpowszechniane przez wszelkiego typu kontrkulturowców: rewolucjonistów, pacyfistów, anarchistów marzących o obaleniu demokratycznego porządku w Stanach. Mniej lub bardziej świadomie po ich stronie opowiadały się ośrodki opiniotwórcze, zmieniając nastawienie opinii publicznej, w efekcie czego amerykańskie władze pozostawiły Półwysep Indochiński komunistom. Ofiary, które był tego efektem i wielokrotnie przekraczały wojenne, nie interesowały już lewicowych moralistów.

W latach 30. w Europie komuniści zderzyli się z faszystami i nazistami w walce o to, kto zapanuje po rewolucji, która zburzy zachodni porządek. Jego obrońców bolszewicy wpisali do faszystowskiego obozu. Ta niezwykła sztuczka udała się dzięki wpływowi w ośrodkach opiniotwórczych. Wydawało się, że po lekcji komunizmu zrealizowanego nie sposób do niej powrócić. Jednak 30 lat po jego upadku odnajdujemy się w podobnej sytuacji, a każdy przeciwnik dominującej ideologii stygmatyzowany jest jako faszysta. Front ludowy przemianowany został na liberalny, różni się jednak niewiele. Proletariat zastąpiony został przez LGBT albo muzułmańskich imigrantów, ale, tak jak poprzednio, walka o wyzwolenie dać ma całą władzę w ręce jej rzecznikom. Mentalnością nie odbiegają oni od swoich bolszewickich antenatów. W Polsce fotografie wietnamskich ofiar



zastąpiły zdjęcia imigrantów, a cynizm polityczny, który każe sprzymierzać się z Putinem i Łukaszenką i literalnie powtarzać ich przekaz – „Wyborcza” enuncjacje białoruskiego dyktatora cytuje jako „wiarygodne źródła” – prezentowany jest jako hipermoralizm.

Gala Nike była tego doskonałym przykładem. Każdy kolejny finalista, stymulowany przez prowadzącą, miał obowiązek zadeklarować swój polityczny manifest i nawet towarzyszący imprezie muzykant wyrażał przerażenie tym, że rząd broni polskich granic przed prowokacjami Łukaszenki.

Wygrała książka, która akcentuje odrębność (niepolskość) Śląska. Unicestwienie wszelkich, a więc i narodowych tożsamości jest głównym zadaniem nowej ideologii. Mamy przecież wyzwoleń człowieka, a więc zredukować go do samotnego, bezbronnego istnienia, którym dowolnie mogą manipulować elity i które stanowi idealnego klienta potężnych korporacji. Uderzenie w naród i jego reprezentację, jaką jest państwo, staje się celem instytucji uniijnych pozbywających się w ten sposób niewygodnych przeciwników. Naród, którego dojrzewanie było przekraczaniem więzi plemiennych na rzecz wspólnoty obywatelskiej, ma ulec regresowi do słabych i umownych tożsamości regionalnych.

Nie wszędzie jednak. Niemcy, które w przeciwieństwie do Polski realnie zachowały landową strukturę, od lat 90. coraz bardziej wzmacniają narodową jedność.

Swoją drogą ci, którzy walczą przeciw „zamykaniu” się w jednoznacznych tożsamościach, kwestionując ich szeroki narodowy wariant, odwołują się do zdecydowanie bardziej partykularnego i wykluczającego regionalnego rodowodu. Ale o głębszą świadomość głoszonych idei trudno ich przecieź posądzać. Jedną z finalistek, plotąc o obowiązkowej wielokulturowości, rasistowsko mieszanej z wielorasowością, jako przykład wcielonej utopii przywoływała Andaluzję, w której, podobno idealnie współegzystowali muzułmanie, chrześcijanie i żydzi. Może nie wie, że muzułmanie podbili iberyjskie królestwo Wizygotów, a chrześcijańska rekonkwista trwała aż do usunięcia ich z Hiszpanii. To, że punktowo pojawiały się tam ciekawe synkretyczne zjawiska, nie zmienia rzeczywistości permanentnej wojny, którą wielokulturowość oferowała tamtej krainie.

Ale przecieź chodzi o to, aby j**** PiS.

Fot. Andrzej Wiktor



Walizka Agnieszki Oszczyk

dziennikarki, prezenterki, wokalistki i autorki programów o tematyce zdrowotnej

Znajomi, widząc mnie często z walizką, pytają, gdzie mieszkam, bo od lat ciągle jestem w podróży. Po studiach wokalnych wiodłam życie artystyczne w zawodzie muzyka, a to wiązało się z licznymi wyjazdami na koncerty. Potem, gdy zajęłam się pracą reportera telewizyjnego, każdego dnia trzeba było wyjechać z redakcji, by przeprowadzić wywiady, nagrać relację live czy zdobyć materiał filmowy. Obecnie zawodowo najczęściej kursuję między Trójmiastem a Warszawą. To moja stała trasa, na której rozkład jazdy PKP znam niemalże na pamięć. Prywatnie uwielbiam zwiedzanie i odkrywanie nowych miejsc, choć niektórzy się śmieją, że skoro jestem znad morza, to wakacje mam przez cały rok.

PLUSZOWE MASKOTKI

Kiedy podróżuję z dziećmi, taki kolorowy zestaw to część mojego bagażu. Komplet pokemonów przytulaków jeździ zawsze razem, a zabawa nimi odstresowuje i mamę, i dzieci.



BURSZTYNOWA BIŻUTERIA

Dziewczyna znad morza musi nosić bursztyn.

Swoją biżuterię kupuję na corocznych Targach Bursztynu w Gdańsku, dokąd przyjeżdżają miłośnicy złota Bałtyku z całego świata. Unikatowa żywica sprzed milionów lat w połączeniu z nowoczesnym designem daje niepowtarzalny efekt, którym zachwycają się kobiety na całym świecie.



KOSMETYKI DO MAKIJAŻU

Od kilkunastu lat za mój makijaż odpowiadają telewizyjne charakteryzatorki, sama też nauczyłam się robić profesjonalny make-up. Wybieram kosmetyki dobre jakościowo, bo oprócz upiększenia mają też pielęgnować skórę. Studyjny makijaż wykonuję niemalże codziennie i wiem, co dla mnie dobre.





KSIĄŻKA

Według statystyk większość z nas jest z czytaniem na bakier. Staram się nadrobić zaległości podczas podróży. W szkole nie znosiłam fizyki, a mimo to teraz czytam o kwarkach i leptonach – elementarnych cząstkach, z których składa się cała materia, jaka nas otacza. Chad Orzel w „Śniadaniu z Einsteinem” takich jak ja humanistów przenosi w świat nauk ścisłych i w przyjazny sposób tłumaczy m.in. zasady mechaniki kwantowej.



BUTELKA WODY

Podczas rozmów z lekarzami wielokrotnie słyszę, że za mało się nawadniamy, a przez to częściej chorujemy. Dlatego staram się zawsze mieć wodę przy sobie i popijać jak najczęściej. Dzięki butelce wielokrotnego użytku ograniczam zużywanie plastiku i dbam o środowisko.

SUSZARKA

To absolutny must have w mojej walizce. Te hotelowe są za słabe i często się psują. Kobiety o długich wysokoporowych włosach, jak moje, wiedzą, że to kłopot, kiedy umyjesz głowę i się zorientujesz, że nie masz czym jej wysuszyć.



KOLOROWE PASKI

Wożę je z sobą, bo pomagają, gdy telewizyjna sukienka okazuje się za szeroka lub gdy nie ma do czego przypiąć mikroportów. Wąski paseczek pełni zatem funkcję użytkową i ozdobną. A do tego pięknie podkreśla talię.



KREM DO TWARZY

Moja skóra często jest podrażniona i zmęczona studyjnym makijażem, sztucznym światłem i klimatyzacją. Mój krem do twarzy musi być odżywczy, łagodzący i wspomagać naturalną odbudowę. Uważam, że codzienne dbanie o skórę w dłuższej perspektywie się opłaca i lepiej tego nie zaniedbywać.

APARAT FOTOGRAFICZNY

Jestem fanem fotografowania i z podróży zawsze przywożę setki zdjęć. Nie byłabym sobą, gdybym nie uwieczniła miejsc, ludzi czy zdarzeń, jakich doświadczam. I choć widok turysty z aparatem, a nie ze smartfonem w dłoni jest coraz rzadszy, to jakość fotek wykonanych lustrzanką jest zupełnie inna.



PIÓRO KULKOWE

Nowocześniejsze niż tradycyjne ze stalówką i bardziej eleganckie niż długopis. Nieustannie gubię i pożyczam długopisy, a bez nich w pracy redakcyjnej ani rusz. Podczas programu na żywo często trzeba coś zanotować, szybko skrócić tekst czy zapisać nową informację. Zawsze bardziej elegancko wygląda w dłoni ładne pióro niż jednorazowe pisadło. Dlatego odkąd dostałam takie w prezencie, to je pilnuję i wożę z sobą.



BUTY SPORTOWE

Po pracy moje nogi chcą odpocząć i choć uwielbiam wysokie obcasy, to coraz częściej wybieram obuwie sportowe. To sprzyja długim spacerom i aktywności fizycznej, np. podczas służbowego wyjazdu, gdy obowiązki zawodowe już zostały wykonane.



PERFUMY

Flakon perfum zawsze warto mieć przy sobie. Te dobrze dobrane potrafią zadziałać jak aromaterapia. Jestem zapachowcem i uwielbiam, gdy ludzie ładnie pachną. Co ciekawe, osobiście czasem sięgam także po męskie perfumy, bo damskie są dla mnie za słodkie.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Nadjeżdżają abrams i ekoszynobus



Deputowani Parlamentu Europejskiego, jakby nie było o czym debatować, pod obrady wrzucili sprawę... prawa aborcyjnego w Teksasie. Europosłowie chcą w specjalnej rezolucji wezwać władze tego amerykańskiego stanu do uchycenia ustawy zakazującej aborcji po wykryciu bicia serca dziecka. W przygotowywanym dokumencie lewicowi europosłowie wzywają „rząd stanu Teksas do szybkiego uchycenia SB8, aby zapewnić bezpieczne, legalne, bezpłatne i dobrej jakości zabiegi aborcyjne oraz aby wszystkie kobiety i dziewczęta miały do nich łatwy dostęp”. W czasie debaty głos zabrał europoseł Solidarnej Polski Patryk Jaki: „To niesamowite, ale UE zajmowała się dziś prawem dzieci do życia od »czasu bicia serca« w Teksasie. Poziom ataku i głupoty lewicy w tej sprawie był nadzwyczajny”. Głupota to jedno, drugie to przeczenie samemu sobie. Odpowiednikiem takich „debat” w PE jest postawa lewicy w polskim Sejmie. Z jednej strony posłanka Katarzyna Piekarska wrzeszczy z mównicy sejmowej: „Gdzie są dzieci z Michałowa?!” a wtórują jej takie gwiazdy dziennikarstwa, jak Eliza Michalik czy posłowie Franek Sterczewski oraz Iwona Hartwich, a z drugiej – całe to towarzystwo domaga się bezkarnego mordowania nienarodzonych.

Tym razem idzie szybko. „Wszystko wskazuje na to, że pierwsze czołgi Abrams już w przyszłym roku trafią na wyposażenie Wojska Polskiego” – powiedział szef MON Mariusz Błaszczak po spotkaniu z sekretarzem obrony USA Lloydem J. Austinem. To chyba rekord, jeśli chodzi o czas liczony od oficjalnej deklaracji

zakupu do rozpoczęcia realizacji zamówienia. Krytycy wyliczają wady tej konstrukcji. Ma być to stosunkowo duża masa wozu (67 ton w wersji podstawowej i 72 tony w wersji w pełni wyposażonej z aktywnym systemem ochrony i pancerzem dodatkowym, a więc „na bojowo”) oraz bardzo duże zużycie paliwa, które może sięgać nawet 150 l nafty lotniczej na 10 km. Sceptycy wytykają również słabe hamulce – droga hamowania abramsów jest dłuższa niż leopardów mniej więcej trzy-, czterokrotnie. Reszta to ponoć same zalety (manewrowość, odporność i siła ognia). Pytanie zasadnicze – po co ciężkiemu czołgowi, jakim jest ta amerykańska maszyna, superhamulce? Nie po to ma mocny pancerz, żeby kierowca martwił się o zbyt długą drogę hamowania. Nie jest to w końcu pojazd, którym jeździ się po mieście od knajpy do knajpy.

W związku z planami wycofania silników Diesla, na brytyjskie tory mają być wprowadzone pociągi napędzane paliwem z ludzkich i zwierzęcych odchodów oraz odpadkami żywności. Wagon nazywa się BioUltra i będzie w stanie przewozić do 120 pasażerów przy maksymalnej prędkości 80 km/h. Będzie miał również właściwości antywirusowe, w tym lampy UV, miedziane powierzchnie i solidną wentylację (to chyba najważniejsze w całej tej konstrukcji). 20-metrowy ekoszynobus zamieni biometan w energię elektryczną, która będzie ładować akumulatory pociągu i napędzać jego silniki. Osiągi może są dalekie od rewelacji, ale za to z paliwem nie powinno być kłopotów. No chyba że bak ulegnie awarii i powstanie niekontrolowany wyciek.

Polska policja oficjalnie poinformowała, że podjęła współpracę z muzeum Polin w zakresie szkolenia na temat antysemityzmu. „W ramach projektu »Edukacja antydyskryminacyjna – przedsięwzięcia szkoleniowe dla policji«, w komendzie wojewódzkiej w Rzeszowie zorganizowano seminarium dla funkcjonariuszy z garnizonu podkarpackiego. Jest to ogólnopolski projekt komendy głównej i Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w Warszawie” – czytamy na oficjalnej stronie polskiej policji. Szkolenia odbywają się w całej Polsce. Np. 20 września w Komendzie Wojewódzkiej Policji Rzeszowie. Podczas szkolenia prelekcję wygłosili pracownicy z muzeum Polin. 4 października podobne spotkanie odbyło się w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Szczecinie. Tematami wykładu były m.in. kwestie związane z – jak czytamy w policyjnym komunikacie – „przejawami antysemityzmu, stopnia rozpowszechniania postaw antysemitycznych w polskim społeczeństwie, historycznych źródeł stereotypów i uprzedzeń wobec Żydów”. Powstaje pytanie, po co polskim policjantom specjalistyczna wiedza o antysemityzmie? Mając na względzie ostatnie wyczyny dyplomacji żydowskiej w wykonaniu jej szefa Ja'ira Lapida, należałoby raczej uczyć tamtejszych stróżów prawa, czym się przejawia i jak zwalczać antypolonizm w Izraelu. Ale jak już MSWiA poszło w tym kierunku, to proponuję naszym policjantom lekturę „wybitnych” współpracowników muzeum Polin Jana Grabowskiego i Barbary Engelking „Dalej jest noc”. Szczególnie poleciłbym wysłanie z palca passusy o działalności polskiej policji granatowej w czasie Holocaustu.

Andrzej Rafał Potocki

Zaświadczenie o szczepieniu. Jakim prawem?

Według specjalistów szczepienia przeciwko koronawirusowi ograniczają rozwój pandemii, a przede wszystkim jej śmiertelne żniwo. Potwierdzają to statystyki. Większość społeczeństwa w obawie przed chorobą i jej ciężkimi konsekwencjami decyduje się przyjąć szczepionkę. Część z nas powodowana jest nie tylko względami zdrowotnymi, ale także wolą uniknięcia obostrzeń, które obowiązują w niektórych państwach, skutecznie ograniczając swobodę przemieszczania się, dostęp do powszechnie uczęszczanych miejsc, np. centrów handlowych i restauracji, czy konieczność przestrzegania limitu osób w pomieszczeniach.

Praktyka niekiedy jednak zaskakuje. W ostatnich miesiącach zdarzyły się bowiem incydentalne przypadki odmawiania przez przedsiębiorców z branży beauty świadczenia usług osobom niezaszczepionym. Na pierwszy rzut oka opisane sytuacje wydają się kuriozalne, ale w świetle obowiązujących przepisów prawa niełatwo byłoby je podważyć. Przepis artykułu 138 zdanie drugie Kodeksu wykroczeń ustanawiający karę grzywny dla przedsiębiorcy za umyślną i nieuzasadnioną odmowę świadczenia usługi, do której jest obowiązany, utracił moc. Zgodnie z orzeczeniem TK z 2019 r. został on uznany za niezgodny z art. 2 konstytucji. Wyrok zapadł wskutek skargi wniesionej przez ministra sprawiedliwości, który podzielił argumentację pewnego łódzkiego drukarza broniącego swojego prawa do odmowy wydrukowania materiałów promocyjnych organizacji wspierającej mniejszości seksualne i został za to pociągnięty do odpowiedzialności przed sądem. Wydaje się zatem, że chroniąc swoje zdrowie i życie, należy się godzić także z możliwością odmowy świadczenia nam usług.

Warunkowanie świadczenia usług legitymowaniem się przez klientów zaświadczeniem o zaszczepieniu także budzi kontrowersje, choć wiadomo, że mogłoby sprzyjać powstrzymaniu rozwoju kolejnej fali pandemii. Przepisy rozporządzenia Rady Ministrów z 6 maja 2021 r. w sprawie ustanowienia określonych ograniczeń, nakazów i zakazów w związku z wystąpieniem stanu epidemii nie mogą stanowić podstawy do żądania przez podmioty zobowiązane do przestrzegania określonego tymi przepisami limitu osób udostępnienia informacji o zaszczepieniu przeciwko COVID-19. Informacje o zaszczepieniu to dane odnoszące się do zdrowia i stanowiące szczególną kategorię danych osobowych, o której mowa w art. 9 ust. 1 RODO. Przetwarzanie szczególnych kategorii danych jest dopuszczalne m.in. wówczas, gdy jest to niezbędne ze względów związanych z interesem publicznym w dziedzinie zdrowia publicznego, takich jak ochrona przed poważnymi transgranicznymi zagrożeniami zdrowotnymi lub zapewnienie wysokich standardów jakości i bezpieczeństwa opieki zdrowotnej oraz produktów leczniczych lub wyrobów medycznych, na podstawie prawa UE lub prawa państwa członkowskiego, które zawierają odpowiednie, konkretne środki ochrony praw i wolności osób,



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

których dane dotyczą, w szczególności tajemnicę zawodową (art. 9 ust. 2 lit. i RODO). Okazywanie dowodów potwierdzających zaszczepienie może się odbywać za zgodą usługobiorcy, która jest dobrowolna, świadoma i konkretna, złożona w formie jednoznacznego okazania woli i możliwa do odwołania w każdym czasie. Wyrażenie zgody powinno nastąpić z inicjatywy samej osoby zainteresowanej skorzystaniem z usług takiego podmiotu.

Oznacza to, że przedsiębiorca nie może wymagać od klientów zaświadczenia o zaszczepieniu. Trzeba jednak przyjąć, że w pewnych sytuacjach, dzieląc się informacją o zaszczepieniu i legitymując się potwierdzającym je kodem, ułatwimy funkcjonowanie sobie nawzajem.

Osoby zaszczepione mają co do zasady łatwiejszy dostęp do usług, a niezaszczepieni napotykają na ograniczenia. Przesłanką wprowadzenia przez ustawodawcę tych uwarunkowań i obowiązku ich respektowania przez obywateli jest ważne dobro w postaci zdrowia publicznego. To wartość, która w świetle przepisów Konstytucji RP umożliwia ograniczanie konstytucyjnych praw i wolności.

REKLAMA

"Złością czy miłością"
Elżbieta Stawińska i Paweł Fijałkowski
piątek, godz. 20.00

"Wychowywać, ale jak?"
Ewa Pietrzak
poniedziałek - piątek,
godz. 11.30 i 18.30

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

82/0921/F

Pasterz Putin i jego owieczki



**Samuel
Pereira**

W obronie granicy Polski i UE wsparcia udzielili już szefowie MSW innych krajów UE, Komisja Europejska i Frontex. Niezrażony tym obóz opozycji i jej mediów kroczy dalej ramię w ramię z białoruskim KGB ku politycznej i etnicznej przepaści. Zdrada czy głupota?

Kilka przykładów tylko z ostatniego tygodnia: jeży włos na głowie. Białoruskie służby wyprodukowały wrzutkę, że „polscy pogranicznicy pobili Syryjczyków”, co białostocka „Gazeta Wyborcza” podała jako „kolejną szokującą informację”. Autorem skandalicznej publikacji jest Maciej Chołodowski, który wcześniej zasłynął atakami na śp. Jana Szyszkę i łamaniem zakazów Lasów Państwowych, co nazywał realizacją „misji dziennikarskiej”. Jego kolega z centrali Paweł Wroński był święcie oburzony krytykowaniem „GW” za powielanie wrzutek wrogich służb. „To nasz dziennikarz Andrzej Poczobut siedzi w pierdlu na Białorusi” – ripostował. I wszystko jasne. Trzymają naszego kolegę w celi, więc możemy pomagać medialnie jego oprawcom w atakowaniu polskiego rządu.

Marcin Wyrwał z Onetu oskarża polskie władze o „odhumanizowanie” ludzi, co kojarzy mu się z tym, jak... Ukraińcy dehumanizowali Ruskich, a na jego nagraniu strażników granicznych nazywa się „sku...synami”. Na tym samym por-

talu czytelnikom wmawia się, że to zle „prorządowe media” jątrzą, pokazując kulisy powstawania publikowanych przez nich fotografii, bo może owszem na ich nagraniach widać, jak rzuca się dzieciom migrantów słodycze, ale to nie oni rzucali, a tylko tam przechodzili z aparatami i skorzystali z okazji. Politycy opozycji wymachują później tymi zdjęciami dzieci, które są przecież dla nich tylko narzędziem, środkiem do osiągnięcia celu. Emocje buzują, a OKO.press na Twitterze chwali się nagraniem reportera z „pościgu za furgonetką Straży Granicznej”.

I tak dzień za dniem, kolejne „wielkie chwile dziennikarstwa”: wrzutki, manipulacje i dezinformacje na „świętej” wojnie z PiS. Nie udało się z kotkiem? Spróbujmy z dziećmi. Nie przeszkadza im, że Rosja i Białoruś inspirowały całą tę operację – wrogiem jest polski rząd, więc jedziemy. Pożyteczni idioci Kremla w Polsce, zasłużeni w „ocieplaniu relacji z Putinem” w latach 2008–2014, ujawnili się znowu. Putin z Łukaszenką nie muszą wysyłać do Polski „zielonych ludzików”, bo one już tu są.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Dorośle życie lalek

Z Markiem b. Chodaczyńskim, prezesem Unii Teatr Niemożliwy, dyrektorem Festiwalu „Lalka też Człowiek”, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Międzynarodowy Festiwal Teatru Lalek i Animacji Filmowych dla Dorosłych „Lalka też Człowiek” od niemal dwóch dekad udowadnia, że te formy sztuki nie zostały stworzone wyłącznie dla dzieci. Co zobaczymy podczas 15. edycji festiwalu?

Marek b. Chodaczyński: Między innymi czeską artystkę Dorę Bouzakovą z jej autorskim, nagradzanym spektaklem „Opowieści małej Lupitiny González”, Teatr Lalek z Kijowa i „Serenadę” według sztuki Sławomira Mrożka, Ariela Dorona z Izraela, który pokaże spektakl „Plastikowi bohaterowie”, i Davida Zuazolę z Chile. Swoje przedstawienia zaprezentują także goście z Holandii oraz artyści i studenci z Polski. Pula nagród festiwalowych wynosi 15 tys. zł.

Zapraszacie nie tylko do teatru.

Na widzów czekają również pokazy filmów krótko- i pełnometrażowych nagrodzonych podczas największego polskiego festiwalu filmów animowanych Animator. Na wystawach

podziwiać można prace Julity Kalin i Katarzyny Pietrzykowskiej, autorek artystycznych lalek nieteatralnych. Każda z artystek tworzy według własnej estetyki, używając innych materiałów, łączy je jedno – miłość do lalki.

Gdzie odbywają się festiwalowe wydarzenia?

Do 16 października w Warszawie, w Instytucie Teatralnym im. Zbigniewa Raszewskiego, Służewskim Domu Kultury – spektakle, a w Domu Kultury „Kadr” – wystawa i filmy.

Wstęp jest bezpłatny, obowiązują jedynie rezerwacje wejściówek na stronie www.lalkatezczlowiek.eu.





482,98 mld zł

mają wynieść
dochody państwa
za 2021 r.



6 mld

tyle dolarów stracił
Mark Zuckerberg
na kilkugodzinnej
awarii portalu
społecznościowego
Facebook.

440 tys.

tyle polskich widzów
obejrzało najnowsze
Bonda, czyli film
„Nie czas umierać”,
w premierowy weekend.



**Jakie są to
interesy, by uznać
podręczność
polskiej konstytucji,
czyli woli polskich
obywateli, wobec regulacji
zewnętrznych, traktatowych? W czym
interesie rzecznik występuje i argumentuje
w niniejszym postępowaniu?**

prof. Krystyna Pawłowicz, sędzia TK

**Demokraci i media wyraźnie
chcą uniknąć obiektywnego
i przejrzystego uregulowania
działań Facebooka. Zamiast
tego chcą instytucji w stylu
superdyrektora zarządzającego
użytkownikami. Już się nie kryją
– ich celem jest kontrolowanie
rozpowszechniania informacji.**

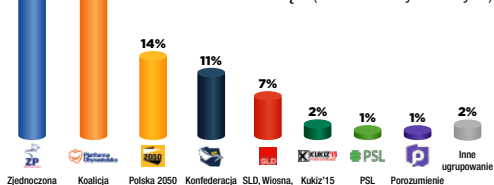
Ben Shapiro,
amerykański publicysta konserwatywny

zebrał Jakub Maciejewski

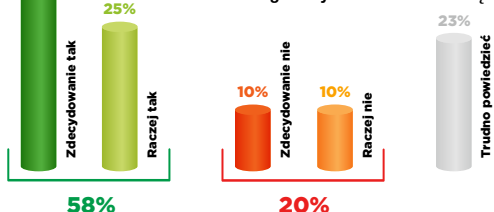


pracownia
Social Changes
dla **wPolityce.pl**

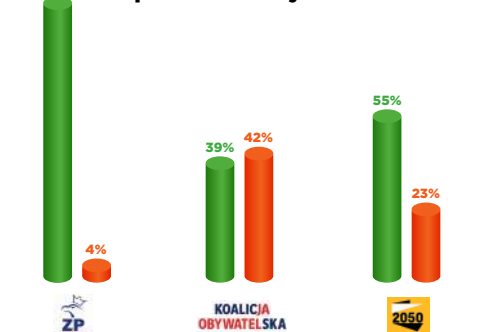
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddąłby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)



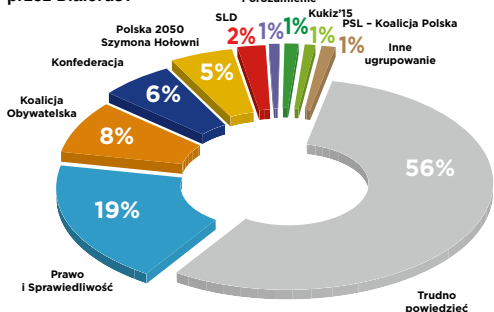
Czy według Pani/Pana opozycja powinna wspierać rząd w działaniach mających na celu uszczelnienie granicy Polski z Białorusią?



Opinie wśród wyborców



Która partia według Pani/Pana ma najlepszy plan obrony polskiej granicy w obliczu działań podejmowanych obecnie przez Białoruś?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1090.

Zakres czasowy badania 1–4 października 2021 r.

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIEŚLESKI, PIOTR CYWYŃSKI, LESZEK DŁUGOŚ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGÓRZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA

REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOŁIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOREDAKCJA: ANNA ŁĄBĘCKA, ANIA LABĘCKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PREENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PREENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK,
JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA,
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI,
WIKTOR ŚWIEŹLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA,
DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

E-WENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:

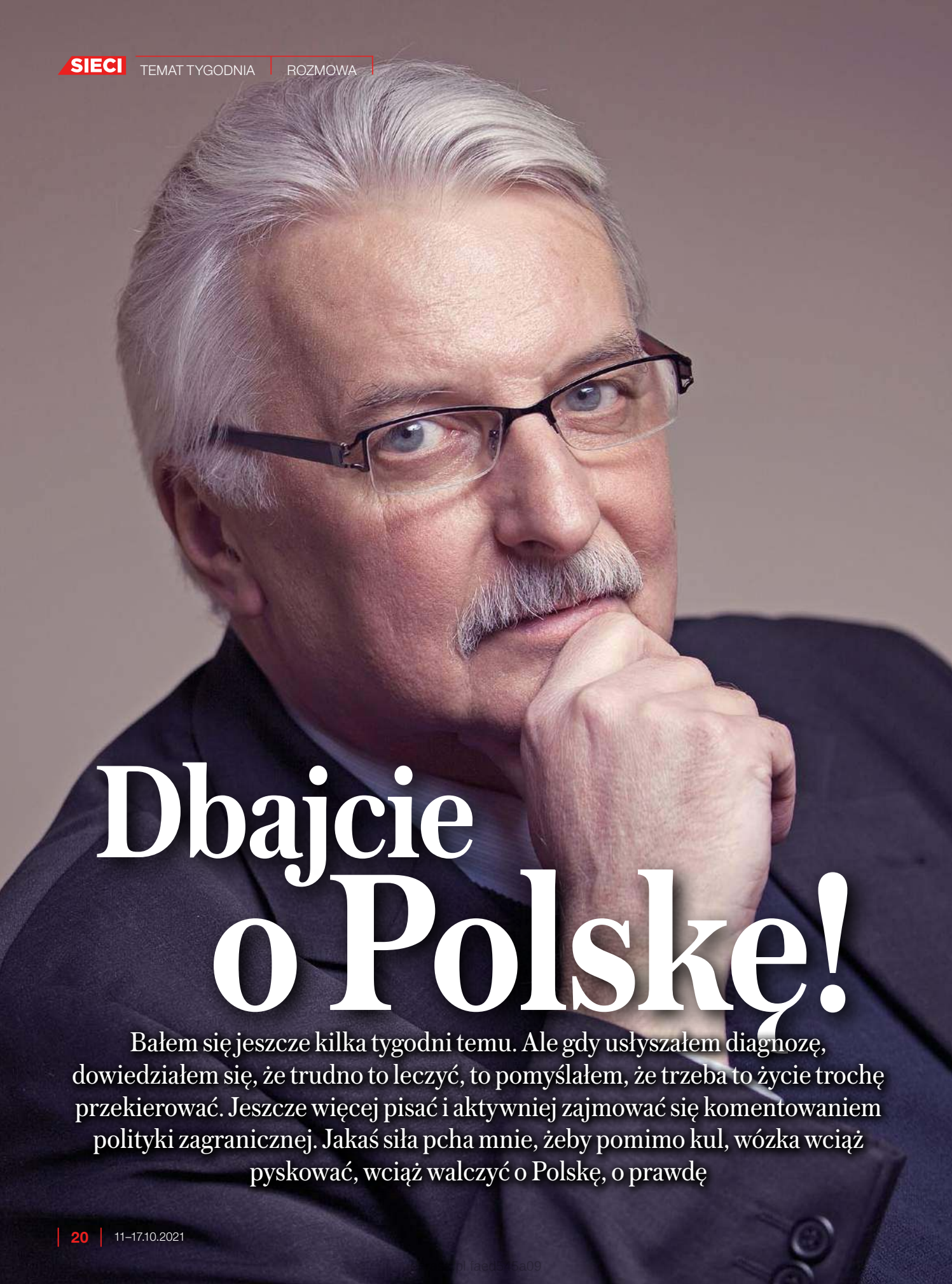
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOŹNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: MACIEJ ŁUCZEWIŃSKI/PHOTOFAST NEWS, RAFAŁ ŁOSIEWICZ/
REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR

A close-up portrait of Andrzej Lech, an older man with grey hair and a mustache, wearing glasses and a dark suit. He is resting his chin on his hand, looking thoughtfully towards the camera.

Dbajcie o Polskę!

Bąłem się jeszcze kilka tygodni temu. Ale gdy usłyszałem diagnozę, dowiedziałem się, że trudno to leczyć, to pomyślałem, że trzeba to życie trochę przekierować. Jeszcze więcej pisać i aktywniej zajmować się komentowaniem polityki zagranicznej. Jakaś siła pcha mnie, żeby pomimo kul, wózka wciąż pyskować, wciąż walczyć o Polskę, o prawdę

Z Witoldem Waszczykowskiem, ministrem spraw zagranicznych w latach 2015–2018, posłem do Parlamentu Europejskiego, rozmawia Dorota Łosiewicz

Zdradził pan kilka tygodni temu, że z pana zdrowiem nie jest za dobrze, że lekarze podejrzewają u pana polineuropatię. Podejrzenia się potwierdziły?

Witold Waszczykowski: Musiałem powiedzieć o chorobie nie dlatego, że jestem celebrytą i chce, by o mnie mówiono, tylko dlatego, że gdy raz czy drugi miałem problem z wysłowieniem się, w widoczny sposób pociągnąłem nogą, natychmiast pojawiły się spekulacje, że byłem po alkoholu. A to nie jest prawda. Raczej wyraźniej już nie będę mówił. Będzie gorzej. To niestety nie jest polineuropatia. Przez chwilę podejrzewano chorobę Kennedy’ego, znaną także jako opuszkowo-rdzeniowy zanik mięśni (SBMA). Ta nazwa nawet mi się podobała, przynajmniej dobrze brzmiała, ale to nie to. Po tygodniu spędzonym w szpitalu okazało się, że to może być MND (z ang. motor neurone disease), czyli choroba neuronu ruchowego. MND brzmi groźnie, występuje bardzo rzadko i wymaga dalszych obserwacji. Za kilka tygodni postukają młoteczkami, przelecą prądem po nogach, nakłują mięśnie, pobiorą krew i sprawdzą, czy choroba postępuje.

Jaką ma pan przed sobą perspektywę?

Grozi mi dalszy bezwład kończyn i objawy na kształt parkinsona. Ale to i tak nieźle. Lepiej niż alzheimer. Przy parkinsonie jak chcesz się napić, to rozlejesz, przy alzheimerze zapomnisz, że musisz się napić.

Widzę, że próbuje pan żartować.

Muszę szukać jasnych stron życia. Jednak zmieniła mi się perspektywa, inaczej patrzę na rzeczywistość. Musiałem zwolnić tempo poruszania się, wszystko zajmuje mi więcej czasu. Już nie patrzę na ludzi, a bardziej pod nogi, ponieważ w każdej chwili mogę się potknąć i wywrócić, co np. wczoraj mi się przydarzyło. Przyglądam się z uwagą krawężnikom. Czy jest na tyle niski, że dam radę, czy na tyle wysoki, że to on mnie pokona. Patrzę, czy podłoga nie jest śliska i czy kula mi nie ucieknie. Myślę, czy zdążę do windy przed jej zamknię-

ciem, czy będę musiał długo czekać na kolejną. Gdy muszę iść po schodach, to patrzę, czy jest poręcz, a gdy siadam na krześle, to myślę nad jego wysokością, czy uda mi się wstać. Podobnie gdy siadam w fotelu – towarzyszy mi myśl, czy się z niego wydostanę, czy będę musiał czekać godzinami, aż ktoś mi pomoże. Czuję się, jakbym stał po cienkim lodzie, który w każdej chwili może trzasnąć i się pode mną załamać. Nawet nierówności na dywanie są moimi wrogami. Chwila zapomnienia, obejrzenia się za jakąś ciekawostką sprawia, że padam jak długi na ziemię.

Grozi mi dalszy bezwład kończyn i objawy na kształt parkinsona. Ale to i tak nieźle. Lepiej niż alzheimer. Przy parkinsonie jak chcesz się napić, to rozlejesz, przy alzheimerze zapomnisz, że musisz się napić

Kto pana wspiera na co dzień?

Za wielki jestem, żeby mnie wspierać czy podpieścić. Mam sto osiemdziesiąt parę centymetrów wzrostu, 120 kg wagi, więc nie bardzo mogę się dosłownie na kimś oprzeć. Na szczupłej żonie? Raczej muszę pilnować, by innym nie zrobić krzywdy. Rodzina oczywiście wspiera mnie w wielu czynnościach życiowych i pociesza. Przecież jesteśmy na siebie skazani. Koledzy z pracy też mi pomagają. Podają rękę, czasem chcą zabrać walizkę i pomóc ją nieść. Tylko oni często nie wiedzą, że ja się tej walizki trzymam i jak mi ją zabrają, to upadnę. Ta wysunięta do góry rączka jest jak kula, podpora. Ale miłe są wszystkie gesty wsparcia.

Nie boi się pan, że po tej rozmowie będzie pan hejtowany, że powiedzą: „Dobrze mu tak”?

To nigdy nie jest mile, ale się przyzwyczaiłem. Hejt jest nieodłącznym elementem polityki, niestety. Oczywiście życzenia śmierci to nic przyjemnego, ale myślę, że niejednokrotnie bardziej niszczą tych, którzy złorzeczą. Mam pamięć słonia i skórę słonia. Bardziej cierpi rodzina, która się przejmuję. Ja już nie. Tym bardziej że hejt często zastępuje debatę. Gdy komuś brakuje argumentów, czepia się fizis. Gdy byłem szefem MSZ, nikt nie chciał ze mną bić się na argumenty, ale czepiano się, że wyglądam jak „wąsaty Janusz”, wyśmiewano moją teczkę. Była nawet akcja „zbiórka na teczkę dla ministra”. Wyśmiewano moje źle skrojone garnitury. No niestety nigdy nie byłem szczupły, więc garnitury nie leżały na mnie dobrze. Nikt nie chciał rozmawiać o współpracy z Amerykanami, o tarczy antyrakietowej, o Radzie Bezpieczeństwa, którą wygrałem dla Polski w cuglach. Łatwiej człowieka wyśmiać, ośmieszyć, sądząc, że w ten sposób wyeliminuje się polityka z dyskursu. Niestety zwierzchnicy polityczni często ulegają takiej presji i stąd rekonstrukcje rządowe oparte czasem na tych niemerytorycznych opiniach.

Mówi pan o skórze słonia. A tak po ludzku boi się pan najbliższych tygodni, miesięcy?

Bąłem się jeszcze kilka tygodni temu. Ale gdy usłyszałem diagnozę, dowiedziałem się, że trudno to leczyć, to pomyślałem, że trzeba to życie trochę przekierować. Jeszcze więcej pisać i aktywniej zajmować się komentowaniem polityki zagranicznej, czyli robić to, co najbardziej lubię. Trzeba będzie jeszcze więcej poczytać, posłuchać muzyki, pooglądać filmów i meczów, aby nadrobić życiowe, a czasem szkolne zaległości. Nie ma mowy o nudzie i rozmyślaniu o problemach zdrowotnych.

Zbiera się panu na podsumowania?

Chwilami. Ciągłe myślę o tym, co jeszcze chciałbym zrobić i dochodzę do wniosku, że zrobiłem za mało. Jakaś siła pcha mnie, żeby pomimo kul, wózka wciąż pyskować, wciąż walczyć o Polskę, o prawdę. Jak mnie wypychają oknem, to wejść drzwiami. No, może się wczolgam, biorąc pod uwagę problem z chodzeniem. Czasem moja sytuacja kojarzy mi się z takim satyrycznym rysunkiem, na którym czapla połyka żabę. A żaba, już będąc głową w gardle czapli, jeszcze chwytając ptaka za krtani. Temu rysunkowi towarzyszy podpis: „Nigdy się nie poddawaj”. To motto mi teraz towarzyszy. Pewnie parę rzeczy zrobiłbym w życiu inaczej, nie jestem tak zadufany w sobie, by myśleć, że wszystko było doskonałe.

A co by pan zmienił?

Mniej ulegałbym babci Zosi, która mnie pasła i być może jest współwinna tego, że mam fatalny metabolizm i nie jestem chudzielcem. Moja tusza jest nie tyle wynikiem obżarstwa, ile problemów z metabolizmem. Być może powinienem w młodości wejść na ścieżkę przestrzegania diet, rygorów żywieniowych. Może więcej czasu poświęciłbym nauce języków. Wiele lat spędziłem za granicą, ale mówiłem głównie po angielsku. Nigdy nie nabyłem umiejętności czytania literatury czy prowadzenia negocjacji w innych językach niż angielski. Pewnie uniknąłbym paru błędów politycznych. Na jednym z pierwszych posiedzeń rządu Beaty Szydło apelowałem o powściągliwość w wypowiedzaniu się o polityce zagranicznej. Niestety, sam tej ostrożności nie dochowałem, czasem nie umiałem siedzieć cicho, czasem coś się wyrwało. Zabrakło wewnętrznej dyscypliny, by mówić tylko o sprawach międzynarodowych. Ale w roku 2010 zdarzył się Smoleńsk. Musieliśmy się jasno opowiedzieć, domagać się wyjaśnienia. O pewnych sprawach nie dało się mówić grzecznie i łagodnie, choć nigdy nie podważaliśmy legalności rządu. Dzisiaj opozycja bez skrupułów wykorzystuje instytucje międzynarodowe do delegitimizacji państwa polskiego.

Czy wiara jest ważna w pana życiu?

Bardzo, choć na co dzień tego nie okazuję. Mam jednak czasami wrażenie,

że Opatrzność czuwała. W 2010 r. nie polecałem do Smoleńska. Dwa dni przed wylotem ministrowie Szczygło i Stasiak prosili, żebym został i komentował bieżące sprawy w mediach. Chodziło o obronę prezydenta i strategii dotyczącej bezpieczeństwa Polski. Nie polecałem. W październiku 2010 r. nie dotarłem z Warszawy do biura w Łodzi. Kandydowałem na prezydenta Łodzi. W gabinecie, z którego wówczas korzystałem, a do którego tego dnia nie dotarłem, doszło do zamachu. Wstałem tego dnia nieco później, włączyłem telewizor, zobaczyłem biuro. Marek Rosiak zginął przy biurku, na krześle, na którym ja siedziałem. One stały tyłem do drzwi. Rosiak przyszedł, zobaczył, że mnie nie ma, włączył komputer i dostał cztery kule.

Teraz mam Polskę moich marzeń. Łatwo nie było nigdy, jednak dożyłem takich czasów i rządu (choć nic nigdy nie jest perfekcyjne), że mam powody do radości. Wywalczyliśmy większe bezpieczeństwo Polski

Myśli pan o tym w kategorii cudów?

W tej kategorii myślę raczej o narodzinach bliźniąt po wizycie w Ziemi Świętej. Wcześniej latami staraliśmy się o dziecko i się nie udawało.

Ma pan siłę myśleć o przyszłości Europy? Wydaje się, że zapadła decyzja o federalizacji UE. Da się jeszcze od tego uciec?

W mojej sytuacji nieco mniej zajmuje mnie przyszłość Europy, a bardziej to, co mam pod nogami. Na przyszłość kontynentu patrzę z perspektywy historyka, który wie, że historia nikogo niczego nie nauczyła. Ludzie mają pamięć rybki akwariowej i zapominają z kadencji na kadencję. A historia uczy, że nic nie jest wieczne ani dane raz na zawsze. Ani bezpieczeństwo, ani spokój, ani dobrobyt,

ani bieda. Liczę, że lewicowo-liberalne szaleństwo spotka się w końcu z kontrą. Historia jest pełna zwrotów od ściany do ściany. Ma swoje cykle i wahadła. Wrócimy do wartości, od których Europa odchodzi. W USA od kilku lat trwa amok Black Lives Matter. Ale już pojawiła się odpowiedź białych i krytyka kultury wypychającej białych z przestrzeni publicznej. Liczę, że i w Europie, m.in. pod wpływem działań Polski, Węgier, ale też Słowenii, pojawi się refleksja i docenienie odwiecznych wartości, na których budowana była Europa: prawa rzymskiego, filozofii greckiej, etosu chrześcijańskiego. I nastąpi powrót do korzeni. Może ludzie docenią też z czasem porządek wynikający z tradycyjnego modelu rodziny. To może być długotrwały proces, rozciągnięty na lata, a nawet dziesięciolecia, ale zwrot ku tradycyjnym wartościom w końcu nastąpi. Przed laty myśleliśmy w Polsce, że PO jest wieczna. Jeszcze w 2001 r. wydawało się, że SLD jest na wieki. Latem 2002 r. zostałem wyrzucony z placówki w Iranie. Ludzie mówili: „Odejdź sam z MSZ, nic nie wskorasz, zobacz, jakie poparcie ma SLD”. Kwaśniewski wygrał drugą kadencję, później w perspektywie mieliśmy prezydent Jolantę Kwaśniewską i Tomasza Lisa, a jednak się odwróciło. Wszystko z po-

wodu pewnego niby mało znaczącego zdarzenia z lipca z 2002 r., o którym dowiedzieliśmy się pół roku później. Wtedy Michnik nagrał Rywina. I to zdarzenie w ciągu kilku miesięcy wywróciło polską rzeczywistość. Później przyszła PO i też wydawało się, że będzie na wieki. Ale Tusk wyjechał do Brukseli, zostawił partię w rękach Ewy Kopacz i wszystko się zmieniło. Prawica była sfrustrowana, rozbita, a rządzi drugą kadencję. Na przykładzie Polski widać, że nic nie jest wieczne. Podobnie w UE. Angela Merkel odeszła, polityka niemiecka będzie inna, bez charyzmy. Francuscy politycy toną w problemach, Nicolas Sarkozy siedzi w areszcie domowym, François Hollande jest zdyskredytowany miłosnymi podbojami, Emmanuel Macron ośmieszony. Kto może wrócić do gry?

Michel Barnier. Otwarty krytyk UE, TSUE. Jeśli elity unijne nie zmieniają postępowania, grożą nam kolejne exity. Widać więc światło w tunelu.

Jednak wokół Polski jest dużo napięć. Wschodnia granica, TSUE, Czesi, Izrael, Nord Stream 2.

A kiedy w historii Polski było łatwo? Łatwo było, gdy politycy, za radą Wałęsy, stłukli termometr. Stworzyli sobie kokon polskiej zielonej wyspy i nie widzieli tego, co dzieje się wokół. Bliski Wschód płonął już wtedy, to się skończyło falą emigracji. Rosja napadła na Czechenię, później na Ukrainę. A mimo to w grudniu 2013 r. gen. Stanisław Koziej publikował w BBN Białą Księgę Polskiego Bezpieczeństwa, nie widząc zagrożeń i mówiąc o złotym wieku współpracy z Rosją. A za chwilę był Majdan, w lutym 2014 r. Rosja napadła na Krym, a później uruchomiła Donbas. Wcześniej upadał Irak, Afganistan. Zawsze było trudno, zawsze były problemy. Polacy jeździli na wojnę. Z Łukaszenką cały czas mieliśmy pod górę.

Ale chociaż na odcinku europejskim panował spokój.

Pozorny lub raczej problemy nie były definiowane. Dopiero po 2015 r. polskie władze zaczęły definiować interesy, bronić ich oraz nazywać zagrożenia. Wcześniej obowiązywała strategia „nasza chata z kraja”, płynięcia z nurtem. Obowiązywał przekaz, że skoro weszliśmy do UE i NATO, to nasze interesy zostały zrealizowane. Niemcy mogli się bić o swój interes, Francuzi też, ale Polacy? Kto to słyszał?! A Polska ma swoje interesy, ambicje, pewnym zjawiskom musi się przeciwstawić, musi się bronić. Nasza historia pokazuje, że jeśli się nie bronimy, to źle się to kończy. Mamy też ambicje, które zdefiniował śp. Lech Kaczyński. To podmiotowość, bycie w gronie państw współdecydujących, wpływanie na wschodnią politykę UE.

A jakie widzi pan możliwe scenariusze rozwoju sytuacji na naszej wschodniej granicy? Jak może się skończyć kryzys wywołany przez Łukaszenkę?

Jeśli wciąż będziemy twardo chronić granicę i przeciwstawiać się dostarczaniem fałomigrantów, i mieć poparcie UE, to się obronimy. To wymaga determi-

nacji, nieuginania się przed moralnym szantażem. Jeśli się uda, Łukaszenka się zniechęci, potknie się bowiem o własne nogi. Nasprowadzał tyle tysięcy ludzi, że nie poradzi sobie z utrzymaniem ich. Oni już się zaczynają buntować, domagają się zwrotu pieniędzy. Świat chyba zaczyna rozumieć, o co toczy się gra. Łukaszenka zaczyna ograniczać loty z Turcji, Iraku itd. Gdy się okaże, że ten szlak przerzutowy ludzi jest realnie zamknięty, dyktator odpuści. Warunkiem sukcesu jest współpraca naszego społeczeństwa, a Łukaszenka gra na pęknięcie. Opozycja robi wszystko, żebyśmy pękli, grając przeciwko interesom własnego państwa. Dla mnie to coś niebywałego.

A Łukaszenka gra ostro, nie cofa się przed wykorzystaniem dzieci.

To nie pierwszy raz. Nie wymyślił niczego nowego. W USA, przez granicę amerykańsko-meksykańską, przepychano setki dzieci, licząc, że administracja się ugnie i pozwoli dołączyć do dzieci rodzicom i opiekunom. Trump się nie ugiął, dzieci odwieziono. Wcześniej Fidel Castro co jakiś czas ściągwał strażników z plaż i kto miał choćby drzwi od stodoły, rzucał się na morze i płynął do Miami. Przy tej okazji otwierano więzienia i do USA wyruszali więźniowie, którzy później stworzyli mafię kubańską na Florydzie. Łukaszenka powtarza tylko znane scenariusze, mając nadzieję, że pękniemy. Niestety NGO-sy, Jachiry, organizacje pomocowe dają mu nadzieję, że tak będzie. Że pięknie straż graniczna, oficerowie, że pod naciskiem krytyki zmieniają zdanie. Tę metodę testowały też lewicowe organizacje w Izraelu. To jest próba pokonania przeciwnika przez osłabienie jego morale.

Mówi pan o opozycji, która uderza w narodowy interes, a jaka Polska się panu marzy?

Zaskoczę panią, ale nie jestem niezadowolony z tego, co jest. Teraz mam Polskę moich marzeń. Łatwo nie było nigdy, jednak dożyłem takich czasów i rządu (choć nic nigdy nie jest perfekcyjne), że mam powodów do radości. Wywalczyliśmy większe bezpieczeństwo Polski. 20 lat temu marzyliśmy, żeby chociaż jeden żołnierz amerykański był u nas, a z nim kamera CNN. A gdyby się coś stało, reszta

przyszłaby z pomocą. Dziś mamy tysiące żołnierzy, bazy, bazę raketową, tysiące sztuk amerykańskiej broni, połączenia gazowe, niedługo będzie elektrownia atomowa. Stan bezpieczeństwa Polski wzrósł skokowo w ostatnich pięciu latach. Marzyliśmy kiedyś, żeby budować integrację europejską nie tylko w linii Wschód-Zachód, ale także Północ-Południe. Dziś mamy Trójmorze. Z mozołem, ale się realizuje. Gdyby nie niechęć UE, infrastruktura Północ-Południe byłaby budowana szybciej. Niektórych interesuje tylko linia Wschód-Zachód. Była kiedyś koncepcja budowy kolei szybkich prędkości, którą wstrzymał, pod wpływem niechęci części państw Unii, Sławomir Nowak. Niemcy chętnie budowali by kolei dużych prędkości, ale z Berlina do Moskwy. Być może ta kolej miałaby postój w Kutnie na wymianę wody w toaletach i tyle z tego byłoby dla Polski. Nie służyłaby ona rozwojowi polskiej infrastruktury. Wiele się zmieniło w sferze społecznej. Dzięki transferom do rodzin udało się ograniczyć poziom ubóstwa. Nawet moja osobista historia, chłopaka z Piotrkowa, który wybił się na ambasadora, współpracownika prezydenta, ministra, pokazuje, że można tu realizować marzenia.

Ma pan rady dla młodszych kolegów?

Chciałbym, żeby moim kolegom udało się utrzymać to, co my zdobyliśmy. Już mówiłem, że nic nie jest dane raz na zawsze. Na pierwszym planie musi być bezpieczeństwo Polski. I to staram się przekazać młodszy. Dbajcie o bezpieczeństwo Polski! Patrzcie na historię. Bezpieczeństwo jest ulotne, podobnie suwerenność. Trzeba mieć oczy dookoła głowy, widzieć i definiować zagrożenia. Trzeba walczyć o bezpieczny rozwój gospodarczy, a tego nie będzie bez bezpieczeństwa energetycznego. Przyjaciół trzeba szukać blisko, a wrogów daleko, a najlepiej wcale. Trzeba dobrze współpracować w regionie, tak by inni postrzegali Polskę jako czempiona czy rzecznika interesów regionu. Jeśli chodzi o kulturę, to trzeba utrzymać naszą polską tożsamość. Przez dbałość o historię, tradycję, edukację. Kościec moralny wspiera bezpieczeństwo. Jeśli zapomnimy o przeszłości, historii, zastосуemy „tumiwizm”, „róbta, co chceta”, to ulegniemy rozkładowi i największe działa nam nie pomogą.

Jest ciężko, a jesteśmy opluwani

Relacje strażników granicznych



WOJCIECH BIEDRON

Chłód, bagna, ekstremalnie trudne warunki terenowe. Do tego dochodzą wyczerpanie i presja psychiczna spowodowane działaniami funkcjonariuszy białoruskich służb. Tak wygląda dzisiaj sytuacja, z którą mierzą się funkcjonariuszki i funkcjonariusze straży granicznej, którzy podkreślają, że jest to największe wyzwanie, przed którym stanęli w swojej, często wieloletniej, służbie. Coraz większym problemem staje się też medialna i polityczna presja, która ma sprawić, by pękł ten szczelny mur odgradzający nas od tysięcy imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki. Te naciski bolą strażników najbardziej. Ci, z którymi rozmawialiśmy, mają jednak świadomość, że wojna z prowokacją Łukaszenki ma sens i szansę na powodzenie.

NIE CHCIELI OD NAS POMOCY

Starszy chorąży Marcin Suprun z Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej w Michałowie z trudnością z nami rozmawia. Ból gardła utrzymuje się u niego od kilku tygodni. Powoli kończy kilkunastogodzinną służbę. Swoją przygodę ze strażą graniczną rozpoczął 19 lat temu, ale wyzwania ostatnich miesięcy odbiły się na jego zdrowiu.

– Zimno, wiatr, trudny teren. Od kilku tygodni nie mogę doleźć gardła. Pracujemy cały czas. Nie dzielimy już zadań. Tu codziennie robi się coś innego. Tak ciężko nigdy nie było. W Michałowie odpowiadałem ostatnio za zaprowiantowanie osób, które do nas trafiły. Zakupy, wizyty w aptece, wydawanie posiłków. Ciągłe na służbie. Czasem przez wiele godzin pracujemy w terenie i prowadzimy patrole. Przejmujemy osoby nielegalnie przekraczające granice. Jesteśmy bardzo zmęczeni. Nasz

nowoczesny sprzęt zaczyna odmawiać posłuszeństwa. Jest bardzo mocno eksploatowany – relacjonuje Marcin Suprun.

Funkcjonariusz przyznaje, że wielu imigrantów to przestraszeni ludzie, którzy są całkowicie zdezorientowani i często nie zdają sobie sprawy, gdzie się rzeczywiście znajdują. To kolejny dowód na to, że przybyśże z Bliskiego Wschodu i Afryki są cynicznie oszukiwani przez białoruski reżim. Nasz rozmówca odniósł się także do rzekomej „tragedii dzieci z Michałowa i ich rodziców”. Te osoby także znalazły się pod opieką m.in. funkcjonariusza Supruna.

– Udzieliliśmy im pomocy. Zapewniliśmy ciepły posiłek, koce, suchą odzież. Wszystko było dla nich gotowe, ale oni nie chcieli od nas pomocy. Nie chcieli wejść do budynku, odmówili ochrony w Polsce – opowiada st. chor. Marcin Suprun.

Zapytaliśmy funkcjonariusza o jego zdanie na temat manipulacji mediów i ataki polityczne na strażników granicznych.

– Kiedy na to patrzę, to czuję zniechęcenie. Jest bardzo ciężko, a oni nas opluwają. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Z drugiej strony miejscowa ludność z nami współpracuje, pomaga nam. Zaopatruje tych cudzoziemców w żywność i widzę, jak miejscowi sami przekazują nam produkty spożywcze. Otrzymujemy odzież dziecięcą, ubrania dla dorosłych. Lubię swoją pracę, ale ręce mi opadają, gdy stykam się z hejtem na straż graniczną. To dodatkowo odbiera nam siły – przyznaje.

PRZEKONYWALI MNIE, ŻE „SZUKAJĄ TUTAJ ŻONY”

Jak może się czuć umundurowana kobieta w tłumie młodych, nachalnych irańskich lub somalijskich imigrantów z drogimi telefonami komórkowymi w dłoniach? Jak odpowiadać na niewybredne zaczepki i przerażające opowieści o seryjnym mordzie na kobietach, których miał się dopuścić jeden z imigrantów? Porucznik Izabela Greczan wiele lat służy w straży granicznej. Ma ogromne doświadczenie, uczestniczyła w kilku misjach Frontexu. Dziś pracuje w Centrum Rejestracji Cudzoziemców, w placówce SG w Czeremsze. To do niej trafiają ci imigranci, których zatrzymują jej koledzy i koleżanki w trudno dostępnym terenie podlaskich bagien i lasów. Stamtąd przenoszeni są do zamkniętych ośrodków.

– W straży granicznej pracuję 17 lat, ale nigdy nie było tak ciężko jak teraz. Nigdy nie widzieliśmy takiej presji migracyjnej. Ustalamy tożsamość imigrantów i prowadzimy postępowania administracyjne. Zajmuję się ich opieką. Rozmawiamy z nimi w różnych językach, ale wielu z nich doskonale zna język rosyjski, a niedawno spotkałam Pakistańczyka, który dobrze znał język polski – mówi nam Izabela Greczan.

Okazuje się, że w większości przypadków opowieści o przerażonych „uchodźcach”, którzy narażają życie, uciekając z objętych wojną terenów Bliskiego Wschodu i Afryki, to bajki.

– To są bardzo różni ludzie. Pamiętam grupę młodych Irańczyków, którzy zachowywali się bardzo swobodnie. Uśmiechali się, zaczepiali i przekonywali mnie, że „szukają tutaj żony”. Widać było po nich, że nie są to zmęczeni długim marszem uchodźcy, ale raczej imigranci, którzy nigdzie nie musieli



się ukrywać. Ktoś ich podwiózł pod granicę. Dobrze się u nas bawili. Muzyka, papierosy, markowe ubrania. Panie sprzątające żartowały, że ci „uchodźcy” są lepiej ubrani niż Polacy – relacjonuje pani porucznik.

Strażniczka graniczna opowiedziała nam też o sytuacjach, do których dochodzi w jej placówce, i o zachowaniu mężczyzn, którzy nie rozumieją standardów panujących w Europie.

– Nigdy nie wiadomo, co się stanie, jaka będzie reakcja imigrantów. Kiedy strażniczka znajduje się w tłumie młodych mężczyzn, to czuje na sobie ich wzrok. Jeden z Somalijszczyków powiedział, że on w swojej wiosce udusił sześć kobiet. Mężczyźni z Afryki wciąż nagabują funkcjonariuszki.

Z kolei mieszkańcy Somalii czy Afryki Środkowej są dużo bardziej roszczeniowi. Niektórzy udają, że coś ich boli, nie podoba im się, że śpią na materacach i nie mają hotelowych łazienek. Wiele z tych osób ma wyższe wykształcenie, znają rosyjski. Jedna z grup, która do nas trafiła, studiowała w Rosji. Wszyscy chcą jechać do Niemiec – mówi strażniczka z Czeremchy.

A jak wygląda sprawa rzekomej gehenny małych dzieci po polskiej stronie granicy? Czy trzeba im przerzucać słodycze przez płot zamkniętego ośrodka?

– Stoi bosa irackie dziecko na terakocie, więc pytamy rodziców, gdzie są jego buty. Ci dość obojętnie odpowiadają, że zostały „przemoczone”. Szybko więc zorganizowaliśmy jakąś pomoc, ale nie zrobiło to na rodzicach większego wrażenia. Często sami przynosimy czyste i suche ubrania dla dzie-

ciaków. To jest dla nas normalne. Dzieci w naszym ośrodku zachowują się bardzo normalnie. Bawią się zabawkami, biegają i psocą. Cieszą się, gdy dostaną słodycze. Nie widzę, by działa się im jakakolwiek krzywda. Może nasza kultura jest inna? – ocenia Izabela Greczan.

BIAŁORUSKIE PROWOKACJE

Strażnicy graniczni potwierdzają też, że ze strony białoruskiej mnożą się prowokacje tamtejszych służb, a polscy strażnicy graniczni są poddani ogromnej presji. Ta wojna psychologiczna ma doprowadzić do eskalacji konfliktu granicznego.

– Białorusini nieustannie prowokują, krzyczą z zarośli, przerzucają na naszą stronę różne przedmioty. To praca w nieustannym stresie i należy zachować czujność. Niedawno widziałam nagranie, jak Białorusini mierzą z broni w kierunku drona. Nie zawsze wiemy, z jaką formacją białoruską mamy do czynienia. Pojawiają się różne mundury i oznakowania tamtejszych funkcjonariuszy. To wszystko wprowadza ciężką atmosferę. Wprowadzenie na naszym terenie stanu wyjątkowego bardzo ułatwia nam pracę. Mamy teraz wsparcie policji i wojska. Wszystko zostało uporządkowane. Więcej jest też posterunków, a to uszczelnia granicę. Na moim odcinku jest ponad 20 km strefy granicznej, to dużo biorąc pod uwagę trudny teren – przyznaje porucznik Greczan.

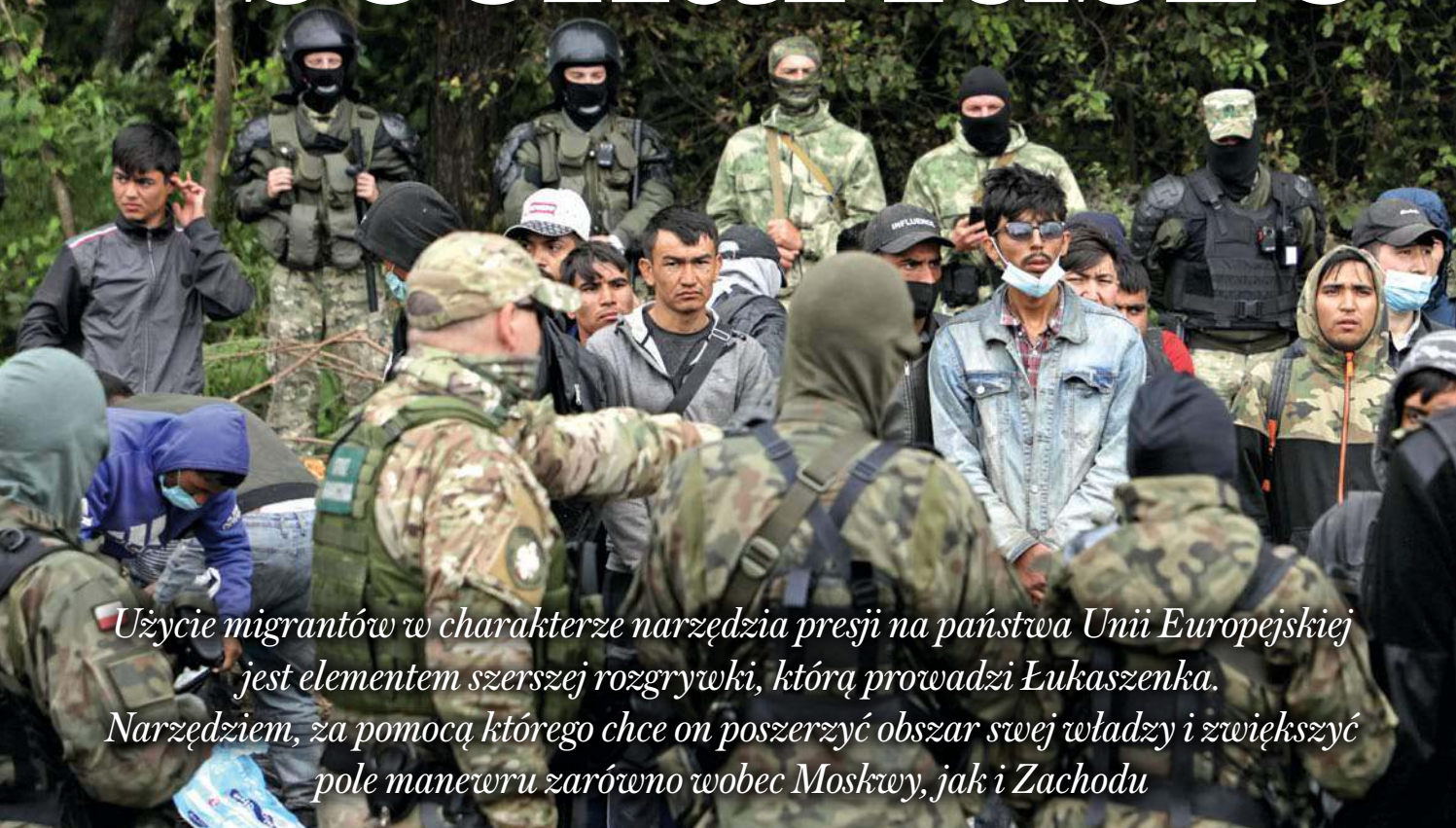
Zmęczenie i frustrację strażnicy graniczni konfrontują także ze skutkami nie-

ustannych ataków polityków opozycji oraz zblatowanych z nimi mediów.

– Najczęściej słyszymy pozytywne słowa na temat naszej służby. Niestety spotkałam się też z niechęcią. W trakcie jednej z wizyt lekarskich, w czasie gdy głośna była sprawa z Usnarzą Górnego, lekarz zadał mi pytanie, czy ja przerzuciłabym przez granicę podpaski lub tampony dla kobiet po białoruskiej stronie. Powiem szczerze, że mnie zatkało. Powiedziałam, że to nie powinno być tematem rozmowy. Przykro mi, gdy słyszę wypowiedzi polityków i mediów, które nas szkalują. Przecież my tu ciężko pracujemy dla bezpieczeństwa wszystkich Polaków, bez względu na ich polityczne poglądy. Uczestniczyłam w misjach Frontexu, a słyszę komentarze laików, ludzi, którzy naszej pracy nie znają. To wszystko bardzo trudne. Często wracam do domu bardzo zmęczona. Mam oczywiście rodzinę, ale lubię też mieć czas dla siebie, lubię korzystać z basenu. Odpoczywa wtedy i ciało, i głowa – przyznaje strażniczka.

Rozmawiając z funkcjonariuszami straży granicznej z pierwszej linii, trudno oprzeć się wrażeniu, że wielu z nich poświęca swojej służbie bardzo wiele. Cierpią rodziny, walka na granicy odbija się na zdrowiu. Nie ma w nich jednak nawet cienia słabości. To ludzie przyzwyczajeni do twardej, codziennej służby. Kiedy ich trud konfrontuje się z politycznym cwaniactwem i medialną manipulacją, to widzimy, kto dziś naprawdę stoi po stronie bezpieczeństwa Polaków, a kto reprezentuje interesy wschodnich satrapów. ▀

Białoruskie scenariusze



Użycie migrantów w charakterze narzędzia presji na państwa Unii Europejskiej jest elementem szerszej rozgrywki, którą prowadzi Łukaszenka. Narzędziem, za pomocą którego chce on poszerzyć obszar swej władzy i zwiększyć pole manewru zarówno wobec Moskwy, jak i Zachodu

Dla Łukaszenki najważniejszy jest teraz czas. Jeśli do końca roku nie odbuduje swej nadszarpniętej po ubiegłorocznych wyborach pozycji politycznej, to w kolejnych miesiącach będzie tylko gorzej. Oczywiście nie chodzi o zdobycie poparcia Białorusinów, bo na to dyktator ma niewielkie szanse. Jak wynika z badań opinii publicznej przeprowadzonych w czerwcu przez Grigorija Astapienę dla brytyjskiego Chatham House, gdyby wybory prezydenckie odbyły się teraz, to w pierwszej rundzie dyktator przegrałby zarówno z Wiktorem Babaryką, jak i z Pawłem Łatuszką, a w drugiej ze Swiatłaną Cichanouską.

Jednak sondaż ten pokazał też nieco bardziej złożony obraz nastrojów białoruskiego społeczeństwa, które podzieliło



MAREK BUDZISZ

się na mniej więcej trzy równe grupy. Socjologowie mówią o „twardych” zwolennikach protestów, których, jak wynika z badań Astapienii, jest 36 proc., identyczna liczba pytanym identyfikuje samych siebie jako niezaangażowanych, niepopierających ani władzy, ani opozycji, a do grupy zwolenników Łukaszenki kwalifikuje się 28 proc. uczestników sondażu. Przy tym badanie pokazuje też, że Białorusini są zastraszeni, znacznie ostrożniej odpo-

wiadają na pytania i częściej odmawiają w nich uczestnictwa, chcieliby co prawda odejścia Łukaszenki, ale niemała część społeczeństwa mówi również, że czuje się bezpieczna i ceni sobie stabilizację.

Nie procenty są w tym wypadku istotne, ale co innego. Otóż trzeba powiedzieć, że brutalnymi represjami i nachalną propagandą obóz władzy odbudował część swego poparcia społecznego. Nie ma większości, ale dysponuje siłą, i ta większość nie jest mu potrzebna, bo nie ubiega się o demokratyczny mandat. Długofalowo na sytuację polityczną na Białorusi kluczowy wpływ mają jednak inny czynnik – obywatele chcą zmian, nie zaakceptowali reżimu, co oznacza, że przy najbliższej okazji znów mogą się ujawnić nastroje większości.

SANKCJE UNII I SZTURM NA GRANICE

Łukaszenka korzysta też z lepszej, niżli zapowiadali to wszyscy eksperci, sytuacji gospodarczej. PKB kraju wzrósł w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy tego roku o 3 proc., zamiast planowanych 1,9 proc., a bilans handlowy poprawił się na tyle, że mówi się nawet o „białoruskim cudzie eksportowym”. W efekcie przez pierwsze sześć miesięcy tego roku wynagrodzenia realne na Białorusi rosły, a reżim bez problemu poradził sobie z tym, co jeszcze kilka miesięcy temu uważano za główne zagrożenie dla jego stabilności, czyli ze spłatą międzynarodowych zobowiązań. W czasie ostatniego spotkania z Putinem Łukaszenka miał nawet oświadczyć, że Mińsk nie potrzebuje kolejnych kredytów z Rosji.

Jednak ta korzystna koniunktura zaczyna odchodzić do przeszłości. Przede wszystkim znacznie przyspieszyła inflacja, która zbliża się do 10 proc. w skali roku. W efekcie już w sierpniu spadły realne wynagrodzenia, w szczególności wśród pracowników sektora budżetowego, który zawsze był punktem oparcia dla reżimu. Oznaki niezadowolenia można zauważyć także wśród robotników, a jeśli Łukaszenka czegoś się obawia, to nie demonstracji wielkomięjskiej inteligencji i studentów, ale strajków w państwowych przedsiębiorstwach. Konstantin Byczek, zastępca naczelnika zarządu dochodzeniowego białoruskiego KGB, poinformował kilkanaście dni temu o ujawnieniu w kilku dużych fabrykach sieci zakonspirowanych komórek organizacji nazywającej się Ruch Robotniczy. W świetle oficjalnej wersji miałyby to być organizacja, której uczestnicy planowali akty dywersji w najważniejszych białoruskich zakładach przemysłowych, takich jak rafineria Naftan czy Grodno-Azot. Sam Łukaszenka tydzień wcześniej, w trakcie spotkania z wicepremierem Parchomczukiem i ministrem przemysłu Nazarowym, mówił o „szpiegach” w państwowych przedsiębiorstwach, którzy donoszą Zachodowi, w jaki sposób Mińsk ma zamiar obejść wprowadzone sankcje. Wówczas odczytywano to jako wyraz narastającej szpiegomanii dyktatora, ale wydaje się, że możemy mieć do czynienia z reakcją na

napływające informacje o stanie nastrojów wśród robotników.

W grudniu wchodzi w życie postanowienia IV pakietu sankcji Unii Europejskiej, nałożonych po uprowadzeniu samolotu Ryanair, które mogą się okazać bardziej dolegliwe od poprzednich i uderzą w białoruskie przedsiębiorstwa, w rodzaju Białaruśkalij, które dużo eksportują i są w związku z tym kluczowe dla sytuacji budżetu. To zresztą ciekawy przykład tego, jak nie należy nakładać sankcji na reżimy w rodzaju białoruskiego. Otóż uchwalone przez Unię w ramach IV pakietu działania zostały tak skalibrowane, aby w sposób ograniczony uderzyć w możliwości reżimu. Na liście towarów objętych restrykcjami nie wpisano tych, które mają największe znaczenie dla eksportu, na

Łukaszenka odwołał się do narzędzia presji w postaci emigrantów szturmujących granice Unii Europejskiej, która ustanie, kiedy UE uzna jego władzę i zniesie sankcje

dodatek ich wejście w życie przesunięto do 5 grudnia. Chciano w ten sposób, jak argumentowali urzędnicy w Brukseli, wysłać sygnał Łukaszence i dać mu czas na skorygowanie polityki reżimu. Tylko że białoruski dyktator odebrał te działania w kategoriach słabości i odwołał się do narzędzia presji w postaci emigrantów szturmujących granice Unii Europejskiej, która ustanie, kiedy ta uzna jego władzę i zniesie sankcje.

FAŁA REPRESJI I „KNUJĄCY” ZACHÓD

Nie ustaje również nacisk wywierany na Łukaszenkę przez Putina, aby ten rozpoczął reformę konstytucyjną i przeprowadził referendum, które ma rozpocząć proces transmisji władzy. Po ostatnim spotkaniu w Rosji Łukaszenka przyspie-

szył proces reformy konstytucyjnej i zapowiedział przeprowadzenie „nie dalej niż w lutym” przyszłego roku referendum w sprawie jej przyjęcia, co ma oznaczać zmianę na stanowisku prezydenta kraju.

Ale jednocześnie białoruski dyktator przeszedł do kontrnatarcia, do którego pretekstem stało się wydarzenie z 28 września, mogące się okazać się datą przełomową, jeśli chodzi o sytuację na Białorusi. Tego dnia w Mińsku w czasie próby wejścia do prywatnego mieszkania Andreja Zelcera, młodego (31-letniego) pracownika jednej z tamtejszych firm komputerowych, został zastrzelony przezeń funkcjonariusz KGB i sam właściciel mieszkania. Cała sprawa jest mocno niejasna, akcja przeprowadzona przez funkcjonariuszy – w zgodnych opiniach zarówno ukraińskich, jak i rosyjskich specjalistów pytanym przez dziennikarzy – daleka była od profesjonalizmu.

Władze zdarzenie to potraktowały w kategoriach sygnału do zaostrzenia represji. Natalia Ejsmant, rzeczniczka Łukaszenki, powiedziała, przytaczając słowa dyktatora, że to, co się stało, „nie pozostanie bez kary”, a kierujący administracją Łukaszenki Igor Sergijenko oświadczył, że ci którzy „dostrzegają w przestępcy świętą ofiarę”, zostaną wykryci i ukarani. Inni funkcjonariusze reżimu poszli jeszcze dalej.

Itak szef komisji ds. bezpieczeństwa białoruskiego parlamentu, gen. Oleg Biełokoniew powiedział, że „za każdego zamordowanego przedstawiciela organów siłowych należałoby zlikwidować 100 przeciwników” obecnej władzy. Zdelegalizowano ostatnią na Białorusi organizację broniącą praw człowieka, aresztowano niemal 120 osób, które w sieciach społecznościowych pozytywnie, lub choćby tylko ze współczuciem, wypowiadały się o Zelcerze. W trakcie licznych rewizji rozwścieczeni funkcjonariusze aparatu represji demolowali wyposażenie, łamali meble i niszczyli wszystko, co im wpadło w ręce.

Nowa fala represji dotknęła też, i to jest niezwykle interesujące, białoruską edycję „Komsomolskiej Prawdy”, której internetowa strona została zablokowana po tym, jak znalazła się na niej wypowiedź koleżanki Zelcera z lat młodości, która



wyraziła się o nim ze współczuciem, mówiąc, że był „spokojnym człowiekiem”. Ale na tym nie koniec. Otóż autor artykułu, dziennikarz Giennadij Możejko, wiedząc, co się święci, uciekł do Moskwy i tam został zatrzymany przez agentów białoruskich służb, przywieziony do Mińska i aresztowany. Grożą mu wieloletnie wyroki. Już po zablokowaniu strony internetowej rosyjskiego dziennika rzecznik Kremla Pieskow wezwał Mińsk do „poszanowania swobody mediów” oraz odblokowania strony dziennika. Jednak białoruski reżim, niewiele sobie robiąc z tych wypowiedzi, a także z publicznych deklaracji wielu rosyjskich oficjeli, w tym samego Putina, że „Moskwa nie zostawia swoich”, nie ustąpił ani nie zmienił swego nastawienia. W efekcie redaktor naczelny „Komsomolskiej Prawdy”, znany rosyjski dziennikarz reżimowy Władimir Sungorkin, poinformował, że dziennik likwiduje swą białorską mutację. Ta informacja stała się w Moskwie sensacją.

Aby zrozumieć, co ona oznacza, trzeba nieco uwagi poświęcić właścicielowi dziennika. Formalnie jest nim przedsiębiorca Grigorij Bierzkin, jednak jak się w Rosji uważa, faktycznie kontroluje go Jurij Kowalczyk, właściciel holdingu Narodowa Grupa Medialna, „król rosyjskiej propagandy”, bliski przyjaciel Putina, przez niektórych analityków uznawany nawet za człowieka nr 2 w rosyjskich elitach. Przeprowadzenie w Moskwie akcji w związku z Możejką przez służby Łuka-

szenki oznacza, że nie mogła się odbyć bez przyzwolenia, a nie można wykluczyć, że z udziałem rosyjskich siłowników. Tym bardziej jest to znaczące wydarzenie, że działanie to wzbudził sprzeciw części „cywilów” na Kremlu i wymierzone było w interesy bliskiej grupy z otoczenia Putina. Wszystko to razem wzięte skłania do opinii, że białoruski dyktator ma bardzo wpływowych przyjaciół w Moskwie i to, co się dzieje na Białorusi, staje się elementem rywalizacji grup polityczno-biznesowych w samej Rosji.

Tego rodzaju oceny potwierdzają też niedawne deklaracje Siergieja Szojgu, rosyjskiego ministra obrony, który zapowiedział, że na Białorusi powstaną dwa, a nie jedno, „centra bojowo-szkoleniowe”, które zdaniem niektórych ekspertów będą regularnymi bazami wojskowymi. Zwiększenie ich liczby ma być wynikiem „doświadczeń” wyniesionych z niedawnych ćwiczeń Zapad 2021, ale czy wyłącznie o to chodzi? Nikołaj Karpieńkow, dowodzący białoruskimi wojskami wewnętrznymi, powiedział przed kilkoma dniami, że „w całej Europie Zachodniej zbierają ludzi powiązanych z ISIS” i potem, przy okazji realizowanej przez Polskę i Litwę polityki push back, przerzucają tych ludzi na Białoruś. W jego opinii tego rodzaju działanie ma prowadzić do destabilizacji sytuacji i jest kolejną fazą operacji Zachodu. Co ciekawe, niedawno sam Łukaszenka mówił o tym, że na Ukrainie szkoleni-

są terroryści i dywersanci, którzy mają przeniknąć przez granicę i destabilizować sytuację. Karpieńkow jest bardzo nieciekawą postacią, był jednym z ludzi współtworzących „szwadron śmierci”, który przed kilkunastoma laty zajmował się likwidowaniem przeciwników politycznych Łukaszenki, zamordował m.in. Aleksandra Kozulina, niezależnego kandydata w wyborach prezydenckich. Jego słowa mogą wskazywać na to, że część elity władzy w Mińsku, ciesząc się wsparciem rosyjskich siłowników, jest wręcz zainteresowana eskalacją napięcia na granicach z Polską i pozostałymi państwami wschodniej flanki NATO.

SCENARIUSZE ROZWOJU SYTUACJI

Użycie migrantów w charakterze narzędzia presji na państwa Unii Europejskiej jest tylko elementem szerszej rozgrywki, którą prowadzi Łukaszenka, narzędziem, za pomocą którego chce on poszerzyć obszar swej władzy i zwiększyć pole manewru, zarówno wobec Moskwy, jak i Zachodu. Ostatnie decyzje białoruskiego parlamentu zatwierdzające wypowiedzenie umowy o readmisji z Unią Europejską, a także utworzenie nowych „szlaków migracyjnych”, przede wszystkim z Syrii, czy nieprzyjęcie polskiego transportu humanitarnego pokazują, że Mińsk jest zainteresowany eskalowaniem, a nie rozładowaniem konfliktu na granicach.

Politolog Witalij Cygankow powiedział Radiu Swaboda, że działania reżimu mają na celu nie tylko uwiarygodnienie wersji, iż ubiegłoroczne masowe wystąpienia były organizowane przez obce służby, lecz że Łukaszenka, dążąc do eskalacji napięcia, chce uzyskać pretekst, który pozwoliłby mu wprowadzić na czas nieokreślony stan wyjątkowy lub wojenny na Białorusi. W efekcie wymuszone przez Moskwę i zapowiedziane na „nie później niżli w lutym” przyszłego roku referendum konstytucyjne, które miałyby rozpocząć proces zmiany modelu władzy na Białorusi i stopniowego odchodzenia dyktatora, mogłyby zostać odwołane w czasie. Ostatnie spotkanie Łukaszenki z członkami „komisji konstytucyjnej”, w którego toku dyktator mówił, że „jest jeszcze wiele pracy do zrobienia”, wskazuje, iż w obozie władzy trwa właśnie wewnętrzna debata na temat najlepszych rozwiązań. Oficjalny projekt przewiduje wyposażenie w specjalne rozszerzone kompetencje Białoruskiego Zgromadzenia Narodowego, ciała będącego do tej pory rodzajem pozakonstytucyjnej platformy konsultacyjnej, którego członkowie nie pochodzą z wyboru.

Miałoby ono stać się czymś w rodzaju superparlamentu uprawnionego do zatwierdzania wyborów prezydenckich lub zdjęcia z urzędu głowy państwa, gdyby ta sprzeniewierzyła się swoim obowiązkom. Spekuluje się, że to Łukaszenka mógłby

W interesie białoruskiego reżimu jest zaognienie sytuacji na granicy, nawet doprowadzenie do lawinowego wzrostu liczby ofiar śmiertelnych, co w miesiącach zimowych wydaje się coraz bardziej możliwe

stanąć na czele tego organu władzy, używając, trochę na wzór rozwiązań wprowadzonych w Kazachstanie, status „superarbitra” mającego w najważniejszych sprawach państwowych ostatnie słowo. Zwiększenie napięcia na granicy jest

i w tym wypadku na rękę Łukaszence, bo konsoliduje obóz władzy, który „okrążony przez wrogów” musi się bronić, a nie czytelować zapisy nowej konstytucji.

Jakie zatem scenariusze rozwoju sytuacji na granicy Białorusi i Polski wchodzą w grę? Wydaje się, że najbardziej prawdopodobnym jest nasilanie presji i wzrost napięcia. W interesie reżimu jest zaognienie sytuacji, nawet doprowadzenie do lawinowego wzrostu liczby ofiar śmiertelnych, co w miesiącach zimowych wydaje się coraz bardziej możliwe. To dziś najbardziej prawdopodobny wariant rozwoju sytuacji. Efekt „katastrofy humanitarnej” na granicy może zwiększyć liczbę przeciwników obecnej polityki zarówno w Polsce, jak i w Unii, a o to Łukaszence w gruncie rzeczy chodzi. Ceną będzie, jak zapowiedział, uznanie jego władzy i odejście od polityki sankcji.

Jeśli Polsce, Litwie i Łotwie uda się powstrzymać ten napór, za równo w wyniku umocnienia granicy, jak i wsparcia sojuszników (ważne w tym kontekście są niedawne deklaracje tureckiego ministra spraw zagranicznych), to nie można wykluczyć, że rachunek nakładów i efektów, który skłonił Łukaszenkę do użycia migrantów w charakterze broni, osłabnie. Przejście państw graniczących z Białorusią do działań bardziej asertywnych, polegających na utrudnianiu ruchu towarowego, może tylko ten moment przyspieszyć. Trzeba być jednak gotowym, choć brzmi to w obecnej sytuacji jak herezja, aby zaproponować reżimowi rozwiązanie problemu, które będzie z jego perspektywy akceptowalne.

Mamy wreszcie trzecią możliwość. W stolicach Europy Zachodniej mogą dojść do wniosku, że paradoksalnie przyspieszenie procesu kontrolowanej transmisji władzy na Białorusi i wprowadzenie tam moskiewskich porządków może się przyczynić do osłabienia presji migracyjnej. Jednak ceną ewentualnego porozumienia Zachodu z Rosją w tej kwestii jest nie tylko pozostawienie Moskiewie wolnej ręki na Białorusi, lecz również, a może przede wszystkim, zgoda na rozpoczęcie rozgrywek o przyszłość Ukrainy. Z naszej perspektywy to także scenariusz zły, tyle że skutki jego realizacji odczujemy później.



Kto chce krzywdy dzieci?

GPK.GOV.BY

Media lewicowo-liberalne na gwałt potrzebują krzywdy dzieci, by w relacjach o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej pokazać rząd jako zbrodniczy reżim, a szacunek wobec straży granicznej zamienić w nienawiść wobec mundurowych



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

I października Polacy zobaczyli zdjęcia kilkuletnich muzułmańskich dzieci w ośrodku straży granicznej w Michałowie, które ze smutkiem przygarniają słodycze. Chwilę później wybuchł skandal – internauci zwrócili uwagę, że ktoś specjalnie rzuca dzieciom czekoladki i batoniki, by podeszły do ogrodzenia – dzięki temu fotoreporterzy mieli lepsze zdjęcia przedstawiające rzekomą krzywdę. Relacje z sytuacji na granicy polsko-białoruskiej stanęły na głowie, prawda przestała się liczyć. Rozpętywana jest za to histeria.

Posłanka Katarzyna Piekarska (Koalicja Obywatelska) na mównicy sejmowej zachowywała się tak, jakby była w psychodelicznym amoku. „Gdzie są dzieci?” – wrzeszczała podczas sesji parlamentu. „To nie jest śmieszne!” – krzyczała, wymachując rękami.

Jakby tego obłędu było mało, w empatyczny maraton rzucili się ludzie kultury i celebryci. Agnieszka Holland wspomniała o pilnowaniu granicy w kontekście sowieckich obozów karnych, prof. Jacek Leociak, literaturoznawca, na jednym z mikroprotestów porównał powstrzymywanie nielegalnej imigracji do Holocaustu. Na wydarzeniach kulturalnych, takich jak gala literackiej nagrody Nike, jeden z wyróżnionych stwierdził, że żyjemy w „faszystowskim gównie”, a obecni w patetycznym happeningu podnieśli kartki z napisem „Gdzie są dzieci?”. Lawina szaleństwa zdaje się nie mieć końca.

„TO SĄ CIĘŻKIE SYTUACJE”

Rodzice z dziećmi zatrzymani na nielegalnym przekraczaniu granicy polsko-białoruskiej często trafiają do ośrodka straży granicznej w Michałowie, kilkanaście kilometrów od terytorium Białorusi. Miasteczko na Podlasiu nie leży w strefie objętej stanem wyjątkowym, a więc swobodny dostęp do tamtejszej placówki mają dziennikarze i okoliczni mieszkańcy. Pracujących tam funkcjonariuszy SG

próbują się przedstawić jako ślepych wykonawców bezlitosnych rozkazów. 1 października na posiedzeniu Rady Miejskiej Michałowa mjr Piotr Dederko, zastępca komendanta SG w Michałowie, opowiadał o dylematach, przed jakimi stoją obrońcy polskich granic. Bo jest dokładnie odwrotnie, niż przedstawiają to krytycy – mundurowi opiekują się najsłabszymi nawet bardziej, niż powinni. „Udało się te rodziny odnaleźć, dzięki społeczeństwu dostaliśmy informację” – opowiadał przed michałowskimi samorządowcami mjr Dederko o dzieciach, które matka – nielegalna imigrantka – przypadkiem zgubiła w lesie. Służby odstały dzieci do ośrodka opieki. Funkcjonariusze są wyrozumiali wobec kobiet i dzieci, a tymczasem porównuje się ich do strażników obozów koncentracyjnych. „To są naprawdę ciężkie sytuacje” – opowiadał z przejęciem Dederko.

JAKI RODZIC NARAŻA DZIECKO?

Przeciętny odbiorca mediów nie wie, jak wygląda złowieszcza taktyka przemytu ludzi na Zachód. Rodziny z Bliskiego Wschodu są często tak

zdeteminowane, by dostać się do legendarnych dla nich Niemiec, że życie i zdrowie dziecka nie jest dla nich nadzwyczajnym kosztem. Mjr Dederko opowiadał: „Wiele dzieci jest bez butów i bez czapek. Nie dlatego, że zgubiły. Ich rodzice zdejmują je i wyrzucają, żeby w ten sposób wzbudzić litość u funkcjonariuszy. To są rzeczy – proszę mi wierzyć – codzienne”. Nawet październikowe chłody nie powstrzymują matek i ojców przed wyziębieniem dzieci – byle zwiększyć swoje szanse na dostatnie życie. Także w ośrodkach straży granicznej dzieci nie mają łatwo – ale znowu nie przez funkcjonariuszy. „Kiedy nasi funkcjonariusze i funkcjonariuszki chcieli dać tym dzieciom słodczy, czasami te dzieci muszą być zabierane w inne miejsce, bo dorosły zawsze ma pierwszeństwo, aby zjeść te słodczy” – opowiadał mjr Dederko.

Podporucznik Anna Michalska, pełniąca obowiązki rzecznik prasowa straży granicznej, podczas briefingu prasowego 6 października opowiadała, że imigranci inaczej zachowują się przed strażnikami, a inaczej na widok dziennikarzy – wtedy wołają o pomoc, robią smutne miny i pokazują na bezbronne dzieci. Większość z nich nie chce zostawać w Polsce, nie stara się o status uchodźcy w naszym kraju, często powtarza: „Azyl Berlin”. Gdy widzą kamerę, mówią co innego. Wtedy słychać: „Azyl Poland”.

Polska straż graniczna nagrała także zachowania białoruskich pograniczników, którzy kazali imigrantom pozować do zdjęć i pokazywać dzieci. Rodzice ochoczo wypełniali polecenia, bo dostali zapewnienie, że to im ułatwi przejście na Zachód. Białoruskie służby rozpowszechniły także „spoty reklamowe”, na których grupa śniadokórych ludzi wesoło maszeruje przez las, dostając się bezpiecznie do Europy – tak zachęca się ludność, np. w północnym Iraku i Syrii, do skorzystania z oferty białoruskich przemytników. Dzieci są dodatkowym zabezpieczeniem, mają budzić litość opinii publicznej. To właśnie cyniczna gra Łukaszenki, imigrantów i niektórych polskich dziennikarzy z liberalnych mediów naraża te dzieci na niebezpieczeństwo.

KTO ŁYKA PROWOKACJE

Rosyjskie służby mają jedną z najbardziej cynicznych i profesjonalnych dezinformacji na świecie – świadomie prowokują tematykę związaną z dziećmi, a polska opozycja i jej media ochoczo je podchwytyją. Nienawiść do PiS wielu odbiera rozum.

W połowie sierpnia Białoruska Agencja Telegraficzna opisywała przypadek niepełnosprawnego, którego rzekomo poturbowali polscy funkcjonariusze – ale historyjka nie wzbudziła zainteresowania po polskiej stronie. Ludzie Łukaszenki zastosowali kolejny scenariusz – opowieści o chorych i głodnych kobietach w Usnarzu Górnym. Te zostały już podchwyczone w polskich mediach, ale nie przekonały opinii publicznej. Teraz ruszyła propaganda dotycząca dzieci.

Specjaliści od socjotechniki wiedzą, że opieka nad dzieckiem jest pierwotnym ludzkim instynktem, który łatwo aktywować. Amerykański psycholog społeczny Jonathan Haidt stwierdził w swoich badaniach, że myślenie w kategorii „troski i krzywdy” jest jednym z pięciu podstawowych fundamentów myślenia. „W skład fundamentu Troska może wchodzić moduł wykrywający cierpienie, moduł rozpoznający celowe wyrządzanie krzywdy, moduł, który wykrywa pokrewieństwo, wreszcie – moduł rozpoznający próby otaczania opieką lub pocieszania” – pisał naukowiec w pracy „Prawy umysł”. Wniosek jest prosty – gdy pokazujemy cierpienie niewinnych dzieci, nawet rozum i logiczne argumenty nie dają rady wyjaśnić sytuacji. Naiwność demokratycznych społeczeństw to dla tego typu prowokacji miękkie podbrzusze, o czym Rosjanie wiedzą od dawna.

W czasach zimnej wojny KGB wykorzystywał zdjęcia płaczących dzieci wszędzie tam, gdzie Ameryka próbowała powstrzymać komunistów. Obrazki z zapłakanymi buziami robiły na czytelnikach takie wrażenie, że dyrektor amerykańskiej Centrali Wywiadu Richard Helms niektóre materiały ukrywał nawet przed prezydentem. Tym bardziej takimi fotografiami epatowali Sowietci – ich korespondenci wojenni publikowali wizerunki najmłodszych, nawet gdy sprawcą ich cierpienia byli oni sami, jak podczas operacji „Tet” w Wietnamie.

Kiedy Amerykanie ratowali świat przed komunizmem, schemat działania dezinformacji był podobny – KGB przekonywał, że US Army krzywdzi najsłabszych, rozpowszechniano nieprawdziwe informacje, a grupy antyrządowe w Stanach Zjednoczonych wywierały presję na rząd i służby mundurowe. W wyniku operacji CIA „Chaos” ustalono, że największą wiarę w fake newsy dawali ludzie o poglądach komunistycznych, sympatycy Związku Sowieckiego i ludzie powiązani z rosyjskimi instytucjami w USA.

OPOWIEŚCI WYSSANE Z PALCA

Rosyjskie służby potrafią wmówić społeczeństwu historie zupełnie nieprawdopodobne. Pod koniec lat 80. KGB wymyślił opowieść, w której USA miały w Ameryce Południowej porwać dzieci, by handlować ich organami. Gdy w 1988 r. sprawa pojawiła się w zachodniej prasie, do akcji wkroczyli prawnicy. Agenturalna organizacja Międzynarodowy Związek Prawników Demokratycznych z siedzibą w Brukseli wystosowała wiele apelów z zaniepokojeniem o losy najsłabszych. Artykuły w prasie ilustrowano zdjęciami dzieci, choć przecież taki proceder w ogóle nie miał miejsca. Eurodeputowana z Francuskiej Partii Komunistycznej Danielle de March domagała się podjęcia deklaracji potępiającej handel organami dziecięcymi. Bardzo to szlachetne, tylko że dotyczyło nieprawdziwych wydarzeń, podsycalo histerię i przede wszystkim realizowało cele polityczne Kremla – osłabienie Ameryki i ocalenie ruchów komunistycznych w Ameryce Południowej.

Wydarzenia ostatnich tygodni odbywają się wedle identycznego schematu – opisy nieistniejących problemów (złe traktowanie przez służby), ilustrowane zdjęciami prawdziwych dzieci (wabionych czekoladkami), a potem próby podsycania społecznej histerii (protesty) i angażowanie zatroskanych prawników (którzy chcą załatwić imigrantom status uchodźcy). O dziwo, okazuje się, że Polacy są na te kłamstwa względnie odporni. Co więc następnego wymyśli agentura wpływu?

Ostatnia prosta

Międzynarodowy zespół biegłych badających katastrofę smoleńską na zlecenie Prokuratury Krajowej przez tydzień pracował w Polsce. Byliśmy jedyną redakcją towarzyszącą ekspertom. Jak mówią, ich analizy wkraczają w decydującą fazę. I nie mają wątpliwości, że odpowiedzą na wszystkie kluczowe pytania o okoliczności dramatu z 10 kwietnia 2010 r.



MAREK PYZA

23. Baza Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim w minioną środę stała się miejscem pracy unikatowego na skalę światową zespołu specjalistów badających katastrofy powietrzne. Przyjechało kilkadziesiąt osób – ekspertów lotniczych, prokuratorów prowadzących śledztwo i żandarmerii wojskowych. Cel – ponowne oględziny

Tu-154M o numerze bocznym 102, bliźniaczej maszyny do tej, która rozbiła się w Smoleńsku.

Ogromny hangar o powierzchni ok. 2 tys. mkw. służy wyłącznie do przechowywania tego samolotu. Najpierw przez blisko osiem lat stał on pod gołym niebem i niszczał. Dziś, po licznych ingerencjach w jego strukturę, już z zewnątrz sprawia przygnębiające wrażenie. Zdemonstrowany statecznik porożkładany w częściach gdzieś w rogu hali. W innym – kilkanaście wymontowanych foteli. Rozprute poszycie skrzydła, odkręcony i uniesiony fragment dziobu. Mnóstwo oznaczeń flamastrami, nacięć blach. Sflaczające koła przypominające, że samolot od dawna nie wzbijał się w powietrze. Już nigdy to nie nastąpi.

Po jeżdżących schodkach wchodzimy do środka. Widok jest jeszcze bardziej ponury. Tupolew wygląda niczym stary magazyn, w którym od dawna nikt nie sprzątał, a jedynie wyrywał zeń kolejne elementy. Trzeba uważać i patrzeć pod nogi, by nie wpaść w dziury w podłodze. Na niej znajduje się jeszcze trochę piasku z worków służących zwykle np. do uszczelniania wałów przeciwpowodziowych. Te ułożone na stercie pod kadłubem rozbudzają wyobraźnię, jak wyglądały eksperymenty, które były tu prowadzone przez niektórych członków podkomisji działającej przy MON. Jak się dowiadujemy, worki służyły do obciążania maszyny, miały symulować rozmieszczenie pasażerów. Okazuje się, że na tyl przedziału pasażerskiego wrzucono ich



za dużo, w wyniku czego samolot przechylił się i uderzył częścią ogonową o podłogę hangaru.

ELITARNA EKIPA

– Te oględziny pozwolą nam doprecyzować dane techniczne dotyczące samolotu, jego struktury, konfiguracji foteli czy charakterystyki wnętrza skrzydła, w którym miałyby dojść do wybuchu. Wszystkie te dane załadujemy do superkomputera, który przygotowuje symulacje scenariuszy końcówki lotu – mówi nam prof. Goong Chen. To światowej sławy matematyk z Texas A&M University, którego cyfrowe rekonstrukcje posłużyły do analiz sądowych, m.in. dotyczących samolotu Malaysia Airlines Flight MH370 (zaginione w 2014 r. nad Morzem Południowochińskim) czy katastrofy Germanwings 9525 w Alpach w 2015 r. Wraz ze swoim zespołem zajmuje się modelowaniem i przeprowadzaniem symulacji superkomputerowych. Wykorzystuje do tego maszyny o potężnej mocy obliczeniowej, wielokrotnie przewyższającej możliwości tradycyjnych komputerów.

– Nie spodziewaliśmy się, że współpraca z polską prokuraturą będzie wyglądała tak dobrze. Większość mojej pracy jest już wykonana. Niebawem zakończymy obliczenia wszystkich za-

Nie możemy pojechać na miejsce katastrofy, na własne oczy zobaczyć wraku. Ale to nam nie przeszkodzi w ogłoszeniu przyczyny katastrofy. Przy kilkunastu wypadkach, którymi się zajmowałem, pracowałem głównie na danych z rejestratorów oraz fotografiach i dokumentach. Tu sytuacja jest bardziej skomplikowana, ale i z nią sobie poradzimy – zapewnia Tony James, były ekspert FAA

łożonych przez nas scenariuszy – od uderzenia w drzewo, w następstwie czego samolot miał się obrócić i uderzyć w ziemię, po użycie ładunków wybuchowych. Badamy każdą ewentualność, żadnej nie wykluczamy. Mając do dyspozycji taki materiał, jaki zebrali dla nas śledczy, możemy się oprzeć na symulacjach przeprowadzonych przez superkomputery. Jeśli

dolozymy do tego obecność w naszym gronie niezwykle doświadczonych badaczy katastrof, o wyniki prac możecie być spokojni. Powiem tak: jeśli nasz zespół nie poradziłby sobie z tym wyzwaniem, żaden inny by temu nie podolał – dodaje prof. Chen.

Prokuratorom udało się nawiązać współpracę z wybitnymi specjalistami od analizy katastrof lotniczych.

Richard Marquise jest byłym wyższym oficerem śledczym FBI. Obecnie jest niezależnym konsultantem ds. ścigania karnego i antyterrorystycznego. Pod koniec lat 80. był szefem Centrum Badań i Analiz Terrorystycznych w Siedzibie Głównej FBI. Po zamachu bombowym na samolot Pan Am Flight 103 nad Lockerbie w Szkocji w 1988 r. Marquise został wyznaczony do kierowania amerykańską grupą zadaniową. Szefował jej nie tylko do chwili przygotowania aktów oskarżenia w 1991 r., ale odgrywał również aktywną rolę w trakcie skutecznie zakończonej rozprawy w 2001 r.

Robert Benzons to doświadczony pilot (m.in. samolotów Douglas C-47 w czasie misji w Wietnamie), a od 1984 r. badacz katastrof lotniczych z ramienia NTSB (National Transportation Safety Board – Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, zajmującej się badaniem



Andre Stuart, prof. Goong Chen, Tony James, kpt. György Tóth

wypadków komunikacyjnych w USA). Brał udział w wyjaśnianiu ok. 100 wypadków lotniczych na całym świecie, m.in. w USA, Szkocji, Hongkongu, Indiach, Japonii, Afganistanie, Rosji, Indonezji, Anglii czy Kanadzie. Był także odpowiedzialny za zbadanie katastrofy Airbusa A300 w Nowym Jorku, drugiego największego wypadku lotniczego w historii USA.

James Thurman specjalizuje się w materiałach wybuchowych. Ma w tym 30-letnie doświadczenie, początkowo wojskowego technika od rozbrajania bomb, a następnie agenta specjalnego FBI. Śledztwa z jego udziałem dotyczyły m.in. ataku z użyciem materiałów wybuchowych na amerykańską ambasadę w Libanie w 1983 i 1984 r., wspomnianej wyżej katastrofy nad Lockerbie, zamachów bombowych na sędziego federalnego w Alabamie i adwokata w Gruzji w 1989 r. czy ataku z użyciem materiałów wybuchowych na World Trade Center w Nowym Jorku w 1993 r.

Długo by wymieniać ich osiągnięcia i kompetencje. Każdy z nich jest wybitnym specjalistą, bezcennym w badaniu tragedii z 10 kwietnia 2010 r.

– Gdy prof. Chen zadzwonił do mnie, by zaprosić do współpracy przy tej sprawie, byłem bardzo zaskoczony. To dla mnie wielki zaszczyt, że mogę pomóc

w wyjaśnieniu waszej narodowej tragedii – słyszymy od kolejnego z badaczy, Tony’ego Jamesa. Dziś jest on prywatnym konsultantem uczestniczącym w analizowaniu licznych katastrof, przed przejściem na emeryturę zaś był kluczową postacią w Federalnej Agencji Lotnictwa (FAA, odpowiedniku naszego Urzędu Lotnictwa Cywilnego), m.in. jako starszy członek Go Team – ekipy ekspertów udających się natychmiast na miejsce zdarzenia. W swoim dorobku ma pracę przy badaniu ok. 900 (!) katastrof i incydentów lotniczych.

Choć długo może mówić o problemach, jakie badacze mają w sprawie tragedii smoleńskiej, rozmowa z nim napawa nadzieją. – Są pewne niedogodności, nie możemy pojechać na miejsce katastrofy, na własne oczy zobaczyć wraku. Nie wiemy, jaka była charakterystyka gleby w dniu tragedii, jak poważne zmiany zaszły na polu szczątków, jak wiele części rozbitego samolotu przeniesiono, nie możemy zrobić jego rekonstrukcji. Ale to nam nie przeszkodzi w ogłoszeniu przyczyny katastrofy. Przy kilkunastu wypadkach, którymi się zajmowałem, pracowałem na danych z rejestratorów oraz fotografiach i dokumentach, nie było potrzeby jechania na miejsce. Tu sytuacja jest bardziej skomplikowana, ale i z nią sobie poradzimy – zapewnia Tony James.

„CYFROWE” ŚLEDZTWO

Ważną funkcję w zespole biegłych pełni Andre Stuart, szef firmy 21st Century Forensic Animations, od ponad trzech dekad specjalizującej się w tworzeniu interaktywnych map trójwymiarowych wykorzystywanych w badaniach kryminalistycznych. Wraz ze swoimi współpracownikami (m.in. z kolejnej firmy, ATA Associates Inc., zajmującej się cyfrowymi rekonstrukcjami wypadków) przygotowuje on zobrazowanie 3D pola szczątków i jego okolicy w Smoleńsku.

– Pod względem technicznym to najbardziej skomplikowane zadanie, z jakim przyszło mi się mierzyć. Obejrzenie miejsca zdarzenia byłoby szalenie pomocne, w dalszym ciągu znajduje się wysoko na naszej liście życzeń, choć wiemy, że szanse na jego spełnienie są niewielkie. Zamiast tego musimy bazować jedynie na zdjęciach, których jest ponad 60 tys., oraz nielicznych filmach. To niezwykle żmudne zadanie. Jesteśmy już na końcowym etapie, ale potrzebujemy jeszcze trochę czasu na jego ukończenie – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci”.

Na ile pomocna z jego punktu widzenia będzie wizyta w Mińsku Mazowieckim? – Niektóre fragmenty szczątków samolotu w Smoleńsku były niewidoczne, czymś zakryte, więc utrudniona była ich

identyfikacja na podstawie zdjęć. Dzięki pomiarom, drobiazgowemu sfotografowaniu oraz zeskanowaniu bliźniaczego samolotu, możemy lepiej przyporządkować konkretne elementy do cyfrowej rekonstrukcji – tłumaczy Andre Stuart.

Dla prokuratury pracuje też kilku bardzo doświadczonych pilotów tupolewów, dziś związanych z węgierskim ośrodkiem naukowo-badawczym pod Debreczynom PharmaFlight. To obecnie najlepsi w Europie specjaliści od tupolewów. Wśród nich jest kpt. György Tóth, który wylatał na tych samolotach blisko 8 tys. godzin, m.in. w dawnych węgierskich liniach lotniczych, również jako dowódca załogi z pasażerami VIP. W rozmowie z nami podkreśla, jak bogaty i profesjonalny jest materiał badawczy przygotowany przez prokuraturę: – Czasem jest go aż za dużo. Musimy przeanalizować dane z rejestratorów parametrów lotu, z rejestratora nagrań z kokpitu, całe tło katastrofy liczone w latach, dotyczące kwestii bezpieczeństwa, ale też zdarzenia bezpośrednio poprzedzające lot – od przygotowania pilotów, przez kwestie prognozy pogody etc.

Do dlatego kolejnym miejscem, które wizytowali w Polsce, był Wojskowy Port Lotniczy na Okęciu, z którego Tu-154M nr 101 wzbil się po raz ostatni w powietrze.

Czujemy wielką odpowiedzialność, jaka spoczywa na naszych barkach, zdajemy sobie sprawę z oczekiwań, jakie mają wobec naszej pracy polska opinia publiczna i prokuratura. Być może nasz raport nie zostanie przyjęty z zachwytem przez wszystkich Polaków, ale nie możemy się na tym skupiać. Pracujemy dla Rzeczypospolitej Polskiej – mówi światowej sławy matematyk prof. Goong Chen

– Zadaniem naszej grupy jest wypożyczyć Tony'ego i Boba [chodzi o wspomnianych już ekspertów z FAA i NTSB – przyp. red.] w wiedzę dotyczącą charakterystyki samolotu. Rosyjskie maszyny różnią się bowiem od tych, na których doświadczenie mają nasi amerykańscy koledzy – dodaje kpt. Tóth.

Tony James dopowiada: – Dotychczas widziałem tego tupolewa tylko na zdjęciach, a György zna go od A do Z. Nauczył mnie wszystkich systemów tej maszyny, które wcześniej były mi obce. Jego obecność jest bezcenna.

Dopytujemy węgierskiego pilota, czy nie ma wątpliwości co do wiarygodności zapisów czarnych skrzynek z Tu-154M nr 101. Zaprzecza: – Są pewne drobne rozbieżności pomiędzy nagraniami CVR [Cockpit Voice Recorder, czyli tzw. głosowy rejestrator – przyp. red.] a rejestratorami parametrycznymi, ale zasadniczo jest to bardzo dobry materiał, który pomoże nam wyjaśnić przyczynę tej katastrofy.

„USTALIMY PRAWDĘ!”

O tym, co już zrobili, do jakich wniosków doszli, nawet o najdrobniejszych szczegółach dotychczasowych ustaleń, mówić nie chcą i nie mogą do momentu zakończenia

badania i napisania ostatecznej opinii dla śledczych. Zostali na to uczuleni przez prokuratorów. Ale tak właśnie wyglądają standardy badania katastrof lotniczych na całym świecie. Nawet jeśli polska praktyka w tym zakresie bywa odmienna.

Dlaczego trwa to tak długo? Czynników jest kilka. Z jednej strony wciąż odbijają się czkawką zaniedbania z 2010 r., owocujące brakiem dostępu strony polskiej do kluczowych dowodów. Z drugiej – wyjątkowo obszerny jest materiał, jaki zebrano przez te wszystkie lata, przeróżne opinie ekspertów, oficjalne raporty, które biegli muszą szczegółowo przeanalizować. Z trzeciej – pandemia koronawirusa na pewien czas uniemożliwiła spotkania zespołu, w którego skład wchodzi ludzie z kilku krajów na dwóch kontynentach.

Jak długo to wszystko jeszcze potrwa? Dziś nikt nie udzieli precyzyjnej odpowiedzi. Wielokrotnie już przedłużano to postępowanie, rozciągały się w czasie kolejne czynności. Co trudno zrozumieć, prokuratura wciąż nie ma jeszcze wszystkich opinii sądowo-medycznych zleconych po ekshumacjach ofiar. Na ostatniej prostej są analizy włoskiego laboratorium karabinierów. Przypomnijmy, jak już ujawnialiśmy w tygodniku „Sieci”,

Rejestrator szybkiego dostępu do parametrów lotu firmy ATM (tzw. polska czarna skrzynka). Takie urządzenie znajdowało się na pokładzie TU-154M nr 101





Częściowo zdemontowane skrzydło Tu-154M nr 102

w dotychczas przebadanych w Rzymie (a także w angielskim Kent) próbkach ze Smoleńska wykryto ślady materiałów wybuchowych. Dopiero niedawno biegli z kilku instytucji przekazali nową opinię dotyczącą nagrań z kokpitu. Trwa jeszcze kilka analiz eksperckich w polskich ośrodkach naukowych. Oczekiwanie zakończenia śledztwa w 2022 r. byłoby zatem chyba nieco na wyrost.

Od początku było jasne, że pracę międzynarodowego zespołu biegłych trzeba będzie liczyć w latach. Jednak pod pewnymi względami to zaleta. Gdy w 2018 r. po raz pierwszy rozmawialiśmy z biegłymi na łamach tygodnika „Sieci”,

prof. Chen wyjaśniał: „Superkomputery poprzednich generacji symulację katastrofy dużego samolotu odrzutowego obliczały przez tygodnie, a nawet miesiące. W ciągu ostatnich pięciu lat parametry maszyn, na których pracujemy, polepszyły się na tyle, że ten proces skrócił się do tygodnia, może dwóch. Ale prędkość superkomputerów to jedno, kolejnym elementem jest oprogramowanie – mówiąc ogólnie: szybsze, dokładniejsze i bardziej efektywne w wynikach, bo coraz lepiej radzące sobie z przetwarzaniem mnóstwa skomplikowanych danych”. A zatem narzędzia, jakimi dysponują w 2021 r.

są już o wiele lepsze niż przed trzema laty. Tym, co może budzić największy optymizm, jest pewność, z jaką każdy z naszych rozmówców odpowiada na pytanie o wątpliwości, czy uda im się ustalić prawdę o wydarzeniach sprzed 11 lat. Wszyscy są zgodni, że sobie z tym poradzą.

– Czujemy wielką odpowiedzialność, jaka spoczywa na naszych barkach, zdajemy sobie sprawę z oczekiwań, jakie mają wobec naszej pracy polska opinia publiczna i prokuratura. Być może nasz raport nie zostanie przyjęty z zachwytem przez wszystkich Polaków, ale nie możemy się na tym skupiać. Pracujemy dla Rzeczypospolitej Polskiej i mogę zapewnić, że nasze zadanie wykonamy na najwyższym poziomie, bez względu na to, jakie mogłyby być reakcje na nasze ustalenia – mówi prof. Chen.

Jego zespół współpracujący z Prokuraturą Krajową to światowy ewenement. Nareszcie – można by rzec – jak przystało na sprawę katastrofy, której nie da się porównać z żadną inną. Polska potrzebuje rzetelnego, wiarygodnego ustalenia wszystkich okoliczności tragedii z 2010 r. Badacze z takim doświadczeniem i autorytetem w swoich dziedzinach gwarantują, że nie tylko w naszym kraju, lecz i w oczach społeczności międzynarodowej ich wnioski nie będą mogły być kwestionowane.



Salonka prezydencka w TU-154M nr 102

*Brytyjczycy zamykający
wjazd do swojego kraju
konserwatywnemu publicyście
dali się zmanipulować naszym
rodzimy donosicielom,
którzy przedstawili Ziemkiewicza
jako rzekomego faszystę.
Jednak poglądy Ziemkiewicza
rzeczywiście nie mieszczą się
w kanonie dopuszczonym przez
lewicę. Novum tej sytuacji polega
na tym, że ten lewicowy kanon
nazywany jest w Londynie
„brytyjskimi wartościami”
i został oficjalnie autoryzowany
przez państwo*

Szlaban na Ziemkiewicza

Rafał Ziemkiewicz wybrał się do Wielkiej Brytanii, aby wraz z żoną wziąć udział w inauguracji roku akademickiego na Oksfordzie, gdzie jego córka rozpoczyna właśnie studia na wydziale biochemii. Brytyjczycy wpuścili żonę i córkę, natomiast samego Ziemkiewicza zatrzymano „do wyjaśnienia”. Początkowo – jak relacjonował publicysta – miało chodzić o „problemy techniczne”, sytuacja jednak szybko się zmieniła: Ziemkiewicza poddano kontroli osobistej, odebrano mu dokumenty, telefon i leki na cukrzycę, po czym umieszczono w areszcie. Finał sprawy jest znany: po



KONRAD KOŁODZIEJSKI

interwencji polskiego konsula Ziemkiewicza wsadzono do powrotnego samolotu do Warszawy, oznajmiając mu, że nie został wpuszczony do Wielkiej Brytanii, ponieważ „jego poglądy stoją w sprzeczności z brytyjskimi wartościami”.

JEDYNIĘ SŁUSZNE WARTOŚCI

Zatrzymanie Ziemkiewicza wzbudziło wielką radość wśród naszej „demokratycznej” opozycji. Publicysta jest od dawna znienawidzony przez liberalne salony, nie tylko ze względu na swój ostry język (choć nie knajacki jak u antypisowskich biedaelit), lecz głównie dlatego, że jest zarazem poczytnym autorem, którego konserwatywne poglądy mają wpływ na wielu ludzi.

Jednak ciesząc się z kłopotów Ziemkiewicza, jego oponenci przyznają się zarazem do swojej kompletnej bezradności. Nie będąc w stanie pokonać go

Fot. Michał Woźniak/Real News

na gruncie publicystycznym, reagują jak klasyczni zamordyści, uznając najwyraźniej, że osoby o niemiłych im poglądach powinny zostać ukarane, a najlepiej wsadzone do paki. Wprawdzie Ziemkiewicz długo w pace nie posiedział, ale samo to, że Brytyjczycy zatrzymali go właśnie z powodu jego poglądów, wprowadziło naszych liberalnych fiksatów w krótkotrwałą ekstazę. Pokazuje to, na jak niebezpieczne pozycje przesunęli się w ostatnich latach liberałowie (którzy liberałami są już tylko z nazwy) i jak wielkie zagrożenie dla wolności mógłby stanowić powrót tych ludzi do władzy w Polsce.

Coraz wyraźniej bowiem widać – co jeszcze nie tak dawno temu byłoby u nas trudne do wyobrażenia – że Polska, w odróżnieniu od starych zachodnich demokracji, stała się oazą wszelkich swobód, które nie zostały u nas jeszcze obwarowane dziesiątkami ideologicznych zastrzeżeń. Oczywiście liberałowie od dawna uważali, że każda wolność, w tym wolność słowa, kończy się wtedy, gdy narusza ona prawa innych. Problem w tym, że lewica wypełniła te zasady własną ideologiczną treścią i ograniczając debatę publiczną rygorami politycznej poprawności, doprowadziła do jej zmonopolizowania, spychając tym samym osoby o odmiennych poglądach do getta rzekomych przeciwników wolności. To dlatego na Zachodzie trzeba dziś bardzo uważać na każde wypowiedziane słowo i na każdy gest. Niezdolność do autocenzury i brak ostrożności mogą bowiem kosztować utratę kariery, a nawet stać się przyczyną poważnych kłopotów z prawem.

Brytyjczycy zamykający wjazd do swojego kraju konserwatywnemu publicyście dali się oczywiście zmanipulować naszym rodzimym donosicielom, którzy przedstawili Ziemkiewicza jako rzekomego faszystę, rasistę i antysemitę. Jednak nie ulega wątpliwości, że poglądy Ziemkiewicza rzeczywiście nie mieszczą się w kanonie dopuszczonym przez lewicę. Novum tej sytuacji polega na tym, że dziś ten lewicowy kanon nazywany jest „brytyjskimi wartościami”, a zatem został oficjalnie autoryzowany przez państwo. Tak samo jest zresztą

w innych krajach szeroko rozumianego Zachodu. Przekonało się o tym wielu innych „nieprawomyślnych”, w tym takie tuż jak konserwatywny brytyjski filozof Roger Scruton, którego tuż przed śmiercią zaszczytowało za poglądy i wyrzucono z rządowej komisji architektonicznej, domagając się przy tym odebrania mu tytułu szlacheckiego.

Przywodzi to nieco na myśl czasy wczesnych bolszewików w Rosji, gdy „wrogów” stawiano pod publicznym prężerem, stygmatyzowano i pozabawiano praw. Później „rewolucyjne

Ziemkiewicz długo w areszcie nie posiedział, ale samo to, że Brytyjczycy zatrzymali go z powodu jego poglądów, wprowadziło naszych liberalnych fiksatów w krótkotrwałą ekstazę

trybunały” nie bawiły się już w takie konwenanse, tylko od razu wsadzały za kraty. Miejmy nadzieję, że tym razem historia się jednak nie powtórzy.

SZEFOWA TRYBUNAŁU

W przypadku Ziemkiewicza w roli szefowej „rewolucyjnego trybunału” ustawiła się niejaka Rupa Huq, posłanka brytyjskiej Partii Pracy pochodząca z rodziny bengalskich imigrantów. Rupa Huq już od dawna „prześladowa” Ziemkiewicza. Gdy w 2018 r. publicysta planował serię spotkań ze swoimi polskimi czytelnikami w Wielkiej Brytanii, Rupa Huq zaapelowała do brytyjskiego rządu o niewpuszczanie go do kraju, twierdząc, że „obecność Ziemkiewicza nie przyczyni się do polepszenia relacji międzyrasowych w Wielkiej Brytanii”. Jak twierdzi Ziemkiewicz, był to zapewne skutek wcześniejszego umieszczenia go na „liście antysemitów” przygotowanej przez Rafała Pankowskiego ze Stowarzysze-

nia „Nigdy Więcej” i rozpropagowanej także poza granicami Polski. Ostatecznie publicysta zrezygnował wówczas z przyjazdu do Wielkiej Brytanii. „Powizytach smutnych panów wszystkie lokale, gdzie miały odbywać się spotkania – nawet rezerwacje restauracji na kolacje zostały wymówione” – uzasadnił.

Pomimo upływu trzech lat Rupa Huq wcale nie zapomniła o Ziemkiewiczu, być może zresztą ktoś usłużny jej o nim przypomniał, zwłaszcza że we wrześniu – jak wynika z jej słów i fotorelacji zamieszczonej na Twitterze – odwiedziła

Warszawę. I co ciekawe, nikt jej na Okęciu nie zaarrestował ani nie wydalil do Wielkiej Brytanii. Gdy więc Ziemkiewicz pojawił się w poprzednią sobotę w Londynie, Rupa Huq nie posiadała się z radości, że go wreszcie zatrzymano, publikując nawet zdjęcie dokumentu wydanego przez brytyjski resort spraw wewnętrznych, w którym odmawiano mu wjazdu. Jak stwierdziła Huq: „Nikt, kto propaguje rasizm, w tym islamofobię i negowanie Holokaustu, nie jest mile widziany”.

Oczywiście, aby stawiać tego rodzaju ciężkie zarzuty, należałoby mieć najpierw dowody, których Rupa Huq nie ma, czerpiąc – jak wszystko na to wskazuje – swoją „wiedzę” o Polsce od nawiedzonych antypisowskich oszołomów. Gdyby takie dowody były, z pewnością Ziemkiewicz stanąłby przed polskim sądem. Tyle że jego publicystyka – mimo że ostra – nie wykracza poza normy przyjęte w tym gatunku ani poza Kodeks karny. Zawsze też, co zresztą Ziemkiewiczowi już się przytrafiało, ktoś urażony może go pozwać przed sąd cywilny. Dla owładniętej ideologiczną manią lewicy to jednak zbyt mało. Ona wolalaby postawić na straży ludzkich umysłów państwo i stosować policyjne represje za „niewłaściwe” poglądy.

Inna rzecz, że oskarżenia o rasizm, antysemitizm itp. mocno się za sprawą lewicy zdewaluowały, skoro są traktowane jako zwyczajowe obelgi pod adresem inaczej myślących. W takim też znaczeniu mogła ich użyć nieszcześna posłanka torysów.

Warto też zauważyć, że Rupa Huq, tak chętnie szermująca wobec innych

zarzutami antysemityzmu, sama ma tu sporo za uszami. Jak można przeczytać w brytyjskiej prasie, wywodząca się z muzułmańskiej rodziny Huq była już w przeszłości oskarżana o antysemityczne wybryki. Najpierw broniła swojej partyjnej koleżanki zawieszanej za publikowanie na Twitterze antysemitycznych postów („W internecie łatwo coś kliknąć” – tłumaczyła), a potem – jak pisze „The Times” – podobne zarzuty postawili jej dwaj pracownicy biura poselskiego, twierdzący, że Huq drwiła z Żydów i opowiadała spiskowe teorie na ich temat. Huq nie przyznała się do niczego i sprawę zamknęła, a teraz próbuje występować w roli jedynej sprawiedliwej.

ZŁOŚĆ I ZAZDOŚĆ

Historia z zatrzymaniem Ziemkiewicza ujawniła – jak się zdaje – jeszcze jeden ponury aspekt walki prowadzonej w imię „tolerancji i różnorodności”. Chodzi o z trudem ukrywaną złość, że córka konserwatywnego publicysty dostała się na jeden z najbardziej prestiżowych uniwersytetów na świecie. To oczywiście jest niedopuszczalne, bo ludzie o „niewłaściwych” poglądach i ich rodziny powinni wegetować na marginesie społeczeństwa, tak jak to bywało w państwach komunistycznych, w tym także w PRL, zwłaszcza w jego wczesnej, najbardziej „rewolucyjnej” bierutowsko-stalinowskiej fazie. Pojawiała się też zwykła zazdrość, wyczuwalna choćby w zaczepkach Radosława Sikorskiego na Twitterze. „Swoją drogą ciekawe, że zamiast wysłać córkę, aby chłonęła pobożność i cnoty niewieście na KUL, nasi narodowcy wolą wywalić 100 tys. rocznie na uczelnię, która odmówiła honorowego doktoratu Lady Thatcher” – napisał Sikorski. A zaraz potem, za namową Romana Giertycha, zakpił sobie jeszcze z tego, że córka Ziemkiewicza będzie musiała na Oksfordzie uczyć się o LGBT.

Wszystko to, pomijając już zwykłą zawiść, wpisuje się w strategię uderzania w rodziny oponentów. O stygmatyzowaniu dzieci pravicowców mówił już parę lat temu Jacek Żakowski. „Za wieloma rodzinami oraz ich nazwiskami to się będzie ciągnęło na pokolenia” – groził. Nie da się zatem wykluczyć, czego oczy-



„Każde państwo ma prawo określać, kogo chce u siebie widzieć na terytorium, a kogo nie. My nie chcemy w tej chwili widzieć na terytorium migrantów, a Brytyjczycy Rafała Ziemkiewicza” – skomentował sprawę Bartłomiej Sienkiewicz, były szef MSW za rządów PO-PSL

Fot. Andrzej Wiktor

wicie Rafałowi Ziemkiewiczowi nikt uczciwy nie życzy, że zagraja niespełnionych donosicieli, która próbowała zrobić z niego naczelnego faszystę Europy, będzie próbowała teraz uprzykrzyć życie jego rodzinie.

SIENKIEWICZ KONTRA ZIEMKIEWICZ

Były szef MSW za rządów PO-PSL Bartłomiej Sienkiewicz, który ostatnio niestety słynie z żenujących wypowiedzi, przyrównał zatrzymanie Ziemkiewicza do sytuacji na naszej wschodniej granicy. „Każde państwo ma prawo określać, kogo chce u siebie widzieć na terytorium, a kogo nie. My nie chcemy w tej chwili widzieć na terytorium migrantów, a Brytyjczycy Rafała Ziemkiewicza” – powiedział. Oczywiście, że każdy może wpuszczać do siebie, kogo chce, ale Sienkiewicz sugeruje najwyraźniej, że prywatna wizyta konserwatywnego publicysty jest zagrożeniem porównywalnym z atakiem hybrydowym.

Różni nienawistnicy, tak bardzo radujący się aresztowaniu Ziemkiewicza na brytyjskiej granicy, okazują się jednocześnie niesłyszani wrażliwi i otwarcy na los nielegalnych imigrantów

zwożonych hurtem na polską granicę przez reżim Łukaszenki. Najchętniej ich wszystkich natychmiast wpuszciliby do Polski, nie pytając, skąd ani kim są. Jak powiedziała posłanka Koalicji Obywatelskiej Iwona Hartwich: „To, kim są imigranci, ustali się później”.

Na szczęście polskie służby już sporo rzeczy ustaliły, np. to, że niektórzy przyjezdni pasjonują się ścinaniem głów wrogom albo mają zamiary na specjalistów od materiałów wybuchowych. Oczywiście większość imigrantów to nie są terroryści, ale należy się spodziewać, że Łukaszenka preferuje właśnie takich. Bo oni są najbardziej przydatni w realizacji jego planu zdestabilizowania sytuacji w Polsce czy szerzej w Unii.

Ta część działaczy opozycji, której walka z PiS odjęła już najwyraźniej rozum, gotowa jest więc na bezwarunkowe otwarcie granic dla każdego bez względu na to, kto go przysłał oraz skąd i po co przyjechał, nawet jeśli wśród przyjezdnych przytrafia się dżihadysty obwieszani bombami. Dla wielu antypisowców znacznie bardziej groźne dla bezpieczeństwa są przecież pravicowe poglądy, za które należy przykładowie karać i wsadzać za kratki. Najlepiej całymi rodzinami.

Wojna i pokój Czarzastego

*Wojna o to, kto poprowadzi
Lewicę do wyborów,
była dlatego tak zacięta,
że od tego zależy trzecia
kadencja PiS*



STANISŁAW JANECKI

Od końca kwietnia 2021 r. toczyła się całkiem zacięta wojna o Włodzimierza Czarzastego, a właściwie przeciw niemu. Wszystko przez rozmowy polityka Lewicy z premierem Mateuszem Morawieckim w sprawie ratyfikacji unijnego funduszu odbudowy oraz kształtu Krajowego Planu Odbudowy. Były premier i były szef Sojuszu Lewicy Demokratycznej Leszek Miller ujął to tak: „Niedawno Lewica skandowała do Morawieckiego: »Będziesz siedział«, ale elektorat nie sądził, że tu chodzi o to, żeby usiąść przy jednym stole”. Od tego momentu

Włodzimierz Czarzasty stał się zdrajcą. I nic nie zmieniły zapewnienia, że najważniejsze jest dla niego odsunięcie Prawa i Sprawiedliwości od władzy, iż byłby „świnia i głupkiem, gdyby nie starał się postawić [Mariusza] Kamińskiego [szefa MSWiA] i [Zbigniewa] Ziobry [ministra sprawiedliwości] przed Trybunałem Stanu”. Miller oskarżył Czarzastego o tajne układy z PiS, których finałem ma być jego udział w rządzie PiS, zapewne na ministerialnym stoliku.

Ze strategią wspierania PiS, choć Lewica pod wodzą Czarzastego głosiła przeciw rozwiązaniom Polskiego Ładu, miała się wiązać rozprawa z wewnętrzną opozycją. Joanna Senyszyn, ukarana we wrześniu 2021 r. przez



Fot. Andrzej Wiktor

sąd partyjny (Senyszyn twierdzi, że żadnego sądu nie było) zakazem zajmowania funkcji w związku ze swymi wypowiedziami, oskarżyła Czarzastego o stosowanie „stalinowskich metod” oraz o „doprowadzenie do zaniku demokracji w partii”. Czarzasty okazał się nie tylko brzemieniem dla części działaczy własnej partii, lecz także wrogiem dla części opozycji, szczególnie tej spod znaku Platformy Obywatelskiej. I z takim znamieniem wchodził 9 października 2021 r. na kongres Lewicy. Za sojusznika miał jednak, jak sam to określił, „najważniejszą postać polskiej lewicy po transformacji”, czyli Aleksandra Kwaśniewskiego. Przemawiającego na kongresie, w przeciwieństwie do Leszka Millera, który „nie jest członkiem SLD”.

KŁOPOT DLA TUSKA

5 października 2021 r. Włodzimierz Czarzasty przypomniał, że w przeciwieństwie do Leszka Millera, Marka Borowskiego czy Wojciecha Olejniczaka on lewicy nie rozwalil ani nie doprowadził do kompromitującego spadku z 42-proc. poparcia. Między innymi przez dzielenie lewicy, co się już nie powtórzy, a czego efektem będzie jedna lewicowa lista wyborcza, czyli z udziałem Partii Razem, o czym zdecydowano jeszcze przed kongresem Nowej Lewicy, podpisując stosowną umowę.

Jeszcze trzy-cztery miesiące wcześniej „jedność lewicy była zagrożona”, znowu mogła się objawić „klątwa połowy kadencji”, a objawiły się spadki notowań. Wszystko przez „kłótnie wewnętrzne i głupotę, polegającą na wynoszeniu na zewnątrz spraw wewnętrznych partii”. „Wszyscy mają nauczkę, że jak opowiadają w mediach bzdury, mówię też o sobie, to Lewicy spadają notowania, a nie rosną. Refleks i rozum wyszedł z lasu i idzie w naszą stronę” – mówił na początku października 2021 r. Czarzasty w Radiu Zet. Głównie rozum idzie po to, by wygrać walkę „o państwo świeckie”. Bo „jeśli nie będzie państwa świeckiego, to kobiety w Polsce nie będą miały swoich praw, a młodzi ludzie nie będą mogli wyrażać

bez problemu w szkołach swoich poglądów”. A ponieważ „Lewica wprowadziła Polskę do Unii Europejskiej, to czas w tej chwili, by UE wprowadzić do Polski: w zakresie spraw socjalnych, praw kobiet, praw dla rolników i zrównania tego, co w innych krajach na Zachodzie się dzieje”.

Włodzimierz Czarzasty ma „jasne poglądy” i lubi je wyrażać „czasami w sposób bezczelny, wręcz arogancki”. Boleje nad tym, ale mierzi go „władzupstwo, głupota, obłuda”. To pierwsze przede wszystkim w odniesieniu do Donalda Tuska i to zasadniczy problem z Czarzastym. „Wszyscy do mnie mają pretensję: »Dlaczego pan ma inne

„Ja nie będę uczestniczył w wyścigu wchodzenia w tylek Donaldowi Tuskowi. [...] Lewica naprawdę nie musi szukać miejsca w gromadzie Tuska, bo mamy własną” – oświadczył w jednym z wywiadów Włodzimierz Czarzasty

zdanie od Donalda Tuska?«. Bo mają! Ale ja nie będę uczestniczył w wyścigu wchodzenia w tylek Donaldowi Tuskowi. [...] Lewica naprawdę nie musi szukać miejsca w gromadzie Tuska, bo mamy własną” – mówił na początku października 2021 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”.

Dystans do Donalda Tuska to główny powód ataków na Włodzimierza Czarzastego. I wytykanie Platformie zakłamania: „Politycy PO najpierw mówią, że kto rozmawia z PiS-em, ten jest zdrajcą. Następnie przyjeżdża na białym koniu Tusk i pierwsze co, to też to mówi. Po czym trzy miesiące po tej deklaracji, po tym, gdy to, co ja zrobiłem, Sikorski nazwał podpisaniem paktu Ribbentrop-Mołotow, Tusk mówi, że trzeba

się spotkać z PiS-em i zmienić konstytucję. Zmienić konstytucję?! [...] No więc ja po prostu się śmieję z tej obłudy”. Śmieje się też z pychy PO: „Budka, ogłosił ten swój program Koalicja 276, czyli powstanie platformy opozycji, która ma doprowadzić do wygranej. Z kim on to konsultował? Z nikim. [...] Kosiniak nie wiedział. Hołownia nie wiedział. Lewica nie wiedziała. W tej chwili Tusk wyszedł i powiedział: zróbmy wspólnie z PiS-em zmianę w konstytucji. Czy to był problem, żeby zadzwonić do Kosiniaka, do Hołowni, do Biedronia, Zandberga albo Czarzastego? [...] Mam już dosyć tej obłudy”. Ma też dość udawania: „Powołaliśmy jakieś zespoły

programowe swego czasu razem z PSL, z PO. Te zespoły nie działały i nie działają. [...] Patrzę na swoich partnerów z PO, bo to jest przecież partia opozycyjna, z którą wcześniej czy później my wszyscy jako opozycja będziemy współdziałali. I widzę, że oni zmieniają co cztery miesiące zdanie w sprawach zasadniczych”. Jak z kimś takim można tworzyć jedną listę wyborczą, tym bardziej że ona niczego nie gwarantuje. Niewybaczalne jest też naśmiewanie się z pomysłu rządu technicznego: „Nie było żadnego kryzysu politycznego, to jakaś bzdura zupełna!”. To „suchar, że była możliwość stworzenia rządu technicznego. Przecież nikt w to nie wierzył. I słusznie, bo nie było żadnej możliwości rządu technicznego. Co to za bzdury w ogóle, wyciągnięte z palca!”.

CHŁOPSKI UPÓR

Czarzasty jest twardym orzechem do zgryzienia dla przeciwników, gdyż ma w sobie chłopski upór oraz chłopski rozum. „Urodzony jestem w Warszawie, ale moją ojcowizną jest wieś Łaguny, w Przasnyskiem. [...] Ojciec urodził się i wychował w Łagunach. I to była taka typowa rodzina chłopska. [...] Skończył SGGW, technologię drewna, całe życie był budowlanem. [...] Dwóch braci [ojciec i stryj] postanowiło, że jeden z synów, czyli ja, pójdzie na SGGW i wróci na gospodarkę. I dlatego jestem tak z tym terenem związany, bo do

ostatniej klasy liceum, każda sobota, niedziela, każde wakacje, jechałem do Łagun. [...] Ja się praktycznie na tej wsi wychowałem. Wszystkiego mnie tam uczono, bo wszyscy byli przekonani, że tam wrócę. [...] Dlatego też bardzo często, jak ktoś mnie pyta, skąd jestem, to mówię, że ze wsi, bo te Łaguny to jest to, co mnie ukształtowało – mówił Czarzasty w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. Nawet gdy dziadek od strony mamy był tramwajarzem, działaczem PPS i warszawiakiem, to „też ze wsi, tym razem spod Żyrardowa”. To ukształtowało Czarzastego tak, że nie cierpi zrywania umów, choćby nie były najlepsze, podobnie jak machlojek wobec partnera, z którym coś się ustaliło. Wojna z Czarzastym to konfrontacja jego chłopskiego uporu z wielkomiejskim cwaniactwem, które skądinąd nie jest mu obce, bo wychowywał się na warszawskim Grochowie. Chłopskim korzeniom przypisuje też to, że jest „ortodoksyjnym antyklerykałem”, gdyż to dość typowe dla polskiej wsi i ma swoje korzenie w całym odległej przeszłości. Mimo że przeszedł „przez wszystko: chrzest, komunię, bierzmowanie... ślub kościelny”. I ochrzcił dzieci, natomiast „córką już swoich nie ochrzciła. Nie wzięła też ślubu kościelnego”. Sam Czarzasty nie chodzi do kościoła „już od czasów licealnych”, choć chodzi „na pogrzeby, na śluby”. „Natomiast na imprezach natury państwowej obecność kleru mnie mierzi” – deklaruje. Ale apostazji nie dokonał.

Włodzimierz Czarzasty znalazł się pod ostrym ostrzałem przede wszystkim zwolenników współpracy z Donaldem Tuskiem, i to właściwie współpracy bezwarunkowej. Uważa on, że pójście na bezwarunkowy sojusz z PO zniszczy Lewicę, gdyż nie da zadowolającego wyniku wyborczego (mniejszy niż pójście do wyborów tylko w lewicowym bloku) i pozbawi partię pieniędzy z subwencji, co będzie oznaczać jej umieranie na wzór Nowoczesnej. Przeciwni pragmatykowi Czarzastemu występują przede wszystkim tzw. stare komuchy (określenie działaczy Partii Razem) – Miller, Cimoszewicz, Belka, Senyszyn, wsparci

przez Andrzeja Rozenka („Nie” Urbana, Ruch Palikota), Tomasza Trełę czy Karolinę Pawliczak. Oni chcą bliskiej współpracy z Tuskiem. Czarzasty przeciwników najpierw zawiesił, by potem pojedynczo odwieszać, żeby nie rozwalili przygotowań do kongresu. I żeby nie oddali Tuskowi części aktywów Lewicy za darmo, nawet się z nim nie targując. Tym bardziej że poza obietnicami na przyszłość, których wcale nie musi dotrzymać, Tusk nie ma im nic konkretnego do zaproponowania. Nawet w kwestii „świeckiego państwa”. „Jak się rozmawia o rozdziale państwa od Kościoła, to się okazuje, że tylko lewica to rozumie normalnie. Bo powiedzieć:

Przeciw pragmatykowi Czarzastemu występują przede wszystkim tzw. stare komuchy (określenie działaczy Partii Razem) – Miller, Cimoszewicz, Belka, Senyszyn, wsparci przez Andrzeja Rozenka („Nie” Urbana, Ruch Palikota), Tomasza Trełę czy Karolinę Pawliczak

»Będziemy mieli państwo świeckie«, jest łatwo. Ale jednocześnie oni mówią: »Tak naprawdę Polak to katolik. Prawdziwy katolik chodzi do kościoła i ma kontakty z klerem«. Tak właśnie mówił niedawno Donald Tusk.

JĘZYCZEK U WAGI

Włodzimierz Czarzasty to dla opozycji skupionej wokół Donalda Tuska i PO zagrożenie, skoro nie uważa, że ich metoda walki z PiS gwarantuje sukces wyborczy. A jeszcze większym problemem jest walka z rządem, skoro Czarzasty dopuszcza współpracę w sprawach mających znaczenie i dla

lewicy, i dla Polski. Mówi: „Są w kraju sprawy, o których trzeba rozmawiać z premierem rządu, bez względu na to, kto jest tym premierem i z jakiej partii jest desygnowany. Tusk, kiedy wrócił do polityki cztery miesiące temu, uważał, że nie. Natomiast ja uważałem, i uważam, że jeżeli chodzi o zdrowie, o życie ludzi, o obecność Polski w UE, o 770 mld zł środków finansowych, to trzeba rozmawiać również z Morawieckim”. Strategia Czarzastego, że skoro „PiS rządzi drugą kadencję, w Polsce dłużej nikt nie rządził – to się stanie za dwa lata [przejęcie władzy przez opozycję], a jak będą przyspieszone wybory, to wtedy. I Lewica przyniesie swoje,

mam nadzieję: 14–15 proc. I powie: to stawiamy się do rozsądnej rozmowy na temat rządzenia Polską”. Donald Tusk i inni politycy PO oraz wewnętrzna opozycja na Lewicy przyjęli to jako deklarację wniesienia wiana do nowego rządu, nawet jeśli to nie opozycja go stworzy. Wprawdzie Czarzasty odcina się od możliwości tworzenia rządu z PiS, ale po stronie opozycji mu nie wierzą. I uważają, że może on zdecydować o tym, iż opozycja jednak rządzić nie będzie. Nawet jeśli nie wszedłby w sojusz z PiS, to uniemożliwiłby stworzenie rządu, najpewniej pod przywództwem Donalda Tuska. Bo postawiłby Tuskowi takie warunki, których ten nie byłby w stanie spełnić. Poza tym domagałby się konkretów, których od Tuska z zasady nie sposób ani otrzymać, ani wyegzekwować.

Dlatego im bliżej było kongresu Lewicy, tym mocniejsza była świadomość, że przyszłość Czarzastego jako lidera Lewicy może zadecydować o tym, czy Zjednoczona Prawica (w nowej konfiguracji) będzie w stanie rządzić przez trzecią kadencję. Plan wyeliminowana Czarzastego miał gwarantować pozbycie się przynajmniej jednej przeszkody na drodze do władzy Donalda Tuska, gdyż po jego powrocie to wariant forsowany przez część opozycji i większość mainstreamowych mediów. A Włodzimierz Czarzasty okazał się języczkiem u wagi, niezależnie od wyborczego rozstrzygnięcia.

Tego się nie da zapomnieć

Przychodziły do mnie pielęgniarki, które np. musiały dyżurować przy łóżku umierającego na COVID-19 człowieka. Mówiła mi jedna z nich: „Proszę pana, trzy godziny byłam przy człowieku, który umierał, a bardzo chciał żyć”. Czasami i do mnie dochodziły echa tej walki. Mam do dzisiaj w uszach krzyk człowieka, który straszliwie bał się śmierci. Chwilami wszyscy mieliśmy wrażenie niekończącego się covidowego koszmaru

Michał Karnowski
rozmawia z **Piotrem Semką**, publicystą, pisarzem, historykiem, który w marcu zachorował na COVID-19 i w ciężkim stanie trafił do szpitala. Bitwę o życie wygrał, teraz walczy o powrót do sprawności

Piotrze, gdy najgorsze minęło, twoi bliscy, przyjaciele i sympatycy odechnęli z ulgą, wszyscy mieliśmy poczucie, że wróciłeś z bardzo daleka. Czy sam też tak o tym okresie myślisz?

Piotr Semka: Każdy, kto otarł się o sytuacje ostateczne, musi wiele rzeczy przemyśleć, zastanowić się, jaki jest bilans jego życia, jaki jest sens dalszej egzystencji, co jest najważniejsze. To są bardzo podniosłe słowa, ale trudno uznać to wszystko tylko za przystanek. Jeżeli od czasu, gdy zachorowałem i zapadłem na miesiąc w śpiączkę, mija prawie pół roku, a ja wciąż nie wróciłem do domu, to muszę sobie zadać pytanie, dlaczego walczę, co mnie motywuje do ciężkiej pracy nad rehabilitacją.



Szpital już na szczęście za tobą?

Zawsze jest ryzyko jakiegoś osłabienia, komplikacji, ale teraz jestem w ośrodku rehabilitacyjnym pod Warszawą i skupiam się na pracy nad odzyskaniem pełnej sprawności.

Co pamiętasz z okresu bezpośrednio po zachorowaniu?

Niewiele. Przez mgłę przypominam sobie moment, w którym pierwszy

raz przyłożono mi respirator, to było 23 marca, wieczorem. Z następnego dnia kojarzę jeszcze, że się budzę, znowu przykładają mi respirator, i potem znowu dziura. Budzę się następnie na chwilę 25 marca, ale cały kolejny tydzień to już w całości mglista przestrzeń między snem a powrotem do normalności.

Kilka strasznych dni na krawędzi. Jeden z lekarzy, którzy się tobą zajmowali, powiedział mi, że sytuacja była naprawdę krytyczna, że wyciągnęli cię nie tyle znad grobu, ile z grobu.

Dzisiaj mam tego świadomość. Po przebudzeniu pamiętam przejmujące poczucie słabości, nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłem. Ręce drżą, nogami nie można ruszyć, nawet mówienie przez kilka pierwszych tygodni sprawiało mi trudność. Co zresztą powodowało sytuacje, na które dzisiaj patrzę z pewnym dystansem, ale wtedy nie było mi do śmiechu. Podchodzi np. pielęgniarka i pyta, czego potrzebuję. Próbuję powiedzieć, ale nie mogę. Ona zatem zgaduje, z najlepszą wolą.

I czasem chcesz wody, a dostajesz jedzenie?



Albo na odwrót [śmiech]. Ale to na szczęście nie trwało długo, wynikało z mojej słabości, i w żaden sposób nie jest krytyką opieki, która była bardzo dobra, za którą bardzo dziękuję i zawsze będę dziękował.

To był czas ostrych restrykcji covidowych. Jak odczuwałeś to, że wszyscy wokół byli w tych ochronnych,

szczelnych kostiumach? Trudności w odwiedzinach? Dla wielu pacjentów to był dodatkowy stres.

Przed wszystkim bardzo podziwiałem ludzi, którzy w takich warunkach wykonywali w szpitalu swoją pracę. Trzeba to widzieć dzień po dniu, by docenić ten wysiłek, często cierpienie związane ze szczelnym, wielowarstwowym ubraniem od stóp

do głów. Można to spokojnie przyrównać do wojskowych ćwiczeń w pełnym oprzyrządowaniu z maską gazową na twarzy. Kiedyś przeszedłem to na zajęciach z przysposobienia obronnego. Ale raz, a tutaj pielęgniarki i lekarze musieli w tym nie tyle chodzić, ile biegać. Przecież tam trwała walka o każde życie, każdy dawał z siebie wszystko. Przychodziły do mnie pielęgniarki,



wrażenie niekończącego się covidowego koszmaru. Nie znajdę pewnie słów, by oddać swoje uznanie dla wysiłku i profesjonalizmu personelu, który tam widziałem, ale było ono ogromne.

W trudnych sytuacjach, my, katolicy, odnajdujemy się zawsze także we wspólnocie religijnej. Czy wiesz, ile mszy św. za Ciebie, w większości spontanicznie zorganizowanych, odprawiono?

Te informacje do mnie teraz spływają. Proszę pamiętać, że gdy to się działo, nie miałem możliwości tego śledzić. Dlatego w pierwszym wywiadzie, jakiego udzieliłem, w moim macierzystym tygodniku „Do Rzeczy”, mówiłem o tym ogólnikowo. Dziś już konkretnie chcę podziękować kapłanom za wielką życzliwość. W pierwszym

pw. św. Andrzeja Apostoła i św. Alberta Chmielowskiego w Warszawie, a także w parafii św. Rocha w Lipkowie. O wielu mszach nadal się dowiaduję i tą drogą wszystkim, którzy podjęli ten wysiłek, modlili się, teraz z głębi serca serdecznie dziękuję. Podobnie jak wszystkim tym, którzy w tych mszach wzięli udział, bezpośrednio, a czasami, ze względu na epidemię, przez środki komunikacji elektronicznej. To jest coś, czego nie sposób zapomnieć.

Choć musimy wspomnieć i o innych reakcjach. Kiedy podziękowałeś na Twitterze za modlitwy w twojej intencji, niektórzy zaczęli szydzić, że powinieneś dziękować lekarzom. Skąd to się bierze?

Zacznijmy od tego, że lekarzom, pielęgniarkom i wszystkim pracownikom szpitala też dziękowałem, najmocniej jak potrafiłem, osobiście i nie tylko. Nie mam żadnej wątpliwości, że bez ich wysiłku i wiedzy nie byłoby mojego wyzdrowienia. Trzeba wyjątkowo złą, hejterską wolę, by przeciwstawiać te dwie rzeczy. Muszę tu wspomnieć o jeszcze jednej grupie, której dużo zawdzięczam: fizjoterapeutach. Ich praca jest często niedoceniana, a to oni po takich strasznych przejściach uczą rzeczy tak podstawowych i ważnych jak ruchy ręką, ruszanie stopami, nogami, samodzielne wstawanie. Szczególnie po covidzie, który bardzo osłabia człowieka, to są fundamentalne sprawy. Ktoś, kto tego nie doświadczył, nie zrozumie nigdy, jak potworny wiąże się z tym wysiłek pacjenta

i jakie umiejętności musi mieć rehabilitant. Miesięczny pobyt w szpitalu powoduje, że mięśnie są zastygłe, wymagają rozciągania, ćwiczeń, które są zresztą dość bolesne. Miałem w szpitalu bardzo dobrych fizjoterapeutów, teraz, już w ośrodku rehabilitacyjnym, także.

W tej chwili uczę się chodzić i to jest mój główny cel, moje najważniejsze zadanie, w które wkładam całą swoją wolę, wszystkie siły. To jest żmudna, ciężka praca, postawienie każdego kroku jest wyzwaniem. Pracuję nad odbudową tkanki mięśniowej, staram się wzmacniać siły psychiczne, bo przecież mija kolejny miesiąc poza domem, a perspektywa jest równie długa

które np. musiały dyżurować przy łóżku umierającego na COVID-19 człowieka. Mówiła mi jedna z pań: „Proszę pana, trzy godziny byłam przy człowieku, który umierał, a bardzo chciał żyć”. Tego się nie da zapomnieć. Czasami i do mnie dochodziły echa tej walki. Mam do dzisiaj w uszach krzyk człowieka, który straszliwie bał się śmierci. Chwilami wszyscy mieliśmy

rzędzie oo. paulinów z Jasnej Góry, którzy modlili się za mój powrót do zdrowia przed Cudownym Obrazem Matki Bożej. Wiem, że modlono się w mojej intencji w Wilnie, w kaplicy w Ostrej Bramie, co jest szczególnie miłe, bo moja mama urodziła się w tym mieście. Odbyla się msza w kościele

Jak wspominasz inne grupy pracujących w szpitalu?

O moim uznaniu dla lekarzy i pielęgniarek już mówiłem, ale ten obraz nie byłby też pełny bez wspomnienia o opiekunach medycznych i salowych. W czasie tego kryzysu były to osoby, które padały ze zmęczenia, chociaż te grupy, w tym fizjoterapeuci, nie mieli dodatku za pracę na linii covidowej. Nie wiem, czy wszędzie i każdy, ale wiem, że wielu nie miało. Warto by podjąć próbę wynagrodzenia im tego. W ogóle dla wszystkich pracowników ochrony zdrowia był to czas gigantycznego wysiłku. Widziałem to z bliska i choć rozumieć zmęczenie każdego epidemii, różne niedogodności dotyczące wielu ludzi, to proszę jednocześnie, by widzieć to w odpowiednich proporcjach. Jednego dotknęło zamknięcie ulubionej restauracji czy ukochanego muzeum, innego zdalna nauka, trzeciego denerwuje konieczność zakładania maseczek, granicznych utrudnień. A ja widziałem ludzi, którzy na pierwszej linii frontu padali tygodniami ze zmęczenia, a jednak robili swoje. I mimo wysiłków wielu dziennikarzy tego nie da się w pełni oddać ani kamerą, ani piórem. Także dlatego, że do wielu miejsc nie ma wejścia dla żadnych osób postronnych.

Wspomniałeś o szukaniu w tym wszystkim motywacji do walki o zdrowie, co jest przecież wielkim wysiłkiem, wymaga codziennego przełamywania bólu, słabości, zmęczenia. Gdzie ją znajdujesz?

Na pewno w ogromnej życzliwości, której zaznałem ze strony setek czy nawet tysięcy ludzi, moich czytelników i widzów. Traktuję to jako zobowiązanie, bo skoro było dla nich ważne, czy jestem z nimi, to znaczy, że to, co robiłem przez kilka już dekad jako publicysta i historyk, było istotne. To dług zaufania, który będę się starał spłacić.

Jedna z pań, która jest stałym widzem „Salonu Dziennikarskiego”, w którym byłeś i mam nadzieję wkrótce będziesz, stałym komentatorem, powiedziała mi: zawsze mieliśmy poczucie, że pan Piotr mówi w naszym imieniu, że umie oddać

nasze uczucia, emocje, że podobnie jak my odczytuje polskość.

Przyjmuję takie głosy z najwyższą pokorą. Odnoszenie się do takich słów musi być bardzo oszczędne. Łatwo o emfazę czy wrażenie, że uważam, to za oczy-

Chcę podziękować kapłanom za wielką życzliwość. Paulinom z Jasnej Góry, którzy modlili się za mój powrót do zdrowia przed Cudownym Obrazem Matki Bożej. Wiem, że modlono się w mojej intencji w Wilnie, w kaplicy w Ostrej Bramie. Odbyla się msza w kościele pw. św. Andrzeja Apostoła i św. Alberta Chmielowskiego w Warszawie, a także w parafii św. Rocha w Lipkowie. O wielu mszach nadal się dowiaduję

jąc przy oku kamerę, stara się patrzeć przez nią z perspektywy przechodnia.

Czyli z jakiej?

Z perspektywy człowieka, który dusi się w danej sytuacji, przeżywa dramat, tragedię, ale ma poczucie, iż nikt inny tego nie dostrzega. Pokazanie, że się to rozumie, że się odczuwa podobnie, ma w takiej sytuacji swoją wagę. Jeżeli udaje mi się tak pełnić moją misję, to jest to powód do pewnej satysfakcji.

Mam wrażenie, że cechą charakterystyczną twojej publicystyki było też oddawanie głosu pokoleniom jego pozbawionym, stłamszonym przez PRL, choćby anonimowym bohaterom cywilnego oporu przeciw komunizmowi czy ludziom, którzy po II wojnie światowej na Ziemiach Odzyskanych tworzyli polski Kościół, polskie niezależne życie religijne i intelektualne. Czy tak to można opisać?

Tak, skupiam się na tych sprawach bardzo świadomie. Przypomnę, że wystawa o polskim tużpowojennym

wiste. Tak nie jest, każdy gest, każde wsparcie bardzo doceniam, bardzo za nie dziękuję. Jeśli miałbym to jakoś skomentować, to przywołując scenę z lat 90. Podpisywałem wtedy książkę, a jeden z czytelników podszedł i powiedział: „Wiele rzeczy, które pan mówi, to mi przychodziło do głowy, ale sobie powtarzałem, że skoro tego nie ma nigdzie w mediach, to może nie mam racji? Może tylko ja się o pewne wartości martwię? Od kiedy nauczyłem się zwracać na pana uwagę w tych nielicznych obecnościach w mediach, mam poczucie, że nie jestem w swoich troskach i intuicjach sam”. Były to cenne słowa.

Ale jest też prawdą, że starałem się zawsze być z ludźmi i dla ludzi, których emocje i biografie były często pomijane, a nawet wyszydzane. Bliskie są mi słowa reżysera filmów dokumentalnych Andrzeja Titkova, który mówił, że trzyma-

Szczecinie była ostatnią moją dużą pracą przed chorobą. Pokazano ją w kilkunastu miastach, w tym częściowo już w czasie pandemii. Mój pobyt w szpitalu przerwał prace nad katalogiem, który będzie de facto książką zawierającą bardzo poszerzony materiał na ten temat. A i tak zaledwie dotykam tematu, bo historia powojennych antykomunistów jest w dużej mierze historią nienapisaną. Mamy coraz więcej prac, filmów o oporze zbrojnym, jest piękny gdyński festiwal NNW Arkadiusza Gołębiewskiego, na którym w tym roku po raz pierwszy nie mogłem być niestety osobiście, choć wziąłem zdalnie udział w jednej z dyskusji. Ale już polska wieś – jej gehenna i opór, trwanie przy wierze, polskość i ziemi w warunkach potwornych represji, ataków UB – nie jest w ogóle dotykana.

Dlaczego?

Część powodów jest obiektywna – mniej źródeł, choćby pamiątek, ograniczanie się do domowej opowieści. Stąd zresztą moja wiedza na ten temat, dzięki relacjom najpierw mojej śp. babci, potem mojego ojca. Dlatego tak bardzo poruszyło mnie pewne wspomnienie, przywołane w związku ze śmiercią śp. Wiesława Gołasa. Otóż on przejmująco śpiewał piosenkę Wojciecha Młynarskiego „W Polskę idziemy, drodzy panowie, w Polskę idziemy”, którą publiczność odebrała jako czysto rozrywkową.

Festiwal w Opolu w 1977 r.?

Tak. Moi rodzice umieli z niej jednak wtedy wyłowić także inną warstwę. Mówili mi, że to pieśń o ludziach, którym po wojnie przetrącono życie, a którzy mogli wykrzyczeć swoje poczucie krzywdy tylko w knajpie, gdzie wódka pozwalała na chwilę zapomnieć, jednocześnie rozdrażniając. Jest tam takie ważne zdanie: „Czerwone maki serce ojczyzna/ Trzaska koszula tu szwabska kula/ Tu popatrz bliźna”. No właśnie – bohater piosenki Młynarskiego nosi w ciele kulę niemiecką, a życie po wojnie uczyniło go pariasem, który może być akceptowany na jakimś niskim stanowisku. O ile oczywiście nie poszedł, jak niektórzy, na służbę komunie, w zamian za co wybaczano niektóre rzeczy, z punktu widzenia władz PRL, zwykle naganne.

Wróćmy do epidemii, która i ciebie dotknęła. Jak dziś patrzysz na covid? Jak patrzysz na szczepienie, do którego zabrakło ci kilku tygodni?

Nie wiemy ciągle w pełni, jakie są powody, możliwe skutki, reperkusje czy to choroby, czy szczepienia. To są sprawy bardzo indywidualne. Ale też widzę, że wiele osób bardzo krytycznych wobec szczepień ma tendencje do lekceważenia. Słyszę sugestie, że to nakręcony problem, że komuś na tym zależy. Nie neguję prawa do dyskusji, ale bardzo mocno apeluję, by mówić o tej chorobie z powagą, by traktować ją serio. Mam wrażenie, że osoby wchodzące łatwo w tonację opowieści o masceczce jako rzekomym kagańcu, o szczepieniach jako intrydze firm farmaceu-

tycznych, nigdy nie zetknęły się ze skalą cierpienia, jakie covid przyniósł i wciąż przynosi. Jest wiele wypadków ludzi, którzy trwale utracili siły po zachorowaniu. Ta słabość potrafi wrócić do nich po wielu miesiącach.

Zachęciłbyś do szczepień?

Każdy musi to rozważyć. Na pewno pomysły wprowadzania jakiegoś rozdzielania możliwości życiowych, uprawnień, zależnie od tego, czy ktoś się szczepił, czy nie, powinny zostać odrzucone. Z drugiej strony wiele teorii spiskowych w sprawie pandemii jest po prostu nieprawdziwych. To bardzo groźna choroba. Mam smutną refleksję, że część publicystów prawy znalazła w tym ideę, która wypełnia całkowicie ich horyzont. Są w stanie pisać wyłącznie na ten jeden temat – owszem ważny, ale przecież

Nie neguję prawa do dyskusji, ale bardzo mocno apeluję, by mówić o tej chorobie z powagą, by traktować ją serio. Mam wrażenie, że osoby wchodzące łatwo w tonację opowieści o masceczce jako rzekomym kagańcu, o szczepieniach jako intrydze firm farmaceutycznych, nigdy nie zetknęły się ze skalą cierpienia, jakie COVID-19 przyniósł i wciąż przynosi

nie jedyny. Nic już innego dla nich nie istnieje, inne sprawy nie są ważne, dawne podziały nie istnieją. Jest tylko jedna linia: szczepionki, rzekomy spisek koncernów i rządów. To niemądre i niepotrzebne. Rozumiem, dlaczego

wielu ludzi o poglądach konserwatywnych ma w sobie tę nieufność. Inżynieria społeczna w wykonaniu lewicy jest przecież faktem. Ten temat na pole walki nie jest jednak mądrze wybranym obszarem.

To też moja teoria: wielu ludzi ma poczucie, że establishment wchodzi im na głowę. Mówi, co jeść, jak wychowywać dzieci, ile jest od teraz płci. Niektórzy postanowili więc, że w tej akurat sprawie nie ustąpią. Punkt oporu nie jest chyba wybrany najrozsądniej.

Razi mnie też język, który się w tych sprawach pojawia i który pcha Grzegorza Brauna do krzyczenia w kierunku ministra, że będzie wisiał. To są rzeczy trudne do zaakceptowania. Elementem tej wizji jest także przekonanie, że niektórzy chorzy są sami sobie winni.

Kiedy w dyskusjach ze sceptykami pada moje nazwisko, często odpowiadają: „Specyficzny wypadek, miał dużą nadwagę”.

Zapominają, że owszem, są pewne czynniki ryzyka, ale choroba zabija i szczupłych, i młodych.

Jakiś element prawdy we wskazywaniu zagrożeń związanych np. z otyłością oczywiście jest, ale świadome do tego redukcje pozwalają lekceważyć zarazę. Po pół roku w szpitalu i ośrodku rehabilitacyjnym wiem, jak bardzo to błędne myślenie.

Przez pięć miesięcy twoja redakcja, tygodnik „Do Rzeczy”, publikowała fragmenty twojej książki i wywiadu rzeki z tobą. Bardzo ładna postawa.

To pozwoliło mojej rodzinie mieć środki na utrzymanie. Ale wzruszył mnie też film,

który otrzymałem z życzeniami od moich koleżanek i kolegów, a stało się to w czasie, gdy odwiedziny były bardzo utrudnione. Trzeba pamiętać, że człowiek na łóżku szpitalnym ma zawsze wiele niepokojów, obaw o sprawę,

które zostały poza szpitalem, a co do których stanu nie ma wiedzy, nie ma na nie wpływu. A przede wszystkim co do stanu swojego zdrowia, swojej przyszłości. Przez pierwszy miesiąc po wybudzeniu bardzo przeżywałem, że nie mogę czytać. Litery migotały mi przed oczyma. Budziło to mój ogromny lęk, bo dla dziennikarza coś takiego oznaczałoby poważne ograniczenie możliwości zawodowych. Podobny niepokój budziło wówczas drżenie moich rąk. Gdy oba objawy ustąpiły, odetchnąłem z dużą ulgą.

Dziś już wróciłeś na łamy „Do Rzeczy”?

Tak, z dużą radością. Ale też z poczuciem, że mam duży dług wobec mojej redakcji, która przez pięć miesięcy czekała, aż zacznę pisać. Zresztą, już po półtora miesiąca zacząłem śledzić politykę. Co ciekawe, kiedy się obudziłem, lekarze delikatnie testowali moją pamięć, sprawność umysłową, rozpytując właśnie o politykę. Ale nie tylko, bo raz zapytał mnie doktor o Igę Świątek i jej zegarek. Kiedyś na Twitterze pozwoliłem sobie na nieco krytyczną uwagę o formie, w jakiej nasza tenisistka reklamowała zegarki znanej marki. Spadła na mnie wtedy taka lawina, że gdy także na łóżku szpitalnym usłyszałem to pytanie, odruchowo zacząłem zapewniać, że nie mam nic przeciwko pani Świątek i jej zegarkom. Potem doszło do mnie, że nie chodziło o tamtą sprawę, ale sprawdzenie, czy nie mam zaników pamięci [śmiech]. Sprawa okazała się więc w sumie przydatna, a korzystając z tej okazji, serdecznie panią Ięgę Świątek pozdrawiam i życzę sukcesów na korcie.

Jak dziś patrzysz na politykę? Główna zmiana w tym czasie to powrót Donalda Tuska.

I potwierdziły się obawy, że będzie to oznaczało eskalację konfliktu wewnętrznego. Naprawdę zaskoczyła i zaniepokoiła kampania próbująca zdyskredytować rząd, który na granicy ma potwornie ciężką sytuację. Widać, że prawdziwa jest teza, że każdy, kto jest w konflikcie z obecną władzą w Warszawie – czy to Berlin, czy Bruksela, czy rząd czeski, czy Aleksander Łuka-

szka – może liczyć na wsparcie dużej części polskiej opozycji i polskich mediów. Można być najbardziej pozbawionym racji adwersarzem Warszawy, ale w imię walki z rządem każde, nawet najgłupsze bezceństwo zostanie natychmiast wsparte.

Jak patrzysz na sprawę niewypuszczenia do Wielkiej Brytanii Rafała Ziemkiewicza?

Przez pierwszy miesiąc po wybudzeniu bardzo przeżywałem, że nie mogę czytać. Litery migotały mi przed oczyma. Budziło to mój ogromny lęk, bo dla dziennikarza coś takiego oznaczałoby poważne ograniczenie możliwości zawodowych. Podobny niepokój budziło wówczas drżenie moich rąk. Gdy oba objawy ustąpiły, odetchnąłem z dużą ulgą

Bardzo niepokojący i bardzo brutalny ruch, źle wróżący wolności słowa i wolności w ogóle. Rafał jechał w sprawie prywatnej, towarzyszył bardzo zdolnej i pracowitej córce, która osiągnęła wspaniały sukces. Ta akcja uderzyła przede wszystkim w nią. Zasmuca, że tak wielu z jakąś taką dziką satysfakcją temu przyklasnęło.

Co dalej? Jakie masz plany? Jak wygląda walka o zdrowie?

W tej chwili uczę się chodzić i to jest mój główny cel, moje najważniejsze zadanie, w które wkładam całą swoją wolę, wszystkie siły. To jest żmudna, ciężka praca, postawienie każdego kroku jest wyzwaniem. Pracuję nad odbudową tkanki mięśniowej, staram się wzmocnić siły psychiczne, bo przecież mija

kolejny miesiąc poza domem, a perspektywa jest równie długa. Wiem, że depresje po covidzie są częste, wielu ludziom ta choroba strząsała życie. Ja, dziękować Panu Bogu, chyba jakoś się trzymam. Myślę też dużo o moich bliskich, żonie i córce. Mam świadomość, że było i jest im ciężko, jestem wdzięczny, że są ze mną, wspierają. A co do pracy zawodowej – wróciłem na łamy „Do Rzeczy”, śledzę politykę, układam w myślach możliwe inne większe projekty.

Jest jakieś marzenie, które dodaje ci sił?

Nie powiem niczego oryginalnego. Świadomość tego, co przeszli moi najbliżsi, żona i córka, bracia, krewni i przyjaciele, gdy najpierw nie było wiadomo, czy przeżyję, a później jak będzie wyglądał mój powrót do aktywności fizycznej, jest dla mnie bolesna, ale i ważna. Chwilami, gdy nie mam już sił, by wykonać ćwiczenie 20., 30. raz, sięgam myślami do nich, do zobowiązania, jakie mam, i znajduję tam ostatnie rezerwy.

Czy jest konieczność, potrzeba jakiejś pomocy? Ja też otrzymuję takie pytania.

Powiem tak: jeżeli znajdę się w sytuacji, w której koszty leczenia, opieki przekroczą moje możliwości, zwrócę się z taką prośbą. Na razie dajemy radę, jestem pod bardzo dobrą opieką rehabilitacyjną i lekarską. Ale ciągle nie wiem, jak ten proces się zakończy, co uda się osiągnąć, czy jest jakiś kres w osiągnięciu kolejnych etapów powrotu do stanu normalności? Czy będę mógł za jakiś czas funkcjonować tak samo jak przed chorobą? Czy też pojawią się przeszkody, wobec których będę bezradny, których nie da się nawet ciężką pracą i wiedzą medyczną przejść? Nie wiem. Teraz skupiam się na każdym dniu, każdym kolejnym ćwiczeniu, co wymaga maksymalnej mobilizacji. Daję z siebie absolutnie wszystko, często po sesji ćwiczeń padam na łóżko i łapię powietrze. Chwila odpoczynku i ruszam dalej.

Kongres 590 świadectwem siły polskiej gospodarki

Zakończyła się szósta edycja Kongresu 590 „Nowe możliwości” pod patronatem honorowym prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy, który wraz z prezydentem Austrii Alexandrem Van der Bellenem wziął udział w organizowanym w ramach Kongresu Polsko-Austriackim Forum Ekonomicznym „Green Future”

O baj prezydenci podkreślili konieczność dalszej bliskiej współpracy.

– Austria pozostaje jednym z najważniejszych partnerów gospodarczych Polski – powiedział prezydent Andrzej Duda. – Zależy mi, aby polsko-austriacka współpraca w zakresie nowych technologii, oprócz wymiaru dwustronnego, wykorzystywała również potencjał drzemiący w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej – dodał prezydent.

Prezydent Austrii podkreślał, jak ważne jest podjęcie decyzji na rzecz zrównoważonego rozwoju w obrębie UE, gdyż europejska gospodarka i przemysł potrzebują konkretnych przepisów, aby zachować konkurencyjność.

Otwierający drugi dzień premier Mateusz Morawiecki nazwał Kongres 590 „jednym z najważniejszych punktów na mapie gospodarczej kraju” przede wszystkim dlatego, że nie tylko stawia pytania o przyszłość, lecz stara się na nie odpowiedzieć.

Wielokrotnie podkreślano dobrą kondycję polskiej gospodarki. Jacek Sasin, wiceprezes Rady Ministrów i minister aktywów państwowych, stwierdził, że podczas pandemii bezpośrednio do polskich firm trafiły ogromne, wielomiliardowe kwoty; nie wstrzymano też inwestycji.

– Była pokusa, żeby oszczędzać. Ale uznaliśmy, że to jest najkrótsza droga do katastrofy, do zduszenia wzrostu gospodarczego w przyszłości. A jeżeli ma być wzrost, to muszą być inwestycje i rzeczywiście inwestycje były rekordowe – powiedział wicepremier Sasin. Podtrzymał również prognozę wzrostu PKB na ten rok, który powinien przekroczyć 5 proc.

Prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Adam Głapiński podkreślił rolę kierowanej przez niego instytucji w przewidywaniu pandemicznego kryzysu i obronie polskiej gospodarki.

– NBP dobrze przygotował się do ewentualnego kryzysu i choć nie podej-



rzewaliśmy, że będzie to pandemia, to lekcję odrobiono znakomicie – powiedział Adam Głapiński. – Nasze działania pozwoliły ochronić przed bankructwem wiele polskich przedsiębiorstw. Ochroniliśmy wiele polskich rodzin.

Jednym z głównych tematów Kongresu były nowe możliwości, jakie stoją przed polską gospodarką, w tym transformacja energetyczna i związane z nią wyzwania.

– Transformacja energetyczna jest bardzo ważna, ale żeby ją przeprowadzić, potrzebujemy narzędzi. Warunkiem startowym jest stworzenie Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego, ponieważ musimy mieć szanse rozwijania się i inwestowania nie gorsze niż prywatne podmioty – powiedział Paweł Szczeszek, prezes zarządu Enea SA.

Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE SA, podkreślił, że już „rok temu Grupa PGE przyjęła strategię osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r., którą konsekwentnie realizuje – do 2040 r. firma zamierza zainwestować w ten obszar 75 mld zł”.

Marcin Chludziński, prezes zarządu KGHM Polska Miedź SA, potwierdził plany spółki dotyczące zaangażowania

w energetykę: – Mamy ogromne wyzwania związane z transformacją energetyczną. Zapotrzebowanie na miedź w Europie w kontekście transformacji energetycznej to ok. 22 mln ton, czyli mniej więcej tyle, ile wyniesie nasza produkcja przez 25 lat.

– Wsparcie rozwoju OZE w energetyce wymaga dużych nakładów inwestycyjnych. Zależy nam, by energetyka była innowacyjna, stabilna i niskoemisyjna – mówił Karol Wolff, dyrektor Biura Strategii i Projektów Strategicznych PKN Orlen.

Beata Kozłowska-Chyła, prezes zarządu PZU SA, podkreśliła, że Grupa PZU aktywnie wspiera ten proces, udzielając finansowania choćby na farmy wiatrowe czy inwestując w obligacje ESG.

Transformacja energetyczna dotyczy również województw. Władysław Ortyl, marszałek województwa podkarpackiego, mówił, że Podkarpacie jest województwem innowacyjnym, a to oznacza m.in. wdrażanie nowych technologii oraz inwestowanie w zieloną energię.

Relacje z paneli można oglądać na kongres590.pl

Wszyscy przeciw Orbánowi, czyli o prawyborach węgierskiej opozycji

Węgierskie opozycyjne prawyборы są ciekawe przez to, że budując polityczną siłę antyorbánowskiej opozycji, po raz pierwszy organizacyjnie zjednoczonej od lewa do prawa, obnażają zarazem nieuchronne grzechy i sprzeczności tego rodzaju konstrukcji



JAN ROKITA

Pierwszą turę prawyborów węgierskiej opozycji wygrała 49-letnia Klára Dobrev (35 proc. głosów) – socjalistka, wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego, przed 46-letnim Gergelyem Karácsonyem (27 proc. głosów) – zielonym burmistrzem Budapesztu. W kwietniowych wyborach na Węgrzech ktoś z tej pary wystąpi zatem w roli głównego politycznego wroga i rywala Viktora Orbána, od 12 lat nieprzerwanie sprawującego na Węgrzech rządu osobiste, coś w rodzaju zmodernizowanego pryncypatu.

WSZYSCY PRZECIW ORBÁNOWI

Same prawyборы są – jak na razie – sporym sukcesem organizacyjnym sześciopartyjnej opozycji, skoro do za-improvizowanych namiotów prawyborczych pofatygowano się aż 634 tys. przeciwników rządów Fideszu. Jak piszą węgierskie gazety, jest to liczba dwukrotnie przekraczająca oczekiwania samych polityków. Widać, że po raz pierwszy od przeszło dekady opozycja ma szansę wystąpić w wyborach w roli realnego konkurenta Orbána, a nie wyłącznie śmiesznego tła, no i chłopca do bicia, z racji swej bezsilności dość poręcznego dla potężnego przywódcy prawicy.

Ale węgierskie opozycyjne prawyборы są ciekawe przez to, że budując polityczną siłę antyorbánowskiej opozycji, po raz pierwszy organizacyjnie zjednoczonej od lewa do prawa, obnażają zarazem nieuchronne grzechy

i sprzeczności tego rodzaju konstrukcji. Wszyscy przeciw Orbánowi – oto cały plan, na którym trzyma się dziś konstrukcja wspólnoty węgierskiej opozycji. Ten eksperyment polega na wspólnym marszu partii, środowisk i liderów skonfliktowanych ideowo, często się nienawidzących, a nawet marzących o wykończeniu się nawzajem, na dodatek pozbawionych wspólnego planu politycznego poza jednym: pozbawieniem władzy Orbána i „deurbanizacją” kraju (cokolwiek miałyby ona oznaczać). No i jeszcze w planie maksimum – przyszłym zamknięciem Orbána w kryminalne – gdzie jak dość bezceremonialnie zapowiada mu przywódca prawicowego Jobbiku Peter Jakab: „Viktor wśród więźniów łatwo może się stać Viktorią”.

Nie trzeba nikomu tłumaczyć, że te węgierskie realia mogą wiele mówić o bardzo dziś problematycznej polskiej wizji wspólnego marszu po władzę Bo-



Prawybory są sporym sukcesem organizacyjnym węgierskiej opozycji, do zaimprovizowanych namiotów prawyborczych pofatygowało się aż 634 tys. przeciwników rządów Fideszu

saka, Czarzastego, Gowina, Hołowni, Kosiniaka-Kamysza, Tuska, i kogo tam jeszcze.

W drugiej turze węgierskich prawyborów Karácsony wydaje się mieć nieco większe szanse od swej przeciwniczki. Tym bardziej że udało mu się zyskać wycofanie się i poparcie ze strony innego kandydata – Pétera Márki-Zayego, nieznanego poza Węgrami burmistrza miasteczka powiatowego nad Cisą, który zyskał trzecie miejsce i świetny wynik 20 proc. głosów, przedstawiając się jako rozczarowany Fideszem „katolicki prawnicowiec”. Ale to właśnie ów alians dwóch burmistrzów wywołał prawdziwą furję po stronie kluczowych w całej opozycyjnej grze stronników pani Dobrev. W całym bowiem urzędniczo-politycznym życiorysie owej pół Bułgarki, pół Węgierki jest tak naprawdę tylko jeden fakt o wielkiej politycznej doniosłości.

Jest ona trzecią żoną Ferenca Gyurcsány – byłego premiera, byłego szefa partii postkomunistycznej, dystrydenta z tej formacji i twórcy Koalicji Demokratycznej. A przy tym jedynego obok Orbána lidera na węgierskiej scenie z podobną do przywódcy Fideszu determinacją w działaniu i talentem politycznym. To (jak wszyscy wiedzą)

ten sam Gyurcsány, który w 2006 r. wygłosił osławioną tajną „mowę z Ószöd”, której emisja w węgierskim radiu wywołała rewoltę uliczną w Budapeszcie, spalenie gmachu telewizji, utratę władzy przez lewicę i objęcie rządów przez Orbána. Od tamtego czasu przekleństwem tego najbardziej obok Orbána utalentowanego węgierskiego polityka jest jego wyborcza nieobieralność. Ale jako że Gyurcsány od lat pozostaje tak naprawdę spiritus movens antyorbánowskiej opozycji, zamiast siebie wystawia z sukcesem w różnych wyborach... swoją trzecią żonę.

Dla tej niezwyklej polityczno-personalnej taktyki Gyurcsány potrafił zjednać sobie silnego i nieoczekiwanego sojusznika. Stał się nim (wspomniany już wyżej) Péter Jakab – lider Jobbiku, który zręcznie przeplancował swoją partię spod skrajnej niegdyś prawej ściany, z inklinacjami antysemitycznymi, do zielono-lewicowego sojuszu opozycyjnego, idącego na definitywną wojnę z Orbánem. Jakab – skądinąd Żyd z pochodzenia, którego przodkowie zginęli w Auschwitz – jest typem pragmatycznego cynika, jacy w polityce często odnoszą sukcesy. Jobbik na prawicy był tak zdominowany przez wszechpotężny i świetnie zorganizowany Fidesz, że

mógł tam liczyć w najlepszym razie na rolę politycznego klienta Orbána. Tymczasem po wejściu do sojuszu opozycyjnego partia stała się jedyną dobrze zorganizowaną i sprawną strukturą po tej stronie, mogąc liczyć w prawyborach na zdobycie licznych miejsc kandydackich do parlamentu w jednomandatowych okręgach (tych jest na Węgrzech 106). A co za tym idzie, na nieproporcjonalnie spory udział we władzy, w razie gdyby Orbán został jednak w kwietniu pobity.

Sam Jakab też próbował stanąć w prawyborach do walki o kandydaturę na premiera, ale odpadł w pierwszej turze. Jednak o wiele ważniejsze dla Jobbiku jest to, że w rywalizacji o miejsca kandydackie w okręgach jednomandatowych partia już w pierwszej turze prawyborów zdobyła aż 29 nominacji, tylko cztery mniej niż Koalicja Obywatelska Gyurcsánya.

ALIA NS JOBBIKU I KOALICJI OBYWATELSKIEJ

Ci dwaj zatem – Gyurcsány i Jakab, którzy mają wszelkie szanse, by kontrolować dużą większość przyszłej lewicowo-zielono-prawicowej frakcji w parlamencie – związali się taktycznym „sojuszem w sojuszu”. Pikanterii

temu aliansowi dodaje to, że w 2006 r. Jobbik był współprowodyrem ulicznej rewolty, która doprowadziła do obalenia rządu Gyurcsány. Jednak liczy się dzień dzisiejszy. A pozostałe cztery partie opozycyjnego sojuszu to polityczne liliputy, łącznie ze zdegradowaną, a niegdyś potężną formacją postkomunistyczną (jak w Polsce). Co ciekawe, Dialog, czyli partia burmistrza Budapesztu i lewicowego premiera in spe, to wśród nich superliliput, z poparciem w granicach 1 proc. Więc też Karácsony (choć jest jej szefem) z rzadka się tylko do swej partii przyznaje, stając zaś do prawyborów, ogłosił nawet powołanie innego ugrupowania o nazwie Ruch 99 (ma tu ponoć chodzić o zaufanie 99 proc. Węgrov!).

Dla pełni politycznego szczęścia alians Jakaba i Gyurcsány potrzebuje jeszcze tylko tego, aby liderką opozycji i kontrkandydatką Orbána została... żona tego ostatniego, bo wtedy trzymaliby wszelkie nici opozycyjne w garści. Nic dziwnego, że ością w gardle stoi im burmistrz stolicy, który choć pozbawiony zaplecza i nie wiadomo już w końcu do jakiej partii należący, ma szansę wygrać prawybor. Te bowiem rozstrzygną się w drugiej turze nie gdzie indziej, jak w Budapeszcie, gdzie opozycja ma nie tylko największe wpływy, ale i największą zdolność mobilizacji zwolenników.

Dwaj alianci atakują więc teraz Karácsonyego za to, że załatwiając sobie wycofanie i poparcie burmistrza Marki-Zayego przed drugą prawyborczą turą, ów „spiskuje za kulisami przeciw zwyciężczyń”. Tak jakby w systemie jednomandatowych okręgów naturalne łączenie sił drugiego i trzeciego przeciw pierwszemu miało być jakąś antydemokratyczną zbrodnią. Ale jest jedna większa „zbrodnia”, za którą burmistrz Budapesztu atakowany jest wewnątrz swego obozu. Otóż pośród przedwyborczych obietnic złożonych przez panią Dobrev dwie są najbardziej głośnie: ta, że emeryci mają po obaleniu Orbána dostać po 150 tys. forintów (przykład PiS działa), oraz że orbanowska konstytucja z 2011 r. zostanie unieważniona, bez wyimaginowanej do tego prawnie kwalifikowanej większości parlamentarnej. Bardziej legalistyczny Karácsony osmielił się na-

zwać ów ostatni postulat „absurdalną brednią”.

W efekcie znalazł się w ogniu gwałtownej krytyki z dwóch stron. Media związane z Koalicją Obywatelską i Jobbikiem oskarżają go o brak woli zlikwidowania w kraju straszliwych skutków obecnej dyktatury. A gazety i portale prorządowe kpią, że udaje legalizm, a jest jeszcze gorszym totalistą od pani

Dla pełni politycznego
szczęścia alians Jakaba
i Gyurcsány potrzebuje
jeszcze tylko tego, aby liderką
opozycji i kontrkandydatką
Orbána została... żona
tego ostatniego, bo wtedy
trzymaliby wszelkie nici
opozycyjne w garści

Dobrev. Wszystko jest tutaj jasne. Zarówno Orbán, jak i alians Gyurcsány–Jakab, chciałby prawyborczego zwycięstwa pani Dobrev.

CZY TO SIĘ UDA SKLEIĆ?

Opozycyjne media gwałtownie podzieliły zatem swoje sympatie. Zwolennicy Karácsonya podkreślają, że wybór Dobrev oznacza de facto nieuchronność kwietniowego zwycięstwa Fideszu i dalsze rządy Orbána aż do 2026 r. Wszyscy bowiem wiedzą, że pani Dobrev to nie jest jakiś samoistny lider, ale po prostu drugie wcielenie Gyurcsány, czyli skompromitowanego polityka, obalonego niegdyś przez uliczną rewoltę. Dla obozu władzy jej kandydatura jest wyjątkowo łatwa do atakowania. Dopiero co, w 15. rocznicę radiowej emisji „mowy z Ószöd”, główny orbanowski dziennik „Magyar Nemzet” ironicznie dziękował Gyurcsánowi za to, że dzięki niemu Węgrzy do dziś wiedzą, że rządy lewicy oznaczają „kłamstwo

w dzień, wieczorem i w nocy”. Jeśli dodać do tego, że sama Dobrev wywodzi się z komunistycznej elity epoki Kádára, to łatwo zrozumieć obawy i namiętności stronników politycznie „czystego” burmistrza Budapesztu.

Na razie konflikt w łonie opozycji przed drugą turą prawyborów rozwija się z prawdziwym impetem. Doszło nawet do tego, że w obronie dobrego imiennie Dobrev (a w zasadzie jej męża) lewicowy dziennik „Nepszava” ogłosił, iż antygyurcsanowska rewolta 2006 r. nie była żadnym ruchem demokratycznym, ale „wybrykiem agresywnego motłochu”.

Widać na pierwszy rzut oka, że sklejenie sześciu kompletnie różnych środowisk i liderów, i to po wielu latach politycznej pokuty pod rządami Orbána, jest zadaniem graniczącym z cudem. Węgierski blok opozycyjny może się jeszcze przed kwietniowymi wyborami rozsypać, jeśli Karácsony wygra prawybor, a Gyurcsány i Jakab

nie pogodzą się z tego skutkami. Ale nawet jeśli nie nastąpi otwarty rozłam, to węgierską opozycję tak czy owak czeka w najbliższych miesiącach pasmo konfliktów i sporów niemal o wszystko. Nie wiadomo dziś, ile znaczyć może osamotniony politycznie Karácsony, popularny wśród młodej inteligencji budapeszteńskiej, ale wyzbyty instynktu politycznego i niepotrafiący budować własnego obozu. (Nawiasem mówiąc, analogia z Trzaskowskim aż się tutaj narzuca, tyle że Karácsonya wylano z uczelni za niezrobienie doktoratu).

Zapewne z walki o kontrolę nad całą opozycją nie zrezygnują dwaj partyjni macherzy: Gyurcsány i Jakab, których atutem będą liczni zapewne w nowym parlamencie ich partyjni posłowie. Nim więc lewicowo-zielono-prawicowej opozycji przyjdzie się w kwietniu na serio zmierzyć z Orbánem, to wcześniej sama musi się wykazać trudną sztuką wydobywania się z permanentnych kryzysów, jakich w żaden sposób nie zdoła przecież wyminąć.

*Filozof Peter Boghossian
latami walczył
z narastającymi
zakazami myślowymi
na swoim uniwersytecie.
Ideolodzy mieli do niego
pretensje za ujawnianie
ich nonsensów. Był za
to opluwany na ulicy
i nękanie. W końcu się
poddął*



Męczeństwo Petera Boghossiana

19 maja 2016 r. dwóch amerykańskich badaczy – Jamie Lindsay i Peter Boyle – opublikowało artykuł z dziedziny gender studies w piśmie „The Cogent Social Sciences” pod tytułem „Konceptualistyczny penis jako konstrukt społeczny”. Artykuł był napisany w typowym dla badań gender żargonie pseudonaukowym. Został przyjęty bardzo pozytywnie, choć tezy, które zawiera, są całkowicie nonsensowne. Wynika z niego, że „penis to szkodliwy konstrukt społeczny, a nie anatomiczna rzeczywistość”. Z tego konstruktu społecznego wywodzi się toksyczna męskość, która jest „siłą napędową neokapitalistycznego materializmu”. A ten znowu napędza zmiany klimatu. Ergo, penisy są odpowiedzialne za zbliżającą się katastrofę klimatyczną, ponieważ „narzucają czystej, dziewiczej naturze swą dominację”.

Autorzy artykułu są rzeczywiście naukowcami, ale nie w dziedzinie gender studies. Peter Boyle to pseudonim dr. Petera Boghossiana, amerykańskiego filozofa i pedagoga.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Przez dziesięć lat był adiunktem filozofii na Portland State University w stanie Oregon. A Jamie Lindsay to tak naprawdę dr James Lindsay, matematyk i krytyk kulturowy. Przez lata Boghossian, Lindsay oraz brytyjska pisarka i wydawczyni pisma „Areo” Helen Pluckrose publikowali bzdurne artykuły w fachowych pismach naukowych, by pokazać, że nowe, postmodernistyczne dziedziny badawcze – gender studies, kry-

tyczna teoria rasowa czy badania queer – „są skorumpowane do cna” i z nauką nie mają nic wspólnego. Są ideologicznym nonsensem, który usiłuje się wnieść na poziom nauki. Rakiem, który należy usunąć z uniwersytetów.

BRAK RYGORU BADAŃ I METODOLOGII

Boghossian, Lindsay i Pluckrose napisali 20 takich artykułów, z czego siedem zostało opublikowanych. Jeden pod tytułem „Wasza walka jest naszą walką” trafił do feministycznego

pisma „Affilia” i składał się z pasażu z „Mein Kampf” Adolfa Hitlera, wzbogaconych o postmodernistyczny, lewicowy żargon. Był chwalony przez recenzentów – jak pisał Tom Whipple w „The Times” – za „bogaty i ekscytyujący wkład w badania nad nakładaniem się męskości na analność”. W 2018 r. Pluckrose, pod pseudonimem Helen Wilson, opublikowała artykuł w „Journal of Feminist Geography” o „ludzkich reakcjach na kulturę gwałtu i queerowej performatywności” wśród psów w mieście Portland. W badaniu zaznaczyła, że podczas 1 tys. godzin obserwacji zachowania czworonogów oraz ich ludzkich towarzyszy w trzech parkach dla psów odkryła, że „próby gwałtu wśród psów mają miejsce średnio co 60 min”. „Pse parki to mikrokosmosy, w których w środowisku międzygatunkowym można zaobserwować hegemoniczne, maskulinistyczne normy regulujące zachowania queerowe i przymusową heteroseksualność” – głosił artykuł. „Z tego powodu parki dla psów pozostają opresyjnymi przestrzeniami, które zamykają zarówno ludzi, jak i zwierzęta w hegemonicznych wzorcach konformizmu płciowego, a opresyjne normy patriarchalne sięgają tam zenitu” – czytamy.

Gdy pismo się zorientowało, że Helen Wilson nie istnieje, wybuchł skandal. Wielu krytyków porównywało działalność Boghossiana, Lindsaya i Pluckrose do tzw. afery Sokala z 1996 r., czyli publikacji w czasopiśmie naukowym „Social Text”, poświęconym studiom kulturowym, pracy amerykańskiego fizyka Alana Sokala pod tytułem „Transgressing the Boundaries: Towards a Transformative Hermeneutics of Quantum Gravity” (Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce grawitacji kwantowej). Sokal przedstawił wtedy fikcyjną koncepcję związków między emancypacją, feminizmem oraz dekonstruktywizmem a grawitacją kwantową. Artykuł odniósł wielki sukces. Był jednak wyssany z palca. Sokal chciał w ten sposób udowodnić panujący w nowych prądach nauk społecznych brak rygoru badań i metodologii. Jak podkreślił, pisma takie jak „Social Text” są gotowe „opublikować wszystko, co jest zgodne z wyznawaną przez nich ideologią, nawet jeśli nic z tego nie rozumieją”. Po tekście Sokala redakcja „Social Text” opublikowała artykuł, z którego wynikało, że rzeczywistość nie istnieje, bo jest konstruktem społecznym.

WOJNA KULTUROWA NARASTA

Między 1996 a 2018 r. upłynęło jednak trochę czasu. Wtedy Sokal był chwalony za ujawnienie liberalnego przechyłu w środowisku naukowym. Teraz na Boghossiana, Lindsaya i Pluckrose spadła fala krytyki. Niektórzy badacze odrzucili metody całej trójki jako nienaukowe i „haniebne”. „Boże, jakie to głupie” – stwierdził, krótko, politolog z Harvardu Matt Blackwell. Oskarżono ich o otwieranie kolejnego „niepotrzebnego” frontu w amerykańskiej wojnie kulturowej. Chcąc obnażyć hipokryzję lewicy, która opanowała amerykańską akademię wraz z jej kulturą unieważnienia, Boghossian, Lindsay i Pluckrose mieli „obnażyć samych siebie”. Ich pierwszy artykuł o penisie został odrzucony przez wiele fachowych pism specjalizujących się w naukach gender, by

końcu wylądować w „The Cogent Social Sciences”, piśmie – jak podkreśla portal Vox – o niskiej jakości naukowej, które publikuje wszystko jak leci i pobiera za to od autorów opłatę. Kolejne fejkowe badania trójki były jednak lepiej przygotowane i zostały opublikowane w renomowanych pismach. Choćby artykuł o możliwości przezwyciężenia transfobii u mężczyzn za pośrednictwem analnej masturbacji.

„Mamy uczyć studentów, jak myśleć,
a nie co myśleć. Uniwersytet
w Portland tego zadania nie spełnia.
Uczelnia ogranicza to prawo,
by promować równość rasową
i sprawiedliwość społeczną” – napisał
Boghossian w pożegnalnym liście,
rezygnując z pracy

Według Lindsaya potwierdziło to ich początkową tezę: że większość teorii poststrukturalnych leżących u podstaw współczesnych badań dotyczących rasy i płci jest całkowicie bezsensowna. „Straciłem zdolność ufania nauce. Jestem pewien, że część badań jest bardzo dobra. Problem w tym, że nie da się tego stwierdzić z pewnością, odróżnić tych bzdurnych od tych sensownych” – uważa matematyk. Dlatego, jego zdaniem, należy zamknąć katedry badań nad gender i rasą na zachodnich uczelniach. „Wszystkie osiągnięcia ruchu praw obywatelskich zostały dawno wypaczone. Został po nich bezsensowny belkot, którego używa się przeciwko ludziom, niszcząc kariery i życia” – dodał.

WSTYD DLA AKADEMII?

Batalia, którą wytoczyli trzej naukowcy postmodernistycznemu dyskursowi, znalazła także zwolenników. Wykładowca Harvardu i publicysta „The Atlantic” Yascha Mounk widzi w niej powód do wstydu – dla akademii. Według niego jest niezrozumiałe, jak tak poważne pismo jak „Gender, Place and Culture” mogło opublikować artykuł Boghossiana o tym, że zachodnia astronomia jest seksistowska i lepiej praktykować „nowoczesny taniec interpretacyjny”. Czy artykuł Pluckrose o tym, że jak mężczyzna się masturbuje i jednocześnie myśli o kobiecie, to popełnia na niej gwałt, „bo nie udzieliła mu ona na to zgody”. „Ujawnia to nie tylko niskie standardy czasopism, które publikują tego rodzaju chłam. Pokazuje również, do jakiego stopnia wiele z nich jest skłonnych stosować dyskryminację, jeśli służy ona pozornie postępowym celom” – uważa Mounk.

W jednym z artykułów Boghossian i Lindsay proponowali, by w ramach zwalczania „białego przywileju” wykładowcy nie pozwalali białym studentom dojść do słowa, a gdyby stawiali opór, przykuwali ich do podłogi łańcuchami. Został opublikowany. Mounk tak jak wielu innych krytyków „afery Sokala do kwadratu” ostrzega jednocześnie przed „graniem w ręce prawicy”, która na podstawie takich zajęć „usiłuje zdyskredytować naukę jako taką, także tę dotyczącą zmian klimatycznych”. Bo Mounk jest liberałem, podobnie zresztą jak są nimi Boghossian, Lindsay i Pluckrose.

Boghossian to ateista wojujący, zaprzyjaźniony z prof. Richardem Dawkinsem. Lindsay od lat walczy o wyższe podatki dla bogatych, a Pluckrose to była feministka. Cała trójka sprzeciwia się jednak nowej lewicy, tej poprawnej politycznie, wykluczającej i wojującej, wyrażonej w ruchach takich jak #MeToo czy Black Lives Matter. W artykule opublikowanym w 2017 r. Lindsay i Pluckrose argumentowali, że „polityka tożsamościowa w formie sprawiedliwości społecznej może cofnąć dziesięciolecia postępu społecznego i dostarczyć uzasadnienia dla odrodzenia rasizmu, seksizmu i homofobii”.

Liberał sprzeciwiający się najnowszemu pomysłu postępowej lewicy to pozycja niezbyt wygodna, o czym przekonał się Boghossian.

WORKI Z KAŁEM ZAMIAST DEBATY

W 2018 r. Uniwersytet w Portland, gdzie był adiunktem, rozpoczął śledztwo przeciwko niemu, oskarżając go o to, że prowadził badania na ludziach (czytelnikach jego fejkowych artykułów) bez ich zgody oraz „fałszował dane”. W obronie filozofa wystąpiło wielu akademików, w tym prof. Richard Dawkins czy psycholog prof. Jordan Peterson. Ostatecznie uczelnia uznała jednak, że złamał on zasady etyczne i zakazała mu prowadzić jakichkolwiek badań do czasu, gdy ukończy on specjalne szkolenie i „nauczy się chronić prawa ludzkich podmiotów”.

Już wcześniej Boghossian miał coraz większe trudności w nauczaniu. Uniemożliwiano mu zapraszanie gościnnych wykładowców w ramach kursu o krytycznym myśleniu. A był otwarty na wszystkich – od zwolenników teorii płaskiej Ziemi po działaczy Occupy Wall Street. „Krok po kroku uniwersytet uniemożliwił mi tego rodzaju intelektualną eksplorację. Przekształcił bastion wolnego słowa, którym powinna być każda uczelnia, w fabrykę sprawiedliwości społecznej, której jedynymi wkładami w naukę były rasa, płeć i status ofiary, z czego wynikały tylko kolejne pretensje i podziały” – zaznaczył.

Skrajnie lewicowi studenci, którym nie podobala się jego działalność, zostawiali worki z kałem pod drzwiami jego biura i rysowali na ścianach swastyki z jego nazwiskiem. Na ulicy przechodnie pluli mu w twarz. Rozdawano ulotki z jego twarzą i nosem Pinokia. Uczelnia, jak twierdzi, ścigała za to jego, a nie sprawców. Wiele studentów odmawiało wysłuchania poglądów odmiennych od ich własnych i pisało na niego skargi. Innym odradzali uczęszczanie na jego zajęcia. Kierownictwo uczelni zabroniło mu także wyrażać opinie

o „chronionych grupach”, czyli osobach o innym kolorze skóry, czy płci bądź „nauczać tak, by jego poglądy o takich grupach stały się znane”.

Klimat na uczelni stał się dla Boghossiana w końcu nie do zniesienia. 8 września tego roku filozof postanowił zrezygnować ze stanowiska adiunkta. W otwartym liście wysłanym do kierownictwa uczelni podkreślił, że przestała ona być miejscem dla „ludzi wolno myślących i chcących eksplorować różne idee”. „Nie pozwala mi się wyrażać moich poglądów, jestem nękanym za korzystanie z prawa do wolności słowa. Uczelnia ogranicza to prawo, by promować równość rasową i sprawiedliwość społeczną” – czytamy w liście. Według filozofa lewica znalazła sobie „nową religię”, którą praktykuje z zapałem. „Studentów Portland State University nie uczy się myśleć. Mają naśladować moralną pewność ideologów. Chciałbym móc powiedzieć, że to wszystko mnie nic nie kosztowało. Ale kosztowało: życie zawodowe coraz bardziej nie do zniesienia, i to bez ochrony stałego stanowiska. Ale nie chodzi tu o mnie, tylko o rodzaj instytucji, jakich chcemy w naszym kraju, o wartości, które wybieramy. Wolność zadawania pytań jest jednym z naszych podstawowych praw. Instytucje oświatowe powinny nam o tym przypominać, że jest to także naszym obowiązkiem. Mamy uczyć studentów, jak myśleć, a nie co myśleć. Uniwersytet w Portland tego zadania nie spełnia” – podsumowuje swój list Boghossian.

Jego dalsza przyszłość naukowa jest obecnie niepewna. ▀

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ PAKIETU

SIECI
w SIECI
HISTORII

Marek A. Koprowski
LEGIONY
Droga do legendy
Tworzyli Wojsko Polskie
1916–1918

50 książek w prezencie

Zamów już dziś na:
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Autopromocja



Cena migracji

Liban jest idealnym przykładem tego, do czego może doprowadzić kraj polityka otwartych ramion wobec migrantów. Dziś Libańczyków nie stać już nie tylko na utrzymanie uchodźców. Sami żyją w skrajnej biedzie, bo gospodarka w ich kraju kompletnie się załamała



MARCIN TULICKI

Ci, którzy nie dopuszczają do siebie myśli, że niekontrolowana migracja może zniszczyć kraj, przyczyn kryzysu ekonomicznego w Libanie upatrują w potężnym wybuchu w porcie bejruckim, do którego doszło latem ubiegłego roku. Tyle tylko, że taki scenariusz to jedynie wymysł życzeniowej postawy zwolenników lewicowo-liberalnego podejścia do sprawy. Fakty są takie, że gospodarcza zapaść dopadła Liban wiele miesięcy wcześniej. Ludzie, protestujący przeciwko sytuacji ekonomicznej pogarszającej się w zastraszającym tempie, na ulice Bejrutu wyszli już przecież pod koniec 2019 r. Kryzys musiał więc trwać od

dłuższego czasu, skoro doprowadził do tak dużych napięć społecznych.

Nie ma wątpliwości, że jednym z jego powodów, poza wszechobecną korupcją, było przyjmowanie przez lata, i to bez opamiętania, uchodźców z Syrii i Palestyny. Dziś ten mały, gościnny dla przybyszów, kraj na Bliskim Wschodzie nie jest w stanie zapewnić swoim obywatelom już nawet nie życia na średnim poziomie, ale jakiegokolwiek bezpieczeństwa socjalnego wykraczającego poza kilka najbliższych dni, które wiele rodzin i tak może przeżyć tylko dzięki wsparciu humanitarnemu od innych krajów.

W OBLCZU DRAMATU

W Bejrucie niemal wszystko przypomina o dramatycznej sytuacji, w jakiej znaleźli się Libańczycy. W samym centrum nagle dostrzegam kilkukilometry sznur samochodów stojących na poboczu. Okazuje się, że to kolejka do sta-

cji benzynowej, którą akurat zaopatrzone w paliwo. Dziś w Libanie, obok leków, to najbardziej deficytowy towar. Dla wielu jego brak oznacza zawodowy koniec.

Z George'em spotykam się na jednej z niewielkich uliczek w centrum Bejrutu. Blisko portu, w którym ponad rok temu doszło do ogromnego wybuchu. Jego mieszkanie też ucierpiało, ale nie aż tak jak inne. Skończyło się na powybijanych szybach i wielkim strachu. 50-latek i jego rodzina nie musieli się wyprowadzać. – Tylko jedną noc spaliśmy u siostry mojej żony, a później można było wrócić, posprzątać i dalej mieszkać – opowiada George, który z zawodu jest taksówkarzem, więc od jakiegoś czasu nie zarabia, bo nie ma gdzie kupić paliwa. – Od kilku dni siedzę beczynnym w domu. Jeszcze nigdy nie było tak beznadziejnie. Nie dość, że nie mogę pracować, to jeszcze mamy ciągle przerwy w dostawie wody i prądu. Bejrut zatrzymał się w miejscu – narzeka wyraźnie podłamany George, który ma

powody do zmartwień. Nie chciałby skończyć tak jak jego kolega po fachu, 47-letni Rober, który zmarł na atak serca.

Carole Samara, wdowa, sama wychowuje pięcioletniego Charbela. Odwiedzamy ją w skromnym mieszkaniu na przedmieściach Bejrutu. Winą za śmierć swojego męża obarcza państwo, które od dłuższego czasu nie jest w stanie zapewnić Libańczykom podstawowej opieki zdrowotnej. Rober najpierw uległ wypadkowi i nie mógł dalej pracować jako taksówkarz. Przez kilkanaście miesięcy nie mógł znaleźć innej pracy. Z tygodnia na tydzień był coraz bardziej przygnębiony, aż w końcu popadł w depresję. Wylądował w szpitalu. Koszty leczenia musiała ponieść rodzina. – W końcu wypisali go do domu. Tutaj miał dojść do siebie, ale kilka dni później zakłuło go mocno w klatkę piersiową i już z tego nie wyszedł – opowiada Carole, nie umiejąc powstrzymać łez. – Gdybyśmy żyli w normalnym kraju, mój kochany mąż pewnie wciąż by żył – dodaje.

NAD PRZEPAŚCIĄ

Bezrobocie w Libanie sięga 70 proc. Waluta spadła na dno. W przeliczeniu do dolara i sytuacji sprzed kryzysu Libańczycy zarabiają dziś nawet 20 razy mniej. Nie mówiąc już o pensjach w sektorze państwowym. Niektóre wynoszą 40 dol., co często nie pokrywa nawet kosztów dojazdu do pracy.

Odwiedzamy jeden z państwowych szpitali, zlokalizowany bardzo blisko zdevastowanego wybuchem portu. Część placówki udało się już odbudować – sprawia bardzo nowoczesne wrażenie. Inne skrzydło wciąż jest w remoncie. Szpital zmaga się jednak z dwoma potężnymi problemami: brakuje leków i personelu. W obliczu finansowej zapaści część lekarzy i pielęgniarek wyjechała do pracy za granicą. Głównie do Francji i Belgii. – Największy problem mamy z różnego rodzaju antybiotykami. Ich brakuje niemal non stop. Państwo nie ma pieniędzy, tym bardziej że dostawcom trzeba płacić w dolarach – opowiada Christelle Yacoub, pielęgniarka.

W wybuchu, który mocno pogłębił finansowy kryzys w Libanie, zginęło ponad

200 osób, a prawie 8 tys. zostało rannych. 300 tys. osób straciło dach nad głową. Wiele rodzin wciąż nie ma dokąd wrócić. Żyją z dnia na dzień, dzięki pomocy humanitarnej płynącej z całego świata, także z Polski. W ostatnim czasie paczki żywnościowe dostało tysiąc rodzin. – To żywność z długim terminem ważności, bo w wielu miejscach w Libanie wciąż brakuje prądu. Do tego 1,5 tony leków, przybory szkolne i środki do uzdatniania wody – wymienia ks. prof. Waldemar Cisko, dyrektor polskiej sekcji Papieskiego Stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie. Część darów trafiła także do nielegalnych obozów dla syryjskich uchodźców, które rozsiane są na niemal całej długości libańsko-syryjskiej granicy.



NA GRANICY

Do Saadnayel przyjeżdżamy koło południa. Przed wybuchem wojny w Syrii liczyło ok. 2 tys. mieszkańców. Teraz przebywa tam ok. 15 tys. osób, głównie uchodźców w obozach. W jednym z nich odwiedzamy szkołę. To dla syryjskich dzieci najważniejsze miejsce, w którym choć na chwilę mogą zapomnieć o tym, w jakich warunkach żyją. – Brakuje nam niemal wszystkiego. Pieniądzy na dowóz dzieci do szkoły, na przybory, na opłacenie nauczycieli – mówi Moataz

Kharnoub, dyrektor szkoły, której klasy mieszczą się w blaszanych kontenerach.

Jedną z uczennic jest 12-letnia Malak al Ali. Jej rodzina z Syrii uciekła siedem lat temu. – Pamiętam, jak nasi sąsiedzi zginęli w bombardowaniu. Głównie takie chwile kojarzą mi się z Syrią – opowiada Malak. Wraz z rodzicami i czwórką rodzeństwa mieszka w dwóch namiotach. W środku stół, krzesła i trzy materace. – Jakoś musimy sobie radzić – mówi Mona al Ali, matka dziewczynki.

Co kilkadziesiąt metrów, pomiędzy prowizorycznymi namiotami, znajdują się sporej wielkości zbiorniki z wodą. Biejącej w obozie nie ma. Właśnie dlatego potrzebne są przywiezione z Polski środki do jej uzdatniania.

Libia przez lata była otwartym na uchodźców krajem. W końcu wojna w Syrii toczy się tuż za ich granicą. Jednak dziś Libańczycy, nauczeni doświadczeniem, do sprawy podchodzą już całkiem inaczej. Na własnej skórze odczuli, czym jest niekontrolowana migracja, która doprowadziła ich kraj do gospodarczego upadku.

Gdy spotkałem się z patriarchą Kościoła maronickiego w Libanie, opowiedziałem o sytuacji panującej dziś na polsko-białoruskiej granicy i zapytałem, co, jego zdaniem, powinna zrobić Polska. Abp Béchara Boutros Rai na tak zadane pytanie odpowiedzieć nie chciał, ale opisał, jak polityka otwartych ramion zepchnęła Liban nad finansową przepaść. – Nie wywołaliśmy żadnej wojny, a teraz kraje, które ją rozpętały, proszą nas, byśmy przyjęli uchodźców i zajęli się nimi. Nie zapewniają nam jednak żadnego wsparcia. Dlatego mówimy im, żeby sami zajęli się swoimi ludźmi, bo my już nie mamy żadnych możliwości – powiedział patriarcha.

Libańczyków nie tylko nie stać już na utrzymywanie uchodźców. Nie stać ich na utrzymanie samych siebie. To bez wątpienia lekcja, z której wnioski powinny wyciągnąć również inne kraje. Także te naciśnięte z zewnątrz na prowadzenie polityki, która – jak widać na przykładzie Libanu – prowadzi do gospodarczego upadku. ➤

Autor jest dziennikarzem „Wiadomości” TVP1

Sztandary bitwy pod Lepanto

Są bitwy, które decydują o losach narodów, kontynentów, świata. O losach chrześcijańskiej Europy zadecydowały trzy historyczne starcia: w Poitiers, gdzie w 732 r. Frankowie pod wodzą Karola Młota pokonali armię muzułmańską; pod Lepanto w 1571 r., gdzie w bitwie morskiej Święta Liga pogromiła flotę osmańską; pod Wiedniem, gdzie Jan III Sobieski odniósł wielkie zwycięstwo nad oblegającym miasto Turkami

W tym roku obchodzimy 450. rocznicę bitwy pod Lepanto, warto więc przypomnieć przebieg tego epokowego starcia i jego szczególne symbole – historyczne sztandary okrętów flagowych flot, które brały w nim udział.

Europa przez wiele stuleci była zagrożona przez imperium osmańskie, które zdołało podbić część naszego kontynentu. Nie stała się muzułmańska m.in. dzięki historycznemu zwycięstwu nad flotą sułtana, które przeszło do historii jako bitwa pod Lepanto, morska bitwa Świętej Ligi z flotą osmańską w Zatoce Korynckiej (7 października 1571 r.). Chrześcijańskimi symbolami tej zwycięskiej bitwy są dwa sztandary: sztandar okrętu papieskiego admirała Marcantonio Colonny i sztandar okrętu księcia Juana de Austrii, dowódcy chrześcijańskiej floty. Sztandar Colonny znajduje się obecnie w Muzeum Archidiecezji Gaety, drugi natomiast w Muzeum Santa Cruz w Toledo. Ale nie wszyscy wiedzą, że we Włoszech można zobaczyć jeszcze jeden symbol tej bitwy – sztandary ze statku osmańskiego wodza Alego Paszy.

TURCY PODBIJAJĄ CYPR

Starcie morskie z Turkami było konsekwencją zajęcia przez sułtana Cypru, który od 1480 r. należał do Wenecji. Podbój Cypru rozpoczął się w lipcu 1570 r. lądowaniem sił inwazyjnych liczących ok. 100 tys. ludzi. Nikozja padła 9 września – Turcy zmasakrowali całą ludność stolicy, oszczędzając jedynie dwa tysiące młodych niewolników. Następnie Turcy zaczęli oblegać portowe miasto Famagusta. Posiadało ono skuteczny i innowacyjny system obronny wybudowany przez kapitana generalnego miasta, senatora Marcantonio Bragadina, pochodzącego ze szlacheckiego rodu weneckiego. Obleżenie trwało prawie rok – kiedy w mieście wyczerpały się wszystkie zapasy, w lipcu 1571 r. Bragadin się poddał, zawierając honorowy pakt z dowódcą osmańskim Lalą Mustafą Paszą (gwarantował on życie i wolność wszystkim, którzy byli w mieście).

1 sierpnia weneccjanie przekazali miasto Turkom, którzy jednak nie dotrzyмали umowy – podczas spotka-

nia Bragadina z Lalą Mustafą zabito chrześcijańskich dowódców, a samemu senatorowi odcięto uszy i nos. Ale to był dopiero początek jego tortur. Jak opowiadali świadkowie, senator zmuszony był nosić na plecach ogromne worki z ziemią, następnie przykuto go łańcuchami do masztu galery, aby wszyscy mogli go zobaczyć. Potem, zawleczony na rynek miejski przy dźwiękach bębnow i trąb, został żywcem obdarty ze skóry – jego wypełniona słomą skóra była pokazywana jako trofeum na najwyższym maszcie statku Mustafy. Natomiast wszyscy chrześcijańscy żołnierze zostali podstępnie rozbrojeni i przykuci do wiosł tureckich galer.

ŚWIĘTA LIGA PRZECIWKO OSMAŃOM

Bohaterska i długa obrona Famagusty dała Piusowi V czas na zorganizowanie Świętej Ligi, koalicji chrześcijańskiej, która w planach papieża miała walczyć z ekspansjonizmem imperium osmańskiego. Turcy zagrażali nie tylko Cyprovi, lecz także wybrzeżom

półwyspu włoskiego i Hiszpanii atakowanym przez muzułmańskich piratów, którzy stali się panami zachodniej części Morza Śródziemnego. W tym dramatycznym momencie papież robił wszystko, aby w duchu krucjaty zjednoczyć w Świętą Ligę siły chrześcijańskie, które tak często były podzielone.

Symbolem tego papieskiego błogosławieństwa dla inicjatywy był sztandar damaszkowy z postaciami Chrystusa ukrzyżowanego między apostołami Piotrem i Pawłem, przekazany 11 czerwca 1570 r. w bazylice św. Piotra papieskiemu admirałowi Marcantoniovi Colonnii, który miał dowodzić flotą chrześcijańską. Niestety nieporozumienia związane z kwestią przewodzenia Lidze spowodowały, że dowództwo zostało powierzone don Juanowi de Austrii, naturalnemu synowi cesarza Karola V Habsburga, a Colonna miał być jego głównym zastępcą. W tej sytuacji kolejny papieski sztandar z karmazynowego jedwabiu z krucyfiksem i herbami Świętej Ligi (Hiszpanii, Kościoła i Wenecji) został oczywiście wręczony Juanowi de Austrii przez wicekróla Neapolu i delegata apostolskiego kardynała Antoine'a Perrenot de Granvelle'a w neapolitańskiej bazylice Santa Chiara 14 sierpnia 1571 r.

Statki chrześcijańskie zbierały się w porcie Mesyna na Sycylii, począwszy od lipca 1571 r., a na początku września flota była gotowa do wypłynięcia w kierunku Grecji. 6 października statki dotarły do Zatoki Korynckiej, a następnego dnia, w niedzielę 7 października 1571 r., Juan de Austria ustawił chrześcijańskie okręty przed flotą osmańską.

Siły rozmieszczone na morzu były imponujące (choć różne źródła historyczne podają odmienne dane) – flota Ligi składała się z 204 galer i sześciu galeasów z 36 tys. żołnierzami oraz ok. 30 tys. wiosłarzy nieniewolników, którzy mogli brać udział również w walkach na pokładach galer. Natomiast flota turecka liczyła prawdopodobnie ponad 170 galer, ponad 20 galeot oraz nieustaloną liczbę mniejszych jednostek i okrętów korsarzy. Na tureckich statkach było ok. 25 tys. żołnierzy. Flotą turecką dowodził admirał Mehmet Shorag, zwany Scirocco, naczelnym wo-

dzem był Ali Pasza (płynął na okręcie flagowym Sultana, na którym powiewała flaga floty).

HEROICZNA BITWA

Juan de Austria postanowił rozpocząć bitwę interwencją sześciu imponujących weneckich galeasów, które dysponowały wielką siłą ognia – wenecka kanonada spowodowała poważne uszkodzenia wielu statków floty osmańskiej. W tej sytuacji Ali Pasza postanowił się uciec do abordażu, tzn. do bezpośredniego kontaktu ze statkami przeciwnika i do walki na pokładzie. Przede wszystkim chciał złapać don Juana, aby go zabić i w ten sposób osłabić morale chrześcijan. Początkowo Turcy mieli korzystny wiatr i mogli skutecznie atakować okręty chrześcijańskie, ale koło południa wiatr zmienił kierunek. Gdy okręty znalazły się w zasięgu ognia, chrześcijanie opuścili wszystkie flagi, a Juan de Austria wywiesił na swoim statku sztandar z wizerunkiem ukrzyżowanego Odkupiciela. Na każdej galerze wzniesiono krzyż, a walczący otrzymali rozgrzeszenie zgodnie z odpustem udzielonym przez Piusa V.

Los bitwy był niepewny, dopóki nie poległ w walce dowódca osmański Ali Pasza Muezinowicz. Jego okręt flagowy został zaatakowany przez tokańskie galery Capitana i Grifona – Ali Pasza został zabity, a ściętą głowę wystawiono na maszcie hiszpańskiego okrętu. Śmierć admirała osmańskiego podkopła morale Turków – około czwartej po południu okręty osmańskie wycofały się, co oznaczało zwycięstwo Ligi Chrześcijańskiej. Turcy stracili 80 zatopionych galer i 117 statków przejętych przez chrześcijan, a ich straty w ludziach były ogromne: 30 tys. zabitych i rannych, 8 tys. wziętych do niewoli. Natomiast Liga Chrześcijańska straciła 17 statków, zabitych zostało 7656 walczących, a rannych było 7784. Ponadto uwolniono 15 tys. chrześcijan, wiosłarzy niewolników. Chrześcijanie uwolnieni z osmańskich statków udali się do Porto Recanati, na wybrzeżu Adriatyku, po czym przeszli w procesji do Świętego Domu w Loreto, gdzie ofiarowali Madonnie swoje kajdany (z łańcuchów tych wykonano kraty kaplic sanktuarium).

PIUS V PRZYPISUJE ZWYCIĘSTWO MADONNIE

Bitwa pod Lepanto miała głębokie znaczenie religijne. Przed startem chrześcijańscy marynarze i żołnierze przyłączyli się do wstawienniczej modlitwy do Chrystusa i Matki Bożej. Oficjalna wiadomość o zwycięstwie przekazana przez posłańców księcia Colonna dotarła do Rzymu 23 dni po bitwie, ale papież w jej dniu miał widzenie i wykrzyknął: „Jest godzina 12, bijcie w dzwony, wygraliśmy pod Lepanto za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny”. Tak narodziła się katolicka tradycja bicia w dzwony kościelne o godz. 12. Ponieważ zwycięstwo przypisywano wstawiennictwu Matki Boskiej, św. Pius V postanowił ustanowić dzień 7 października świętem Matki Boskiej Zwycięskiej i dodał tytuł „Auxilium Christianorum” (Pomoc chrześcijan) do litanii loretańskiej. Następnie Grzegorz XIII przekształcił to święto w Święto Madonny Różańca, zważywszy na to, że chrześcijanie przypisywali zwycięstwo opiece Maryi, do której się modlili przed bitwą, odmawiając różaniec.

CHORĄGWIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

Tak jak już wspomniano, Pius V kazał dostarczyć sztandary dowódcy Ligi Świętej Juanowi de Austrii oraz admirałowi floty papieskiej Marcantoniovi Colonnii. Ten pierwszy znajduje się w Toledo w Hiszpanii. Natomiast sztandar ze statku admirała Colonna, na którym widniał napis „In hoc signo vinces” („pod tym znakiem zwyciężysz” – te słowa miał usłyszeć Konstantyn Wielki przed bitwą z Maksencjuszem przy moście Mulwijskim w 312 r.) prawdopodobnie został подарowany katedrze w Gaecie przez weteranów bitwy, na prośbę lub za zgodą samego Marcantonio Colonna. Jak zaświadcza historycy, papieski admirał odwiedził Gaetę przed bitwą i po niej – 23 czerwca 1571 r., kiedy dokonano przeglądu floty papieskiej, oraz 23 maja 1572 r., około siedmiu miesięcy po Lepanto.

Chorągiew początkowo traktowano jak prawdziwą relikwię. By mogli ją oglądać wierni, została przekształcona w obraz, który umieszczono nad



W Pizie, w kościele Rycerzy św. Stefana (Santo Stefano dei Cavalieri), można zobaczyć sztandar osmańskiej floty będący symbolem bitwy pod Lepanto

ołtarzem w prezbiterium katedry. Po został tam nienaruszony do czasu alianckiego bombardowania, które miało miejsce w nocy z 8 na 9 września 1943 r. – wtedy został poważnie uszkodzony. Po starannej renowacji wystawiono go w Muzeum Archidiecezjalnym w Gaecie.

TURECKI SZTANDAR I FLAGI

Tak jak sztandar z okrętu admirała Marcantonio Colonny jest symbolem zwycięstwa floty chrześcijańskiej, tak sztandar naczelnego wodza osmańskiego Alego Paszy stał się symbolem klęski Turków. Nie wszyscy wiedzą, że znajduje się on we Włoszech, w Pizie, w kościele Santo Stefano dei Cavalieri. Jego historia związana jest z Zakonem Rycerskim św. Stefana. Zakon ten powołał do życia Kosma Medyceusz (Cosimo de' Medici). Pius IV bullą „His quae Pro Religionis Propagatione” z 1 lutego 1562 r. zatwierdził jego statuty, a 15 marca nadał Kosmie I i jego potomkom tytuł wielkiego mistrza. Statuty nowego

zakonu były podobne do statutów Zakonu Maltańskiego, herbem miał być również ośmiokątny krzyż, ale odwrócono jego kolory, czyli czerwony krzyż na białym tle. W ten sposób Kosma zrealizował swój ambitny projekt stworzenia zakonu rycerskiego, wojskowego i marynarskiego, który miał być wierny dynastii Medyceuszów. Mogli do niego należeć jedynie rycerze szlacheckiego pochodzenia.

W tamtych czasach Morze Śródziemne nie było bezpieczne z powodu najazdów statków osmańskich, dlatego zakon został powołany do walki z piractwem islamskim i do uwolnienia chrześcijan z niewoli osmańskiej. Ufortyfikowana placówka została stworzona na wyspie Elba, aby zapobiec atakom osmańskim na włoskie wybrzeża. Portoferraio na Elbie było pierwszą siedzibą zakonu, która następnie została przeniesiona do Pizy. Słynny plac Rycerzy (Piazza dei Cavalieri) w tym mieście bierze swoją nazwę właśnie od tego zakonu.

Statki rycerzy Zakonu św. Stefana już w 1565 r. uczestniczyły wraz z flotą Hi-

szpanii w obronie Malty. Sześć lat później wzięli udział z 12 galerami w bitwie pod Lepanto. Podczas tego starcia na okręt Alego Paszy wkroczyły załogi tokańskich galer, przy okazji zdobywając sztandar admirałski i inne flagi. Dziś w Pizie, w kościele Rycerzy św. Stefana (Santo Stefano dei Cavalieri), można zobaczyć sztandar osmańskiej floty będący symbolem tej historycznej bitwy, która ocaliła Europę przed ekspansją Turków. Kościół zaprojektował słynny Giorgio Vasari, kamień węgielny pod jego budowę położył 17 kwietnia 1565 r. sam założyciel zakonu Kosma I, a konsekracja świątyni miała miejsce 21 grudnia 1569 r. Wnętrze kościoła jest rozległe i bogato ozdobione dziełami, które mają przywoływać dokonania zakonu.

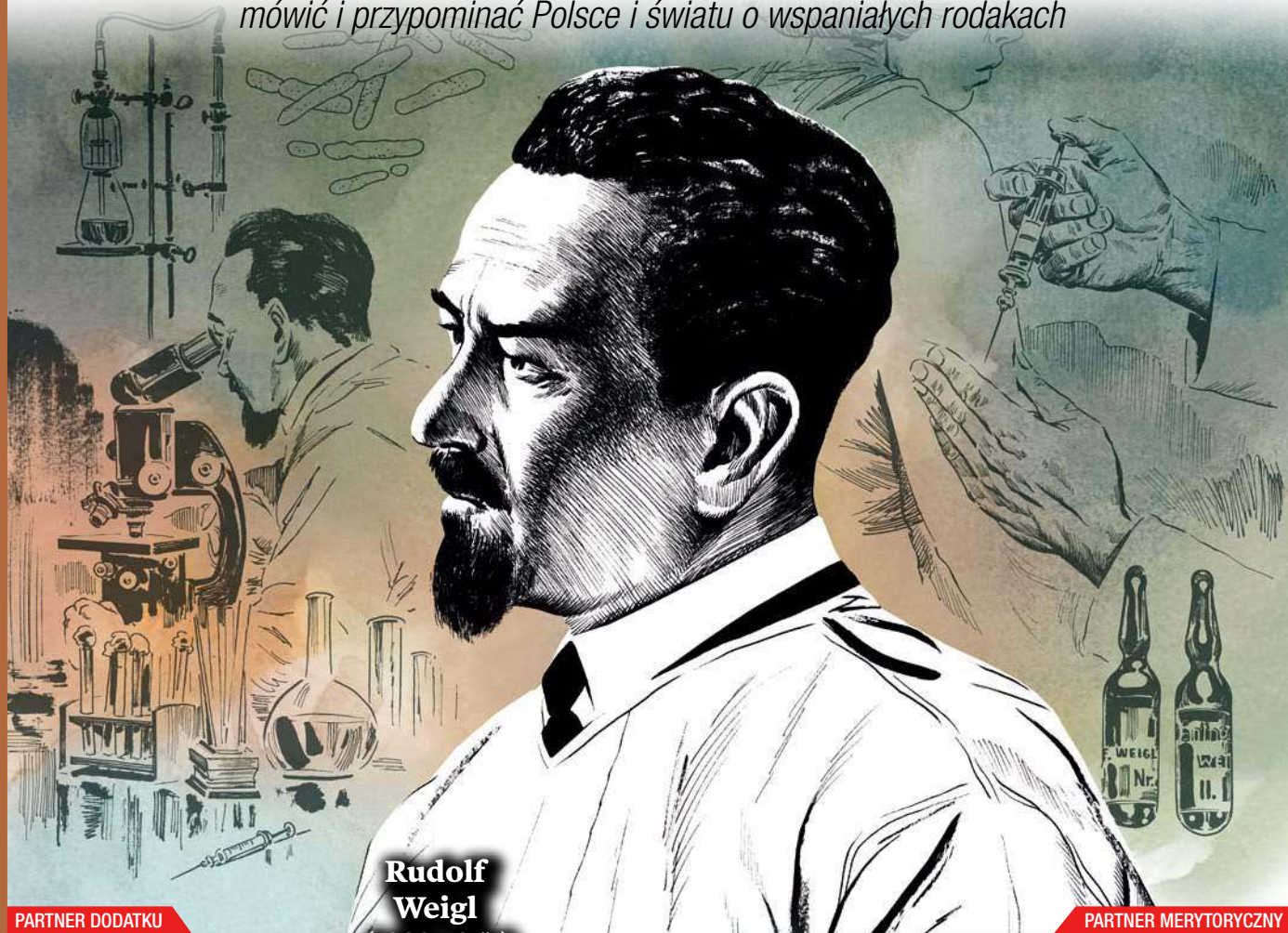
Sztandary okrętów flagowych uczestniczących w bitwie pod Lepanto przypominają nam, jaką cenę płacili nasi przodkowie za obronę chrześcijańskiej tożsamości kontynentu, obronę, która często wymagała zbrojnych działań zjednoczonej Europy.

Włodzimierz Rędzioch

Giganci nauki PL^{odc. 8}

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Mamy w naszej historii wspaniałych odkrywców i wynalazców, zmieniających losy Polski i świata. Często wiemy o nich niewiele albo zgoła nic. Przez całe dziesięciolecia od wojny byli świadomie zapominani i niedoceniani. Nadszedł czas, byśmy mogli z dumą o nich mówić i przypominać Polsce i światu o wspaniałych rodakach



Rudolf Weigl
(1883–1957)

PARTNER DODATKU

PARTNER MERYTORYCZNY



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



Medycy światowej rangi

W kolejnym, ósmym już odcinku cyklu „Giganci nauki PL” prezentujemy sylwetki kilku najwybitniejszych polskich lekarzy i specjalistów medycyny w historii

— PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI —

W czasie pandemii nie sposób nie wspomnieć o Rudolffie Weiglu – epidemiologu najwyższej światowej rangi, jakim dysponowała Druga Rzeczpospolita. Austriaku z urodzenia, a polskim patriotą z wyboru.

Spośród jego dawniejszych prekursorów obecnych w „Słowniku” postanowiliśmy pokazać XVI-wiecznego Józefa Strusia – lekarza znanego w całej ówczesnej Europie, który poległ, zwalczając epidemię w swym rodzinnym Poznaniu.

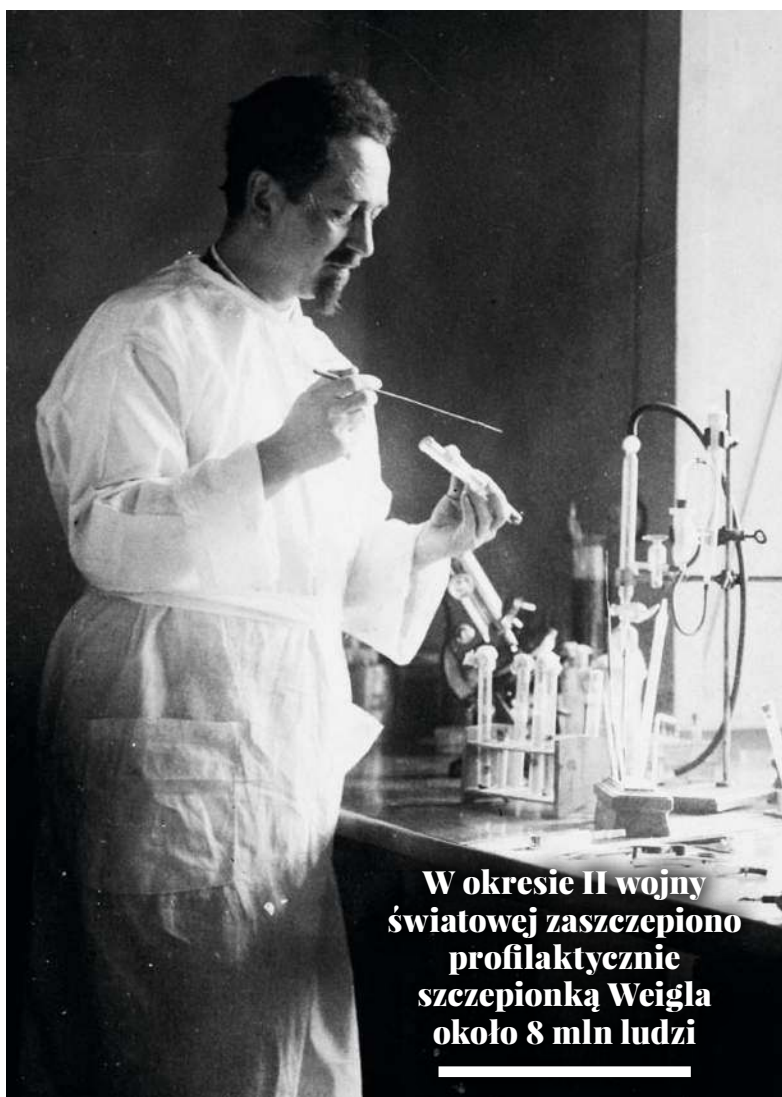
Uzupełnia to życiorys późniejszego, współczesnego nam wybitnego wirusologa Hilarego Koprowskiego, jednego z głównych twórców skutecznej szczepionki przeciw chorobie Heinego-Medina. Rzucony losami wojennymi do Ameryki nie zapomniał o ojczyźnie. Mimo niesprzyjającej sytuacji udało mu się załatwić 9 mln darmowych szczepionek dla polskich dzieci. Dzięki temu ówczesna epidemia polio w Polsce została praktycznie zlikwidowana. Trudno w to dziś uwierzyć, ale wielkie trudności mieli ludzie dobrej woli w PRL z przyjęciem tego daru od „paskudnych imperialistów”.

Dwie pierwsze z tych postaci ukazujemy w oparciu o biogramy pióra Ryszarda Gryglewskiego, trzecią o biogram autorstwa Andrzeja Śródki. Obaj autorzy to wybitni profesorowie historii naszej medycyny.

Rudolf Weigl *(1883–1957)*

Stworzenie pierwszej skutecznej szczepionki przeciw durowi osutkowemu było jego największym osiągnięciem. Już od 1922 r. zgłaszano go do Nagrody Nobla, w 1936 r. był do niej nominowany, ale przesadna skromność Weigla utrudniała lansowanie jego kandydatury

— PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI —



**W okresie II wojny
światowej zaszczepiono
profilaktycznie
szczepionką Weigla
około 8 mln ludzi**

Fot. NAC

Urodził się 2 września 1883 r. w Preszowie na Morawach, w austriackiej rodzinie Fryderyka, właściciela fabryki powozów, i Elżbiety z domu Kroesel. Od wczesnego dzieciństwa wychowywany w polskiej tradycji przez ojczyma, Józefa Trojnara, profesora gimnazjów w Jaśle i w Stryju, do których uczęszczał.

Po uzyskaniu matury w 1903 r. Weigl podjął studia przyrodnicze na Uniwersytecie Lwowskim, które ukończył w 1907 r., uzyskując stopień doktora i objął asystenturę u prof. Józefa Nusbauma-Hilarowicza w Zakładzie Zoologii i Anatomii Porównawczej. W latach 1912–1913 studiował na tejże uczelni medycynę, w 1913 r. uzyskał habilitację i został docentem zoologii, anatomii porównawczej i histologii. Już wówczas zwrócił na siebie uwagę doskonałym opanowaniem technik w badaniach histologicznych i cytologicznych. Miał wtedy okazję współpracować z Benedyktem Dybowskim. Prowadził badania nad budową komórek, w szczególności zaś zajmował się budową aparatu Golgiego, morfologią i funkcją mitochondrium oraz zagadnieniem transplantacji.

Po wybuchu I wojny światowej został powołany do wojska. Jako parazytolog, kierując laboratorium w austriackim obozie jenieckim, podjął badania nad groźną wówczas chorobą zakaźną – dudem plamistym (tyfusem) i roznoszącymi go wszami. Wpadł na oryginalny pomysł wykorzystania zakażonych wszy jako zwierząt laboratoryjnych (stając się współtwórcą riketsjologii), co ułatwiło te badania, które w 1918 r. kontynuował, kierując wojskowym laboratorium bakteriologicznym w Przemyślu, a następnie pod auspicjami Wojskowej Rady Sanitarnej (1919–1920). Sukcesy, jakie odniósł w badaniach nad riketsjami – czynnikiem etiologicznym tyfusu plamistego – spowodowały, że w 1920 r. powołano go na stanowisko profesora biologii ogólnej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Wraz z grupą współpracowników stworzył laboratorium, gdzie rozpoczęto wytwarzanie niewielkich ilości szczepionki

przeciwtyfusowej jego pomysłu. Był to faktycznie początek słynnego później Instytutu Weigla. Pierwszą akcją szczepień ochronnych przeprowadzono we wschodniej Małopolsce wśród Hucułów, gdzie tyfus plamisty stanowił poważne zagrożenie epidemiologiczne. Później szczepieniami objęto inne rejony kraju. Wszędzie ze znakomitymi efektami. W latach 30. szczepionkę Weigla zaczęto stosować w koloniach włoskich, belgijskich i francuskich w Afryce, a także w Australii i Chinach. Wówczas nazwisko Weigla stało się głośne, a do Lwowa

”

Gdy Weigl sam zapadł w trakcie badań na tyfus, wykorzystał to w typowy dla siebie sposób: karmił na sobie wszy i prowadził, mimo wysokiej gorączki, dokładne i żmudne obserwacje

zaczęli przyjeżdżać naukowcy z niemal całego świata, by poznawać tajniki metod badawczych oraz produkcji szczepionki.

Już w latach 20. pierwszy opisał etiologię patogenu duru osutkowego (tyfusu plamistego) *Rickettsia prowazeki*, co było wstępem do prac nad szczepionką. Stworzenie pierwszej skutecznej szczepionki przeciw durowi osutkowemu było największym osiągnięciem Weigla. Ostatecznie wyniki swoich badań nad nią podał w 1931 r. Początkowo materiał wyjściowy do szczepionek stanowiły wszy, które wcześniej zebrano z chorych na tyfus plamisty. Było to niebezpieczne i groziło zarażeniem. Sam Weigl zapadł w ten sposób na tyfus. Wykorzystał to w typowy dla siebie sposób, a mianowicie karmiąc na sobie wszy i prowadząc, mimo wysokiej gorączki, dokładne i żmudne obserwacje. Nasunęło mu to pomysł, by celowo zarażać wszy przez wprowadzenie – za pomocą cieniutkiej kapilary – materiału zakaźnego przez odbyty do ich jelit. Był

to zabieg wymagający zegarmistrzowskiej precyzji, gdyż dorosła wesz ma do 2 mm długości, a nadto podczas zabiegu trzeba ją unieruchomić. Podał mu insekty karmione krwią wolontariuszy. Początkowo zakażano pojedyncze osobniki, co było jednak mało efektywne. Dopiero asystent Weigla Zbigniew Stuchly skonstruował specjalny przyrząd do seryjnego zakażania wszy. Składał się on z wielu sprzężonych z sobą i zagiętych w dół do metalowej podstawy drucików. Pod każdy taki przycisk wkładano jedną wesz. Z tak zakażonych insektów preparowano jelita, by pozyskać materiał na szczepionkę. „Ładowanie tych maszynek” przez wprawnych лаборantów umożliwiło wytwarzanie jej na skalę masową.

Sukces Weigla był powszechnie doceniony. Już od 1922 r. zgłaszało go do Nagrody Nobla, w 1936 r. był do niej nominowany (zgłosiła go Szwedzka Akademia Nauk), ale przesadna skromność Weigla utrudniała lansowanie jego kandydatury. Przyznano mu wszakże wiele prestiżowych odznaczeń, m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1930), belgijski Order Leopolda III klasy (1937), papieski Order Rycerski św. Grzegorza (1938); belgijska Królewska Akademia Nauk przyznała mu też godność członka honorowego. W 1939 r. Weigl pojechał do Abisynii, by pomóc w opanowaniu epidemii duru plamistego, wobec zagrożenia Polski wojną wrócił jednak do kraju. Odmówił natomiast ewakuowania się wraz z armią polską do Rumunii. Władze sowieckie doceniały znaczenie prac Weigla. Obawiając się wybuchu epidemii duru plamistego, wspomagały więc jego działalność po zajęciu Lwowa, przekazując mu do użytku dodatkowy budynek i dając praktycznie nieograniczone możliwości zatrudniania pracowników (pomimo że odrzucił propozycję objęcia placówki naukowej w głębi ZSRR). Podobnymi względami darzyli go Niemcy po opanowaniu Lwowa latem 1941 r., mimo że odmówił wysłannikowi szefa SS Heinricha Himmlera zostania Reichsdeutschem (miał mu powiedzieć: „Człowiek raz na całe życie wybiera sobie narodowość.



Rudolf Weigl był współzałożycielem i prezesem Polskiego Towarzystwa Łuczniczego. Choć sam nigdy nie startował w zawodach, uzyskiwał wyniki zbliżone do rekordów świata

Fot. photo-14w/Inua

Ja już wybrałem”) i objęcia katedry w Berlinie, a w 1942 r. nie zgodził się kandydować do Nagrody Nobla z rekomendacji III Rzeszy. Weigl był jednak dla gestapo „nietykalny”, gdyż zbyt cenny dla prowadzącej na wielu frontach wojnę Rzeszy (zdaniem Niemców tyfus był jedną z przyczyn ich przegranej w 1918 r.). Dzięki temu mógł licznie zatrudniać przedstawicieli polskiej inteligencji jako karmicieli wszy, co chroniło przed wszelkimi represjami, wielu z nich ratując życie (a wśród nich nawet Żydom). Byli wśród nich m.in. matematyk Stefan Banach, pisarz Zbigniew Herbert, aktor Andrzej Szczepkowski, a przez pewien czas także lekarz bakteriolog Ludwig Fleck. Pośmiertnie Weigl otrzymał medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. W okresie II wojny światowej zaszczerpiono profilaktycznie szczepionką Weigla około 8 mln ludzi. Wiele ryzykując, Weigl i jego współpracownicy wytwarzali szczepionkę na potrzeby Polskiego Państwa Podziemnego. Zdołano ją także przemycić za mury lwowskiego i warszawskiego getta. Jednocześnie Weigl wykazał, że odporność po przebyciu tyfusu plamistym nie jest dana na zawsze i może wraz z upływem czasu znacząco maleć, a nawet całkowicie zaniknąć.

Pod koniec wojny Weigl przebywał w Krościenku, w latach 1945–1948 kierował Katedrą Bakteriologii Ogólnej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Następnie, w latach 1948–1957 na uniwersytecie w Poznaniu. Władze komunistyczne były wobec Weigla podejrzliwe. Wysuwano absurdalne oskarżenia o kolaborację z Niemcami, a w 1946 r. wycofano oficjalne poparcie dla jego kandydatury do Nagrody Nobla (po odrzuceniu polskich kandydatur do nagrody literackiej).

Weigl nie został zbyt dobrym organizatorem, gdyż nie znał się na ludziach. Ociężał się z publikowaniem wyników badań. Zdecydowanie natomiast tępił wszelkie przejawy dyskryminacji.

Weigl był zamiłowanym myśliwym, lecz przestał polować pod wrażeniem okrucieństw II wojny światowej. Został pionierem naukowych podstaw wędkarstwa w Polsce. Był też współzałożycielem i prezesem Polskiego Towarzystwa Łuczniczego i chociaż sam nigdy nie startował w zawodach łuczniczych, uzyskiwał wyniki zbliżone do rekordów świata. Lubił majsterkować i fotografować.

Jego imieniem nazwano szpital w Blachowni k. Częstochowy, medyczną szkołę policealną w Jaśle i ulicę we Wrocławiu (tam też w 2005 r. odsłonięto pamiątkową tablicę).

Józef Struś (Strusiek) – urodził się w Poznaniu jako syn Mikołaja, piwowara, i Elżbiety z Bedermanów, córki poznańskiego burmistrza.

Naukę rozpoczął w szkole parafialnej przy kolegiacie Marii Magdaleny, kontynuował w Akademii Lubrańskiego. W latach 1525–1529 odbył studia lekarskie na Akademii Krakowskiej. Z tego okresu pochodzi poemat Strusia dedykowany jego wykładowcy Cyprianowi z Łowicza, noszący tytuł „De medicina artis excellentia carmen elegiacum” (1529), w którym wychwalał medycynę jako najpiękniejszą i najszlachetniejszą z umiejętności. Po uzyskaniu tytułu bakałarza Struś na krótko wrócił do Poznania, aby wysłuchać wykładów wybitnego humanisty Krzysztofa Hegendorfera. Podczas tego pobytu zbliżył się do potężnego wielkopolskiego rodu magnackiego Górków oraz dworu arcybiskupa gnieźnieńskiego Jana Latańskiego.

W 1531 r. Struś uzyskał na krakowskiej uczelni tytuł magistra, a w 1532 r., dzięki wsparciu finansowemu Latańskiego, rozpoczął studia medyczne na uniwersytecie w Padwie. Jeszcze w trakcie ich trwania przystąpił do tłumaczenia i redakcji dzieł Galena i Hipokratesa. W 1535 r. odbył z powodzeniem dysputę doktorską, po której nastąpiła zgodnie ze zwyczajem jego promocja. W tym samym roku nadano mu godność wicerektora uniwersytetu. W zgodzie z zaleceniem Senatu Republiki Weneckiej mianowano Strusia profesorem nadzwyczajnym medycyny teoretycznej na uniwersytecie padewskim. Z tego, co wiadomo, jego wykłady koncentrowały się na problemach, które dziś nazwalibyśmy metodyką diagnostyczną. Rolę szczególnie odgrywała sfigmologia, czyli nauka o tętnie. Interesowały Strusia również choroby epidemiczne, jak dżuma i kiła. W 1535 r. ukazał się łaciński przekład autorstwa Strusia dzieła Galena „Astrologia ad Aphrodisium”.

Wykłady w Padwie prowadził Struś do 1537 r., kiedy na prośbę jednego ze swoich dobroczyńców i mecenasów – Jana Chojeńskiego, biskupa krakowskiego i kanclerza Akademii Krakow-

Józef Struś

(1510–1568 lub 1569)

Najsławniejszy z lekarzy Polski przedrozbiorowej. Uznany w całej Europie badacz i medyk, twórca podstaw nowoczesnej nauki o tętnie. Tłumacz dzieł Hipokratesa i Galena. Lekarz dworu królewskiego, biskupów i magnatów. Umarł w walce z epidemią dżumy

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Łukasza Górkę. W tym czasie zakupił w mieście kilka nieruchomości, co uczyniło go jednym z najbogatszych patrycjuszów. Równocześnie nadal był lekarzem Górki, towarzyszył mu również podczas podróży zagranicznych, aż do jego śmierci w 1551 r. Przez te wszystkie lata ciągle pracował nad najważniejszym dziełem swego życia. Wreszcie w 1555 r. w Bazylei ukazało się dzieło „Sphygmicae artis iam mille ducentos perditae et desideratae libri V.”, w którym Struś wyróżnił podstawowe pięć typów tętna, określając ich znaczenie diagnostyczne, oraz zaznaczył wpływ temperatury i stanu nerwowego na tętno. Sporządził również graficzny obraz tętna i jego zmienności oraz trafnie wskazał na istnienie nerwów naczyniowo-ruchowych. Był to de facto początek nowoczesnej sfigmologii w Europie. W 70 lat później z dzieła Strusia skorzystał William Harvey, odkrywca dużego układu krążenia krwi. W 1556 r. Struś znalazł się ponownie na dworze Izabeli Jagiellonki w Budzie. Stamtąd został wezwany do Stambułu. Zachowały się świadectwa, że miał tam leczyć samego sułtana Sulejmana I Wspaniałego, który podziwiał jego kunszt i wiedzę.

Ze Stambułu powrócił do ojczyzny i osiadł w rodzinnym Poznaniu. Sława, jaką zdobył, sprawiła, że dwukrotnie w latach 1557–1559 wybierano go na burmistrza Poznania. W 1559 r. został nadwornym lekarzem króla Zygmunta Augusta. Określany był wówczas jako najsławniejszy lekarz w Europie. Ponoć sam król hiszpański Filip II przez posłańców miał kilkakrotnie zwracać się do Strusia o poradę lekarską. Ostatnie lata życia Struś spędził prawdopodobnie w rodzinnym mieście, w którym przyszło mu się wielokrotnie procesować w sprawach majątkowych i finansowych. W opinii niechętnych mu był skąpcem. Lecz gdy w 1568 r. na Poznań ponownie spadła zaraza dżumy, pospieszył nieść swoją posługę lekarską. Zmarł, zaraziwszy się od pacjentów tą nieuleczalną wówczas chorobą, między 27 lipca 1568 r. a 26 stycznia 1569 r.

Jego imieniem nazwano ulice w Warszawie i Poznaniu, osiedle w Krakowie oraz Szpital Miejski w Poznaniu.

Józef Struś na dworze Sulejmana I Wspaniałego, gdzie miał leczyć samego sułtana



skiej – wrócił do Krakowa, gdzie podjął wykłady i pracował nad redakcją dzieł Galena. Wiosną 1538 r. wskutek śmierci Chojeńskiego stracił możnego protektora i dlatego katedry medycyny w krakowskiej uczelni, na co bardzo liczył, nie otrzymał. Przeniósł się do Poznania, gdzie został lekarzem wojewody poznańskiego Andrzeja Górki. Niebawem jednak, polecony przez Górkę Zygmunтови Staremu, udał się z królową Izabelą Jagiellonką, narzeczoną Jana Zápolyi, jako jej osobisty lekarz na dwór węgierski. Na Węgrzech

prowadził rozległą praktykę lekarską, tłumaczył dalsze dzieła Galena, m.in. jego komentarze do dzieł Hipokratesa o złamaniach, które wydał w Wenecji, oraz prowadził przerwane chwilowo badania nad tętnem. Równocześnie brał udział w życiu dworskim i wydarzeniach politycznych. Był sekretarzem podczas rokowań z Sulejmanem I. Wreszcie razem z Andrzejem Górką powrócił do ojczyzny.

W 1541 r. znalazł się w Poznaniu, gdzie zwalczał dżumę, a potem leczył ciężko chorego biskupa kujawskiego

Hilary Koprowski

(1916–2013)

Stworzył w USA szczepionkę przeciw polio, chorobie okrutnej i nieuleczalnej aż do jego wynalazku, na podstawie metody otrzymywania żywego, a przy tym osłabionego wirusa.

Autor 850 prac naukowych

PROF. BOLESŁAW ORŁOWSKI

Urodził się 5 grudnia 1916 r. w Warszawie. Był synem Pawła, przedsiębiorcy związanego z Anglią, z rodziny o żydowskich korzeniach, i Soni z Berlandów, dentystki.

Po ukończeniu w Warszawie Gimnazjum im. M. Reja (1926–1934), gdzie kolegiował się blisko m.in. z Kazimierzem Brandysem i Witoldem Kułą, studiował medycynę na Uniwersytecie Warszawskim i jednocześnie grę na fortepianie w miejscowym konserwatorium. W końcu 1939 r. wyjechał z rodziną z okupowanej Warszawy do Rzymu, gdzie kontynuował studia muzyczne w Accademia Nazionale di Santa Cecilia (u Carla Zecchiego). W czerwcu 1940 r. przez Lizbonę udał się do Brazylii i próbował dawać tam koncerty oraz udzielał lekcji gry na fortepianie. W maju 1941 r. zaczął pracować w laboratorium wirusologicznym Fundacji Rockefellera w Rio de Janeiro, gdzie m.in. zapoznał się ze szczepionką przeciw żółtej febrze pomysłu Maxa Theilera (co, zdaniem Koprowskiego, zainspirowało go do późniejszych, kluczowych w jego karierze badań). Jesienią 1944 r. przeniósł się do USA; tam od stycznia 1945 r. pracował w firmie farmaceutycznej Lederle w Pearl River k. Nowego Jorku. W 1946 r. rozpoczął w niej doświadczenia nad wirusem polio wywołującym paraliż dziecięcy, czyli chorobę Heinego-Medina (poliomyelitis – zapalenie wirusowe rogów przednich rdzenia kręgowego). W 1948 r., wzięwszy wzór z Theilera, Koprowski – przy współpracy G.A. Jervisa i T. Nortona – stworzył szczepionkę przeciw tej chorobie na podstawie metody otrzymywania żywego, a przy tym osłabionego wirusa. Znalazł naturalnego gospodarza do jego namnażania – szczura bawełnianego, który w warunkach naturalnych nie ulegał zakażeniu, wirus w jego organizmie ulegał zaś znacznemu osłabieniu i nie tracił – co istotne – właściwości immunogennych. Metoda polegała na pobieraniu od tak zainfekowanych szczurów wycinków mózgu i wstrzykiwaniu ich treści kolejnemu szczurowi. 27 lutego 1950 r. podało doustną szczepionkę Koprowskiego po raz pierwszy

dziecku, w styczniu 1952 r. Koprowski opublikował naukową informację na jej temat, co w kwietniu tego roku zostało nagłośnione przez „New York Herald Tribune”. W 1957 r. Koprowski przyjął propozycję objęcia profesury i dyrekcji Wistar Institute zajmującego się neurologią, anatomią porównawczą i embriologią w ramach Pennsylvania State University w Filadelfii. Uczynił z tej instytucji jedną z najbardziej liczących się na świecie placówek naukowych. W 1958 r. jego szczepionką przeciw polio zaszczepiono 250 tys. dzieci w Rwandzie i w Kongu Belgijskim. Ponieważ w tym czasie epidemia polio objęła również Polskę, Koprowski spowodował nieodpłatne przekazanie jej przez amerykańską firmę farmaceutyczną Wyeth w liczbie 9 mln dawek, których użyto, dzięki przychylności dyrektora Państwowego Zakładu Higieny prof. Feliksa Przesmyckiego (nie bez trudności, był to czas „zimnej wojny”), w okresie od października 1959 r. do maja 1960 r. Dzięki tej akcji liczba zachorowań na polio w Polsce spadła z 6090 przypadków w 1958 r. do... siedmiu w 1963 r. W tym czasie odmienną szczepionkę – z wirusem inaktywowanym chemicznie, podawaną w iniekcjach – opracował prof. Jonas Salk z Pittsburgh University. W przeciwieństwie do szczepionki Koprowskiego, która wywoływała odpowiedź zarówno ogólnoustrojową, jak i miejscową, szczepionka Salka dawała tylko odpowiedź ogólnoustrojową. Nigdy nie stwierdzono poważnych reakcji ubocznych w przypadku tej pierwszej, po stosowaniu szczepionki Salka dochodziło jednak do ciężkich powikłań u części dzieci w różnych stanach USA. Jej pierwsze zastosowanie miało miejsce 26 kwietnia 1954 r.

Konkurencyjną dla szczepionki Koprowskiego była natomiast szczepionka prof. Albert Sabina (University of Cincinnati), pochodzącego z białostockiej rodziny żydowskiej. Jego szczepionka wywodziła się również z żywego atenuowanego wirusa, wywoływała odpowiedź zarówno ogólnoustrojową, jak i miejscową, podawana była doustnie, jednak w jej przypadku istniała możliwość rewersji



Hilary Koprowski od 1944 r. przebywał w USA, gdzie prowadził przez kilka dekad intensywne prace badawcze

do formy o pełnej wirulencji w czasie replikacji. Pierwsze jej podanie nastąpiło 24 kwietnia 1960 r., a więc nie może być mowy o pierwszeństwie Sabina na polu szczepień przeciwko polio, co lansują lekarze amerykańscy. Ma on natomiast wielkie zasługi w zakresie badań nad gorączką pappataci, dengą i wirusem opryszczki typu B.

W sierpniu 1960 r. amerykańska Fundacja do Walki z Paraliżem Dziecięcym zdecydowała, aby licencję na produkcję przyznać szczepionce Sabina. Wielu badaczy uznało, że werdykt ten podyktowany był względami politycznymi, a nie naukowymi. Wedle Koprowskiego: „Joseph Smadel, jeden z członków komisji, powiedział mojemu przyjacielowi, że komisja dobrze wiedziała, iż osłabione szczepy otrzymane przez wszystkich badaczy są prawie jednakowe. Ponieważ jednak Sabin był swój, a postanowiono wybrać tylko jedną szczepionkę, zarekomendowano jego szczepę”.

Wiele lat później dopuszczono się wobec Koprowskiego bezprecedensowego ataku. W 1992 r. na łamach magazynu „Rolling Stone” oraz tygodników „Nature” i „Science” pojawiło się całkowicie absurdalne oskarżenie, według którego przyczyną rozpowszechnienia się AIDS w Afry-

ce, a następnie na całym świecie, była wynaleziona przez Koprowskiego szczepionka przeciwko chorobie Heinego-Medina. We francuskim filmie dokumentalnym „Czy świat oszalał? Skąd wzięło się AIDS”, powtórzono tamto oskarżenie. Te absurdalne zarzuty zostały obalone przez naukowców.

Jako kierownik Wistar Institute, a od 1992 r. Biotechnology and Advanced Molecular Medicine Institute oraz Neurovirology Centre przy Thomas Jefferson University w Filadelfii, Koprowski prowadził także inne ważne badania. Wspólnie z H. Johnsonem i T. Wiktorem umożliwili stosowanie immunoglobulin przeciw wirusowi wścieklizny jako podstawowego postępowania leczniczego wobec ludzi pogryzionych przez zakażone zwierzęta. Od 1977 r. wraz z C. Crocem pracował nad wytworzeniem przeciw-

”

Koprowski spowodował nieodpłatne przekazanie do Polski przez amerykańską firmę Wyeth 9 mln dawek szczepionki na polio, których użyto w latach 1959–1960. W rezultacie liczba zachorowań na polio spadła z 6090 przypadków w 1958 r. do... siedmiu w 1963 r.

ciał monoklonalnych służących do wykrywania antygenów nowotworowych w krwi ludzi i uzyskał je jako pierwszy w dziejach, co zaowocowało m.in. produkcją w Niemczech lekarstwa do zwalczania raka jelita grubego (w USA urzędowe procedury okazały się zbyt trudne do pokonania). Wspólnie z Davidem Kritchevskym Koprowski badał znaczenie metabolizmu cholesterolu w procesie starzenia się. Prowadził też badania nad przewlekłymi chorobami neurologicznymi, m.in. nad stwardnieniem rozsianym. Opublikował ponad 850 prac naukowych. Założył Fundację im. Koprowskich mającą na celu przede wszystkim wspieranie rozwoju nauki w Polsce oraz współpracy naukowej polsko-amerykańskiej. Był również autorem utworów muzycznych na fortepian. Uprawiał dramatopisarstwo, poezję i malarstwo. Kolekcjonował dzieła sztuki.

Był członkiem zagranicznym PAN (1991), doktorem honoris causa akademii medycznych w Poznaniu (1998) i Warszawie (2000) oraz warszawskiej SGGW (2008), honorowym obywatelem Warszawy (2007) i Celestynowa, miejscowości, gdzie jego rodzice mieli posiadłość, do której często przyjeżdżał.

Był wielokrotnie odznaczany, m.in. Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą (1998) i Krzyżem Wielkim (2007) Orderu Odrodzenia Polski. W 2010 r. został laureatem pierwszej edycji konkursu „Wybitny Polak”, organizowanego przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”. Jest patronem Gdańskiego Parku Naukowo-Technologicznego, a także kawalerem Orderu Uśmiechu.

Giganci nauki PL

polscy wynalazcy, odkrywcy i pionierzy nauk ścisłych

Kolejny odcinek ukaże się 8 listopada



w tygodniku **SIECI**

JERZY RUDLICKI – wybitny inżynier i konstruktor lotniczy, wprowadził innowacje w budowie samolotu wzorowane na skrzydłach motyla

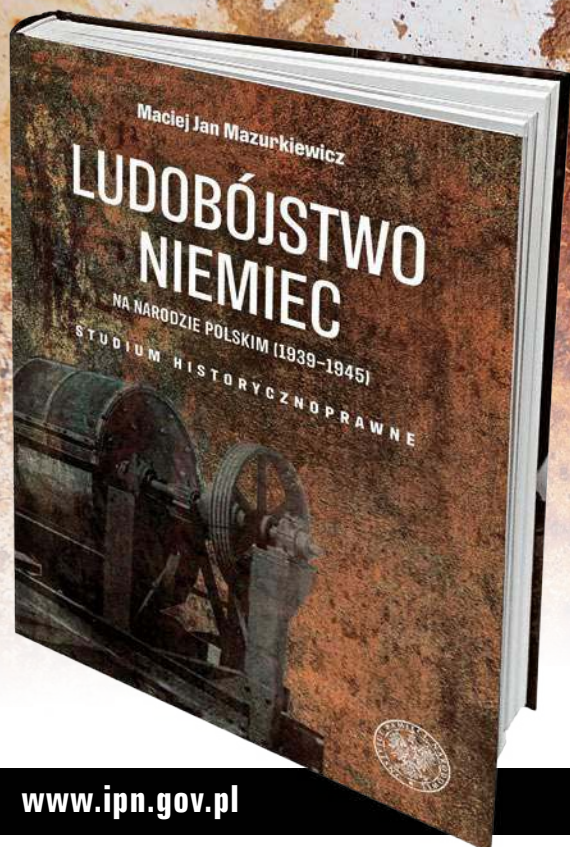
Więcej o bohaterach tego i następnych dodatków z serii „Giganci nauki PL” w serwisie YouTube na kanale: **IPNtv**



PARTNERZY
MERYTORYCZNI



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



IPN

Nowa publikacja



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

www.ipn.gov.pl

ipn.poczytaj.pl

K

ULTURY

To, że najnowsze „Wesele” Wojciecha Smarzowskiego wbija w fotel, długo ściskając za gardło, jest także zasługą Mateusza Więclarkwa. I roli, którą zagrał rewelacyjnie, w poruszającym i świetnie obsadzonym filmie

Krećci mnie film



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W obecnym „Weselu” – trafiającym do widza 17 lat po pierwszym – widać na ekranie nie tylko nieporównywalnie większy rozmach (ten realizacyjny jest zasługą rekordowego budżetu, 32 mln zł). W nowej produkcji Smarzowski kopie mocno i głęboko, pali żywym ogniem. Zdaje się przy tym nie stać po niczyjej stronie. Nie dzieli świata na jednoznacznie winnych i skrzywdzonych. Pokazuje splecione losy i racje (często tak skrajnie różne, oczyszczane z upływem lat przez uczestników dramatu, niezależnie po której stronie byli). Biję w oczy konsekwencjami jednostkowych i grupowych wyborów. Rozlicza wszystkich i każdego z osobna, boleśnie pokazując, że ofiara może być jednocześnie katem. Może się nim stać.

LOS WILKA

Kluczową postacią w filmie jest senior rodu, Antoni Wilk. To jego losy i wspomnienia spinają przeszłość z teraźniejszością. Młodego bohatera – poprowadzonego przez scenarzystę i zarazem reżysera od wczesnych lat po dorosłość okupioną wstrząsającymi doświadczeniami – gra Mateusz Więclawek. Na każdym etapie budowania roli – począwszy od młodzieńczej swady połączonej z uczuciową nieporadnością, po coraz większy, w ludzkim wymiarze, ciężar wojennej i okupacyjnej traumy – jest przekonujący i zarazem hipnotyzujący. Potrafi grać gestem, ruchem, spojrzeniem. Plastyczny i wiarygodny, przechodzi z bohaterem przez piekło, które zgotował Antoniemu Wilkowi los.

Rola w „Weselu” 2021 to dla Więclawki (rocznik 1993) – absolwenta wydziału aktorskiego łódzkiej Filmówki sprzed trzech lat – potwierdzenie zawodowej sprawności, ale też iskry, która pozwala mu tworzyć postaci



prawdziwe. Czasem przejmujące, często intrygujące, za każdym razem pociągające za sobą widza.

NAJPIERW OBIETNICA

Na duży ekran wprowadziła go Anna Kazejak, dając do zbudowania – w duecie z również odkrytą w tym filmie Elizą Rycembel – rolę manipulowanego przez dziewczynę nastolatka. „Obietnica” trafiła do kin w 2014 r. W tym samym czasie w „Kamieniach na szaniec” Roberta Glińskiego Więclawek pojawił się w pamiętnej scenie – jako ekranowy żandarm zabijał „Zośkę” (w tej roli Marcin Sabat).

Reżyser również musiał być pod wrażeniem wspomnianego kadru, bo wrócił do aktora przy kolejnych filmach. Więclawek miał już na koncie udział m.in. w takich produkcjach, jak „Czerwony pająk” (2015) Marcina Koszałki, „Prosta historia o morderstwie” (2016) Arkadiusza Jakubika, a przede wszystkim w serialu „Belfer” (2016), który dał mu rozpoznawalność i wsparcie widzów, gdy zagrał główną rolę w filmie Roberta Glińskiego „Czuwaj” (2017).

To był też rok, w którym aktor trafił na plan spektakularnego debiutu Piotra Domalewskiego „Cicha noc”. Podczas realizacji wieloodcinkowej „Pułapki” (2018) w reż. Łukasza Palkowskiego i Adriana Panka spotkał m.in. Agatę Kuleszę. Potem zagrał epizody m.in. w filmie „Kler” (2018) Smarzowskiego (starszy posterunkowy Borek) i „Kurier” (2019) Władysława Pasikowskiego (partyzant Stolarski) oraz w międzynarodowym serialu „Świat w ogniu” (2019), by w roku 2020 trafić znów do ekipy Roberta Glińskiego. Tym razem otrzymał tytułową rolę, księdza Jana Zieja, ale w młodości. W dojrzałego bohatera wcielił się Andrzej Seweryn.

TERAZ SPEŁNIENIE

Mateusz Więclawek urodził się w Radomsku, dzieciństwo spędził w Kamieńsku (woj. łódzkie). W liceum wybrał profil matematyczny, ostatecznie jednak zdecydował się na aktorstwo. Wybór drogi tak tłumaczył w jednym z pierwszych wywiadów: „Zawsze kręcił mnie film, dużo filmów oglądałem [...]. Pomyślałem, że jeśli nie wydział aktorski, [...] to może scenariopisarstwo, reżyserka, byleby był film”.

Od 2013 r., kiedy zadebiutował przed kamerą w serialu „Głęboka woda. Sezon 2”, konsekwentnie realizuje swoje marzenie; pracuje, rozwija się, osiąga coraz ciekawsze i bardziej spektakularne efekty.

Pandemia nie przeszkodziła mu w przejściu do kolejnego zawodowego etapu. Dołączył do grona polskich aktorów, którzy dzięki platformie Netflix mogą docierać do międzynarodowego widza. Ostatnio dostał propozycję udziału w kontynuacji polskiego horroru „W lesie dziś nie zaśnie nikt 2” (2021, reż. Bartosz M. Kowalski). Otrzymał tu główną rolę męską, stając obok jedynej ocalałej z poprzedniej odsłony bohaterki, granej przez Julię Wieniawę. Rok wcześniej pojawił się w innej produkcji Netflixu „Wszyscy moi przyjaciele nie żyją”.

W przerwach między pandemicznym zastojem można go też było oglądać na scenie – w przedstawieniu Teatru Jarczaka w Łodzi „Dzieci widzą duchy” w reż. Mariusza Grzegorzka. Najnowszy sezon rozpoczął w TR Warszawa. W spektaklu „2020: Burza” w reż. Grzegorza Jarzyny występuje m.in. obok Jacka Belera, nagrodzonego w tym roku na festiwalu w Gdyni za pierwszoplanową rolę męską w filmie „Inni ludzie”.

Pisarz korzennych karawan

Realistycznej prozie Abdulrazaka Gurnaha określenie „postkolonialna” z pewnością uutorowało drogę do literackiego Nobla, ale przyznać jej trzeba, że opisuje świat znany zwykle tylko z folderów biur podróży

W bezprecedensowej jak na Literacką Nagrodę Nobla sytuacji, jaką jest brak nie tylko jakichkolwiek polskich przekładów prozy Abdulrazaka Gurnaha, lecz również specjalistów od literatury tanzanijskiej, wszelkie dostępne w encyklopediach informacje są przetwarzane po wielokroć. W chwili więc, gdy czytelnicy „Sieci” sięgają po to wydanie, przeczytali już wielokrotnie (jeśli byli ciekawi osoby i dzieła noblisty) o tym, że Gurnah urodził się w 1948 r. na wyspie Zanzibar, stanowiącej jeszcze wówczas część Imperium Brytyjskiego, do Wielkiej Brytanii trafił jako 20-latek, po burzliwych przejściach, jakie spotkały go podczas rewolucji 1964 r., która doprowadziła do obalenia sułtanatu i zjednoczenia wyspy z Tanganiką. Niemal całe życie przepracował jako badacz i wykładowca na Kent University.

W okrucinach, jakie hojnie zgarnia raz zarzucona sieć Google’a, można by wyszukać jeszcze kilka faktów: tematy jego zajęć, imiona bliskich, reakcję na przyznanie nagrody („był w kuchni” – wyznał Mats Malm, sekretarz Akademii Szwedzkiej). Czy nie ciekawsze jest jednak, co może wniesić jego proza, dlaczego przyznany jej został ten nadal najbardziej znany w świecie literacki laur?

Jego powieści, od debiutanckiej „Pamięci odjazdu” („Memory of Departure”, 1987), poprzez najbardziej znany „Raj” („Paradise”, 1994), aż po ostatnie tytuły: „Żwirowe serce” („Gravel Heart”, 2017) i „Pożywoty”, względnie „Pokłosie” („Afterlives”, 2020), odwołują się nieodmiennie do „większej ojczyzny” Gurnaha: Afryki Wschodniej, znacznie bardziej położonej na styku szlaków, kultur i religii niż Afryka „Czarna” czy saharyjska: to obszar w kręgu promieniowania islamu, krajów arabskich, ale i Persji/Iranu, Oceanu, Indii. Świat widziany z tej perspektywy (tym bardziej w początkach XX w., gdzie zaczyna się kilka powieści noblisty) jest (to niby oczywiste, ale tylko dopóki nie rozpoczniemy lektury) uderzająco odmienny nie tylko na poziomie obyczajów, lecz i samej „różnicy wiatrów”. Gdzieś na północy istnieją podobno



morza, które krzepną, gdzieś bliżej jest ognisty, ziemski Raj, zapowiadany przez Koran, po gliniastych miasteczkach zaś coraz częściej krążą postaci władcze i niepojęte, czasem litościwe, częściej okrutne: „Europejczycy”. Tak przynajmniej dzieje się na kartach „Raju”, jedynej powieści, której dłuższy fragment udało mi się kiedyś poznać i która robi wrażenie: poetycką wyobraźnią głównego bohatera, nastoletniego Jusufa, i wizją serca Afryki, dokąd wędruje kupiecka karawana. To obraz nieznanego nam prawie świata – ale i dyskretna gra z „Jądrem ciemności” Conrada i z powieściami Karen Blixen: niemal te same krajobrazy, niemal ten sam czas, ale najzupełniej inne hierarchie, postawy, lęki. Tych gier, ukazujących Afrykę Wschodnią jako negatyw, ale i naśladownictwo Europy, jest zresztą więcej: 17-letni Jusuf zostaje przymusem wciągnięty do armii kolonialnej, tworzonej przez obecnych tam Niemców w tym samym miesiącu, w którym haftki munduru dopnie, po latach w sanatorium, inżynier Hans Castorp.

Kolonializm? No tak, to słowo musiało paść, pojawia się w werdykcie Akademii („W każdej z dziesięciu powieści konsekwentnie i z wielką empatią analizuje skutki kolonializmu w Afryce Wschodniej”) i w pierwszych komentarzach internautów, sarkających na „kolejnego

politycznego Nobla”. Czy bezpodstawnie? Nie, pewnie nie. Fakt elementarny i brzemienny w skutki – fakt, że doświadczenie eksploatacji kolonialnej nie jest czymś, co „po prostu mija”, że uwarunkowało ono na wiele lat gospodarkę, życie społeczne, języki i mentalność krajów rządzonych ongiś przez Brytyjczyków czy Francuzów – został zarazem zbanalizowany i tysiącrotnie rozmnożony badawczo za sprawą nieczystego sumienia Zachodu i jego gorącego pragnienia, by wspomóc dzieło „emancypacji”. Bardzo możliwe, że Akademia kierowała się tymi emocjami, szukając autora „postkolonialnego”: opisującego kraje opanowane, a potem opuszczone przez Europejczyków i doświadczenia ich rdzennych mieszkańców – kiedyś poddanych, dziś (jak Gurnah) imigrantów. Czy jednak w tak ograniczonym polu dokonała najlepszego wyboru?

To rzecz sporna. Przejrzałem trochę recenzji powieści Gurnaha z lat 90. i późniejszych. Brytyjczy krytycy doceniali obecną w nich siłę wyobraźni, plastyczność obrazu, często jednak traktowali tę prozę jako solidną, realistyczną, pisaną nieco na wzór europejskich powieści obyczajowych czy „panoramicznych” sprzed ponad pół wieku, z lekkim dodatkiem islamskiej egzotyki. Poprawną, potrzebną jako świadectwo, lecz niezapierającą tchu. „Jest naprawdę utalentowanym pisarzem. Jestem przekonany, że z czasem może stać się pisarzem wielkim” – pisał Peter Tinniswood z „The London Times” w lecie 1995 r.: więcej w tej opinii proroctwa czy lekko tylko zawołanego sarkazmu?

Za kilka miesięcy, może prędkiej, przekonamy się o tym, czytając polskie tłumaczenia Gurnaha. Czy jednak nie jest tak, że Polaków znacznie bardziej będzie zajmować „literatura postkolonialna” kazachska czy kirgijska – świadectwo wyzwalań się (i śladów, i blizn, i zależności) z więzów znacznie bliższego nam i znacznie okrutniejszego imperium?

Wojciech Stanisławski

Nadchodzi czas bohaterów

Z Marią Stachurską, reżyserem filmu „Położna”, który został nagrodzony Złotym Opornikiem, nagrodą główną XIII Festiwalu Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci w Gdyni, rozmawia Marcin Wikło

Co pani sobie pomyślała, gdy prof. Andrzej Jurga, odczytując werdykt, stwierdził, że Złoty Opornik, czyli główna nagroda XIII Festiwalu NNW, został przyznany pani filmowi „Położna”?

Maria Stachurska: Podczas gali finałowej usadzono mnie blisko sceny, więc spodziewałam się jakiegoś wyróżnienia. Ale nagroda główna... to mnie zaskoczyło, naprawdę. A chwilę później pomyślałam sobie, że chyba przyszedł czas Leszczyńskiej i chyba szykują się jakieś zmiany.

Myśli pani o zmianach w opowiadaniu historii, rozłożeniu akcentów? Opowiadania o bohaterach do dziś przemilczanych?

Mam taką nadzieję. Z tym filmem do tej pory było sporo problemów. I nagle kolejne drzwi zaczynają się przed nami otwierać. I jeszcze ta nagroda główna... Tak, idzie zmiana, jeśli ludzie doceniają takie opowieści.

„Położna” to film o Stanisławie Leszczyńskiej, położnej, która w Auschwitz odebrała 3 tys. porodów. Bohaterka była pani cioteczną babką, a więc to rodzinna historia. Kiedy zapadła decyzja, że trzeba zrobić o tym film?

To nie było takie proste. Gdy żyli jeszcze moi wujkowie, zapraszano ich na spotkania, proszono, by opowiadali o Stanisławie Leszczyńskiej. To byli starsi, cudowni ludzie, ludzie renesansu. Byli otwarci, przyjmowali więc te zaproszenia i przekazywali tę opowieść. W pewnym momencie, kompletnie nie rozumiejąc dlaczego, poszedł na nich atak, że chcą wypromować matkę. W latach 80. przeczytałam coś takiego w jednej z gazet. Bardzo krzywdzące. I doprowadziło do tego, że moje pokolenie w rodzinie całkowicie się od tej historii odsunęło.



Fot. Festiwal NNW



Maria Stachurska
napisała również książkę biograficzną
o swojej ciotecznej babci
Stanisławie Leszczyńskiej



mi, że chce zrobić wystawę o pewnej wspaniałej kobiecie z Auschwitz. Gdy dowiedziałam się, że chodzi o Leszczyńską, zdradziłam jej, że to moja cioteczna babcia. Zadeklarowałam, że przekażę materiały, potem sprawdzę, czy nie ma błędów, ale sama nie chciałam się w to angażować. W stolicy ta ekspozycja była pokazywana dosyć długo, a potem trafiła do Rzymu, gdzie pokazano ją na Kongresie Obrońców Życia. Przypadek sprawił, że to ja polecałam wtedy do Włoch i tam dostałam propozycję zrobienia filmu.

I zaczęło się gromadzenie materiałów?

Długo nie mogłam się zdecydować. Ale zaczęłam odszukiwać świadectwa i szukałam narodzonych. To był czas, gdy moi wujkowie umierali i wszelkie zapiski i dokumenty trafiały do mnie. Kuzyni powiedzieli: weź to, może to będzie ważne, my nie wiemy, co z tym zrobić. W 2017 r. odszedł też ostatni z moich wujów, prof. Stanisław Leszczyński, który wcześniej sporo mi o rodzinie opowiadał. Wtedy stwierdził, że mam już wszystkie materiały i może nadeszła pora, by to w końcu zrobić.

Nie mieliście poczucia, że należałoby jednak walczyć o prawdę? Przecież mieliście rację.

Ale to nie o rację chodziło. Doszliśmy do wniosku, że jeżeli rzeczywiście jest bohaterką, to będzie przywołana bez naszego udziału. Jeżeli ma być świętą, to tym bardziej też tak będzie.

Kiedy w pani życiu ten temat powrócił?

Jedna z koleżanek na spotkaniu naszej wspólnoty przy kościele Najświętszego Zbawiciela w Warszawie powiedziała

To był ten moment?

Minęła jeszcze chwila. Jeździłam czasem na zdjęcia, kogoś nagrałam, potem znowu zastój. Dużo rozmawiałam z Jackiem Bławutem i on w końcu stwierdził, że dosyć takiej domowej roboty. „Złóż wniosek o dofinansowanie do PISF i działaj!”. Miał rację. Scenariusz został jednogłośnie przyjęty i ruszyła produkcja. Gdy ją kończyliśmy, pojawiła się propozycja napisania biografii Stanisławy Leszczyńskiej. Podjęłam się tego, bo poczułam, że ten temat dla mnie nie jest jeszcze skończony. Myślę też, że skorzystają na tym ci, którzy będą chcieli sprawę położnej z Auschwitz podjąć w przyszłości.

Stanisława Leszczyńska przyjechała na świat i ratowała dzieci w nieludzkich warunkach. W tym samym obozie swoje eksperymenty paramedyczne przeprowadzał Josef Mengele. Jak to możliwe, że o tym zbrodniarzu świat wie całkiem sporo, a o skromnej położnej niewiele?

Publiczność lubi film, w którym jest napięcie, agresja, przemoc. Nie jestem w stanie czegoś takiego przyswajać i myślę, że jest nas więcej. Ludzie są zmęczeni tym wszystkim, co się dzieje, wręcz przestraszeni, potrzebują jakiegoś oddechu i mądrych opowieści. Zło lepiej się sprzedaje, handlowo jest bardziej nośne, jest głośnie. Bohaterstwo bywa czasem ciche, zbyt ciche. Ale może to jest właśnie ten czas, gdy przestaniemy mówić o zbrodniarzach, a zaczniemy o ofiarach i ich wybawicielach.

Czuje pani „zapotrzebowanie” na bohaterów?

Jest ogromne zainteresowanie Stanisławą Leszczyńską, jestem zapraszana na pokazy filmu w całej Polsce. Widownia zazwyczaj jest pełna, co więcej, często są robione dodatkowe pokazy. I interesują się tym tematem młodzi ludzie, naprawdę. To jest wspaniałe i budujące, bo przecież mamy do czynienia z filmem dokumentalnym, a więc formą, która nigdy w kinach nie cieszyła się taką popularnością jak fabuły. Dlatego mówię o czasie Leszczyńskiej i zmianie w świadomości widzów, bardzo dobrej zmianie.

Pani opowieść o położnej z Auschwitz jest o ludzkiej godności, ale dotyka momentu bardzo delikatnego i intymnego, porodu. Czy widzi pani, że kobiety, a szczególnie matki, patrzą na ten film inaczej niż mężczyźni, że wywołuje on u nich inne emocje?

Gdy rozmawiamy przy okazji projekcji filmu, to mężczyźni najczęściej poruszają bieżący i głośniejszy temat aborcji. Natomiast kobiety bardziej odnoszą się do samej kobiecości, do momentu porodu, do wrażliwości matki, której można odebrać dziecko. Od momentu, gdy Mengele znalazł się w obozie, tzw. aryjskie dzieci nie musiały już być mordowane podczas porodu, bo potrzebne były do eksperymentów albo kierowane do wynarodowienia. Dlatego mogły się rodzić. Oprócz głodu i zimna to właśnie jego działanie powodowało, że te maluchy później umierały. A wszystkie mogły żyć. Leszczyńska, mimo kategorycznego zakazu, wiązała pępowiny każdemu dziecku, romskiemu czy żydowskiemu także. I gdy matka innej narodowości dziecko traciła albo było jej ono odbierane, to ona te maleństwa dawała im do wykarmienia. Wspólnie udawały, że to dziecko „nieżydowskie”.

Festiwal NNW to miejsce łączące pokolenia i ocalające pamięć o bohaterach. Właśnie o takich osobach jak Stanisława Leszczyńska. Jak się pani czuła w Gdyni?

Kocham historię, a szczególnie historię Polski. Nawet w przeszłości, gdy o wielu sprawach nie można było mówić otwarcie, miałam plany robienia w domu „wieczorów polskich”. W naszym domu rodzinnym przekazywano nam historię, tę prawdziwą historię Polski, wtedy tak niewygodną. Była kiedyś sytuacja, gdy wyleciałam ze szkoły, bo zapomniałam, że nie można o tym mówić, i na lekcji w liceum wyrwałam się z jakimś zakazanym tematem. Festiwal NNW, zderzenie się z historią i spotkanie wspaniałych ludzi, którzy są żywymi pomnikami, jest więc dla mnie niejako powrotem do dzieciństwa. Dziś się oczywiście możemy mówić o tym swobodnie, ale niezmiennie mnie to pociąga i fascynuje.

Nagrody Festiwalu NNW

Nagroda za całokształt twórczości – Platynowy Opornik:

Ewa Dałkowska

Konkurs Polskich Filmów Dokumentalnych – Złoty Opornik:
„Polożna”, reż. Maria Stachurska

Międzynarodowy Konkurs Filmów Fabularnych – nagroda główna:

„Aida. Quo vadis, Aida?”, reż. Jasmila Žbanić/ Austria, Francja, Holandia, Niemcy, Norwegia, Polska, Turcja, Rumunia, Afganistan, Bośnia, Hercegowina

Międzynarodowy Konkurs Filmów Dokumentalnych – nagroda im. Witolda Pileckiego:

„Dawno temu w Wenezueli”, reż. Anabel Rodriguez/ Wenezuela

Konkurs radiowy – nagroda główna:

„Prawda za podwójnym murem” Jakub Tarka/ Studio Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia

Konkurs wideoklipów – nagroda główna:

„Kto Ty jesteś”, reż. Rafał Gużkowski, wyk. Zespół Wokalny Soul

NAGRODY HONOROWE

Nagroda Źródło dla osoby, której postawa jest inspiracją dla twórców:

Maria Mirecka-Loryś

Sygnet Niepodległości dla uczestników walki o wolność:

● rtm. Witold Pilecki w 120. rocznicę jego urodzin; odebrała córka Zofia Pilecka-Optulowicz

● kpt. Marian Markiewicz „Motyl”, uczestnik akcji „Burza” w Wilnie; odebrał wnuk Maciej Musiał

Drzwi do Wolności – dla bohaterów drugiego planu:

● Anna Paniszewa – polska dziennikarka oraz działaczka społeczna i oświatowa na Białorusi

● Węgierska Reprezentacja Waterpolo – za niezłomną postawę w meczu ze Związkiem Radzieckim w 1956 r.

● Robin Barnett – dyplomata, były ambasador Wielkiej Brytanii w Polsce

● Danuta Rojek-Lemkiewicz

– opozycjonistka prześladowana w PRL

● Maryna Miklaszewska – dziennikarka i pisarka, autorka musicalu o Stoczni Gdańskiej '80

● Roman Zwiercan – działacz Solidarności Walczącej

Nauka, wiara i kasztany

Joanna Grodzicka miała 27 lat i była już na rencie. Stwardnienie rozsiane. Gdy nastąpił całkowity paraliż i kilkakrotnie doszło do stanów agonalnych, trafiła do szpitala. Po pół roku lekarze wypisali ją do domu, nie dając najmniejszej nadziei. Rodzicom kazali zdecydować, kiedy wyłączyć respirator.

Rodzice, Teresa i Antoni, profesorem biologii i chemii, zaczęli się modlić o uzdrowienie za pośrednictwem ks. Frelichowskiego. Po trzech dniach modlitw stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. – Usłyszałam wołanie Joanny: „Mamo, chodź!”, i widzę, jak przekręca się na bok, zgina nogi, próbuje wstać... – wspomina mama chorej dziewczyny. – Rozpoczęły się odwiedziny, każdy chciał zobaczyć ten cud. Poruszenie było niesamowite. W wigilię siedziała z nami przy stole i jadła samodzielnie, czego nie robiła już od lat! Pani doktor, która pomagała przy rehabilitacji, widząc, jak Asia wstaje z łóżka, padła na kolana i powiedziała, że to cud.

Co się stało? Lekarze nie potrafili tego wytłumaczyć. – 7 czerwca 1999 r. Joanna uczestniczyła w beatyfikacji ks. Wincentego Frelichowskiego. Latem chodziła już po górach, pływała w morzu. We wrześniu postanowiła zrealizować swoje powołanie. Wstąpiła do zakonu sióstr karmelitanek bosych w Łasinie i przyjęła imię siostra Maria Joanna od Jezusa Eucharystii.

20 grudnia tego samego 1999 r. w Watykanie został ogłoszony dekret potwierdzający cudowne uzdrowienie ks. Ronaldą Pytła z Baltimore za wstawiennictwem błogosławionej wtedy siostry Faustyny. Cud zdarzył się cztery lata wcześniej. Ksiądz Pytel miał nieodwracalnie uszkodzoną lewą komorę serca. Kapłan wspomina to tak: 9 listopada

w czasie mojej wizyty u prof. Fortuina został wykonany „ekokardiogram Dopplera”. Profesor przejrzał wyniki testu, po czym zawołał mnie do swojego gabinetu. Przyglądał mi się w ciszy, która wydawała się nieskończonością, i wreszcie przemówił. Oto jego słowa: „Ron – ktoś interweniował w twojej intencji”. Zapytałem: „Co to znaczy?”. Odpowiedział: „Twoje serce jest zdrowe”. „Co?” – krzyknąłem zdumiony. Wtedy profesor jeszcze raz z naciskiem powtórzył: „Twoje serce jest całkowicie zdrowe”. Nie dowierzając, próbowałem tłumaczyć: „Ale przecież dr Green sugerował, abym powtórzył ekokardiogram, by zobaczyć, czy lewa komora serca się wzmocniła”. Wtedy prof. Fortuin powiedział dobitnym głosem: „Nie, nie – my mówimy o zupełnie normalnym sercu. Nie mogę wytłumaczyć, co się stało. Nie musisz brać żadnych leków”.

Ostatnią rzeczą, na którą może sobie dziś pozwolić atakowany z wszystkich stron Kościół powszechny, jest ośmieszenie. Wszystkie cudowne przypadki, które mają być ewentualnie potwierdzeniem świętości, są badane z najwyższymi rygorami naukowymi. Dokumenty potwierdzające nadprzyrodzoną naturę uzdrowienia ks. Pytła zawierały ponad 800 stron medycznych rejestrów i około 500 stron zaprzysiężonych materiałów.

W 1990 r. miał miejsce cud uzdrowienia Grzegorza Serafina z Nowego Targu. Ośmioletni wówczas chłopiec uległ tragicznemu wypadkowi. Jego stan uważano za beznadziejny. Dzięki wstawiennictwu Anieli Salawy chłopiec bardzo szybko wyzdrowiał, a jego uzdrowienie uznano za cudowne, całkowite i trwałe. Został prawnikiem.

W sprawie Grzegorza przeprowadzono badanie kanoniczne, przesłu-



ROBERT TEKIELI

chano 14 świadków, zebrano dokumentację kliniczną. Odkryto się posiedzenie zespołu profesorów medycyny mianowanych przez Kongregację ds. Kanonizacyjnych. Uzdrawienie Grzegorza uznano za cudowne.

Materią cudownych wydarzeń zainteresowałem się wiele lat temu po rozmowie z śp. ks. Zygfrydem Landowskim, sędzią Sądu Metropolitalnego Warszawskiego. Urzekła mnie konsekwentna racjonalność prowadzonego przez niego wielomiesięcznego przewodu sądowego, w którym dzięki ekspertyzom wykluczono możliwość naturalnego uratowania młodego chłopaka, Daniela Gajewskiego, od porażenia prądem elektrycznym, w którym to wypadku Daniel stracił trzy palce, choć powinien nie żyć.

Dziś w TVN słucham opowieści o mocy kasztanów. Najlepsze są świeże – to co w danym momencie daje Mama Natura – mówi śliczna pani. Moc kasztanów, moc kamieni i pożytek z obejmowania drzew. Codziennie irracjonalizm i rozwodniony ezoteryzm w miejsce chrześcijaństwa i nauki. Spółób myślenia, a za nim destrukcyjny styl życia. Potwierdzą celebryci. Pajdokracja, hodowanie Elojów, a może też Morloków. Kilka dni wcześniej leczyli modelkę kamertonami, bo „każdy z nas jest dźwiękami”. Przesyłali też te wibracje przez telewizor do widzów. Przecież wszyscy słyszeliśmy o serii cudownych uzdrowień.

Warte

Nic. Nie ma w tej książce grama metafizyki. Wołyń, wieś, dwie siostry. Polki. Z matki Ukrainki. Przepiękne, inne. Córkilekarza, niechodzące w pole. Płowe, falowane włosy układane czasem w aureolę. Dwie kilkunastoletnie dziewczyny i Ukrainiec, już mężczyzna, zakochany w jednej z nich. One też kochają. Jedna jawnie, druga w ukryciu. Niewinność, namiętność. Rok 1943. Świat bez porno dostępnego dla pięciolatek. Czas, kiedy niewinność mogła się łączyć z namiętnością. I ta nieśmiertelna, szczerza i naiwna wiara w powodzenie losu, bo przecież miłość nie zna granic.

„Cisza w Pogranie” Marcina Pilisa przekonała mnie do siebie sposobem opowiadania. Niespiesznym malowaniem postaci kolejnych bohaterów. Dwie wsi. Polska i ukraińska. Jak siostry. „I ten czas dawny, gdy bez Połapy nie było Pogranki, jak bez Pogranki nie było Połapy”. Kolejnym bohaterem powieści jest cisza wewnętrznego przeczucia. Nienaturalna cisza, w której zastygają polskie wioski. Cisza, którą zbudził strach. Opowieści bieżących. Strach wychodził z wychudzonych, poranionych ciał niedobitych Polaków uciekających ze wschodniej Ukrainy, już dotkniętej pogromami, całkowitą eksterminacją wiosek. „Przecież to tutejsi, nasze sąsiady. Jak one by poszły na nas? Ja w to ni uwierzę. A musi tam na Wschodzie ludzie inaczej są do siebie”. Zaklinanie rzeczywistości, paraliż, bezwład. Niezdolność do ogarnięcia umysłem potworności. „Ci co się nie boją, pierwsi padają. Strach jest po to, żeby cię chronił. To się i bój”. W normalny świat cywilizacji zbudowanej na niewinnej ofierze za mnie i za ciebie wdzierają się kolejna z nieludzkich ideologii. Nacjonalizm.

Skrzykują się. Banderowcy skrzykują chłopów. Agitacja, wiece, szkolenia. A jak wrócą, to już nie te same chłopaki. Rozognieni i pojętni uczą się dobijania niedobitych. „Jakby im coś do głowy weszło”. Nikt nie traktował ich z taką powagą i szacunkiem jak agitatorzy, a najmniej ojcowie. Moc słowa. Słowa, które rozpala. Rozlewający się nacjonalizm. Ideologia wrogości. Swoi i obcy. Nie – inny. Ale wróg. A „wroga trzeba rezaty”. Machina śmierci. Podpatrzona u Niemców w Babim Jarze. Bo nacjonalizm ukraiński to bękart nie tylko rosyjski, również niemiecki.

„Śmert’ Lacham, smert’ żydowsko-moskowskiej komuniji”. Szli z dekalogiem na ustach i ostrzach. „Ukraińska ziemia musi być wolna od Lachów”. Idea wielkiej Ukrainy. Młodym żrenice rosły od tych słów. A wśród mieszkańców Połapy żyła

opowieść o Kozaku, który w miejscu, gdzie dziś stał dom, wbił na pal swoich wrogów.

Pamiętane są na Wołyniu najokropniejsze opisy śmiertelnej biedy zamieniającej ludzi w diabły. Ale 80 lat temu pojawiło się coś nowego. „Dekalog nasz znasz? Dziesięcioro przykazań ukraińskiego nacjonalisty. Punkt siódmy. Nie zawahasz się wykonać najniebezpieczniejszej zbrodni, jeśli będzie wymagać tego dobro sprawy”. Miłość kontra śmierć. Nacjonalizm kontra naród. Pomieszana krew. Rasizm. „Pół nasz, pół Lach. Czyj jest Bogdanek? Bogdanek jest nasz”.

Dziś za dużo wiemy o tym, jak nieprawda może skutecznie udawać prawdę. Mecze piłkarskie przestały być sportem, bo piłkarze uczą się, jak udawać ból, symulować faule. Książki przestały być ważne, bo grafomani uczą się udawania mądrości na kursach prowadzonych przez nieudaczników lub z internetowych bryków. Większość robi to, co nie jest ich powołaniem. Ludzie mają za dużo czasu. W tym znudzonym tłumie żadnym choć pięciu minut sławy artystów zwyczajnie nie widać. Znamy jedynie cwaniaczków, którzy cynicznie podpieli się pod jakiś ideologiczny czy środowiskowy promocyjny komin konwekcyjny, posłuchawszy rady: synku, pisz tak, żeby cię chcieli nagłaśniać konserwatyści albo lewacy.

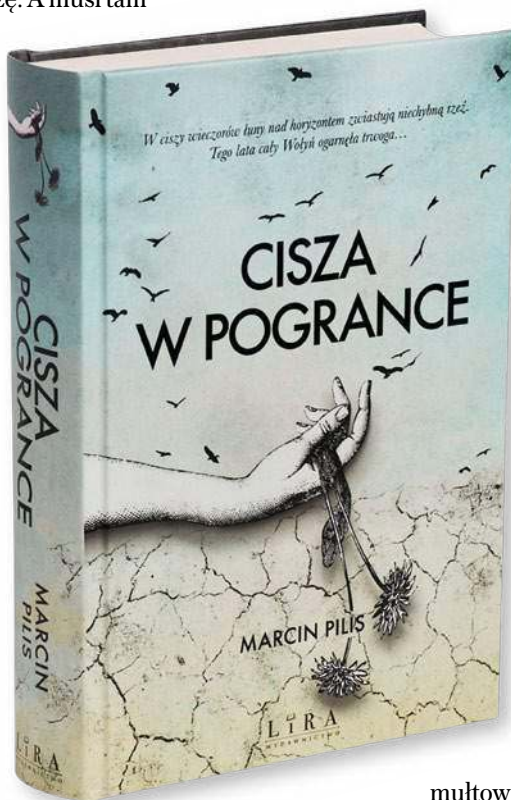
Polubiłem czysty język autora, ale Pilis nie będzie literackim celebrytą, bo ta książka nie jest na nikogo niczym młotem. Mówi prawdę. Tak, był odwet. Polacy, którzy uciekli spod widel, mordowali niewinnych za to, że byli Ukraińcami. Nic nie zmienia tej potworności. Ale cokolwiek ktokolwiek sądzi, mówimy o odwecie, nie o wyrozumianym na zimno ataku. Ważna jest też skala.

Czy Polacy ulegliby agitacji takiej jak OUN-owska? Ciekawe pytanie. Ale jeśli autor, czego nie jestem pewien, stawia znak równości pomiędzy patriotyzmem a nacjonalizmem, to jakby zrównywał miłość z nienawiścią.

I na koniec: nie, nie ma wojny plemion. Miłość ojczyzny jest wartością, a walczący z polskością na białoruskiej granicy są sprzedawczykami. Historia zdrady uświadomionej i zdrady wynikającej z głupoty i małości pisana jest w Rzeczypospolitej od paktu Grzy-

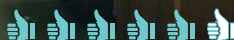
multowskiego, przez Targowicę, przez ludzi honoru z SB, po cytujących wypowiedzi białoruskich kagebiistów młodych dziennikarzy „Gazety Wyborczej”. A ostatnia scena książki jest dowodem na istnienie demona.

Robert Tekieli
Polskie Radio





Rasowe kino gatunkowe



Internet

Piotr Domalewski udowadnia „Hiacyntem”, że jest jednym z najbardziej wszechstronnych polskich reżyserów młodego pokolenia. Obsypana nagrodami „Cicha noc” pokazała jego niezwykłą wrażliwość i empatię na los mieszkańców lekceważonej i traktowanej protekcyjnie w Warszawie Polski B. W „Jak najdalej stąd” potwierdził, że nikt tak jak on w polskim kinie nie rozumie, czym jest płynąca w naszym krwiobieg wieczna tułaczka na emigracji. W moim przekonaniu Domalewski dzięki tym dwóm filmom może być nazwany polskim Kenem Loachem. A jednak nasz Loach nie chce się zamknąć w jednym rodzaju kina jak brytyjski maestro filmowego socjalizmu. Niedawny netflixowy serial „Sexify” był skrzywieniem w stronę „niegrzecznej komedii” i zabawą formą, choć miał typowy dla Domalewskiego socjologiczny pazur. „Hiacynt” to natomiast zdumiewający zwrot reżysera w stronę klasycznego kina gatunkowego. Produkowany również przez Netflix film jest rasowym, pełnokrwistym dramatem policyjnym z elementami thrillera, nakręconym według najlepszych zasad gatunku zza oceanu.

To o tyle istotne, że opowieść o systemowym prześladowaniu homoseksualistów w ramach akcji „Hiacynt” (1985–1987) mogła posłużyć do ideologicznej krucjaty, jaka w ostatnich latach przetacza się przez kino, choć oparty na scenariuszu Marcina Ciastonia film opowiada o komunistach, którzy zaledwie kilka lat po akcji „Hiacynt” zamienili się w socjaldemokratów, a dziś nie mają oporów, by jednocześnie walczyć o mniejszości seksualne i pielęgnować pamięć po generałach schyłkowej PRL. Tych samych, którzy stali za prześladowaniami homoseksualistów. Film Domalewskiego nie jest jednak jaskrawie ideologiczny. Również polityczny wymiar akcji „Hiacynt” niespecjalnie twórców interesuje. Interesuje ich natomiast uniwersalna opowieść o zaprzęgnięciu duszy.

Od czasu „Serpico” Lumeta temat rezygnacji z kariery w służbach w imię własnych wartości jest stałym elementem policyjnego kina. „Hiacynt” idzie mocno w stronę niesłusznie zapomnianego kop movie „W cieniu chwały” z 2008 r., gdzie w rolę policjanta huntującego się nie tylko przeciwko swoim zwierzchnikom, lecz i ojcu w mundurze wcielał się Edward Norton. Tomasz Ziętek gra podobną postać. Robert to milicjant, który może wybrać skonstruowaną przez wysoko postawionego w resorcie ojca (Marek Kalita) drogę kariery (szkoła w Szczytnie, ślub z atrakcyjną mili-

cjantką o twarzy Ady Chlebickiej czy medale) albo ochronę życia nowych przyjaciół z inwigilowanego przez siebie środowiska homoseksualistów. Wątek mordowania homoseksualistów czy esbeckie gry schodzą w pewnym momencie na drugi plan. Nie jest to mój zarzut do Domalewskiego, który wyraźnie w trzecim akcie idzie w klasyczne kino sensacyjne z nieodłącznym dla gatunku mordobiciem i strzelaninami. Nie jest więc „Hiacynt” naszym „Cruising”, który sposobem opowiadania niemal zrujnował karierę Ala Pacino i Williama Friedkina. Film Netflix jest bezpieczny i zgodny z agendą tego streamingowego giganta.

„Hiacynt” jest jednak dzięki temu kinem atrakcyjnym dla masowego widza, co powinno cieszyć zarówno tych, którym zależy, by każdy aspekt komunistycznej dyktatury ujrzał światło dzienne, jak i tych, którzy wolą go wykorzystywać do opisu dzisiejszych zmian obyczajowych. Ja odebrałem „Hiacynta” przede wszystkim jako dobrze skrojone kino sensacyjne z bardzo wyrazistymi i mocnymi aktorskimi kreacjami oraz idealnie oddającymi „brązową” beznadzieję PRL zdjęciami Piotra Sobocińskiego, zresztą stałego współpracownika Domalewskiego. Tomasz Ziętek tworzy wiarygodny obraz rozerwanego wewnętrznie chłopaka z resortowej rodziny, zmuszonego skonfrontować się nie tylko z surowym ojcem, wszechwładnymi esbekami, lecz i własnym ja. To jego najlepsza rola w dotychczasowej karierze. Znakomity i kradnący każdą scenę jest Tomasz Schuchardt, wcielający się w brutalnego gliniarza w typie Gene’a Hackmana we „Francuskim łączniku”. To niewielka rola, ale w Hollywood doczekałaby się nominacji oscarowej za drugi plan. Obaj należą do stałej aktorskiej trupy Domalewskiego, który dobrze wie, gdzie przycisnąć guzik, by z pozoru jednowymiarowa postać nabrała głębi. Zwróćcie uwagę na ostatnie słowa, jakie w stronę Roberta rzuca jego nieokrzesany i chamski partner. Niby nic nie znaczą, ale zmieniają w naszych oczach obraz tego zwalistego brutala.

To jest właśnie cały Domalewski. Reżyser kochający swoich bohaterów. Nie zapominajmy, że to pierwszy jego film, do którego nie pisał scenariusza. Nagrodę na festiwalu w Gdyni dostał za niego Marcin Ciastoń. „Hiacynt” to kolejny dowód, że polskie kino gatunkowe nabiera rozpędu. Dobrze. Nie wszystko musi być kinem niepokoju. Moralnego i amoralnego.

**„HIACYNT”, REŻ. PIOTR DOMALEWSKI.
FILM DOSTĘPNY NA NETFLIXIE**

Vega na poważnie



Patryk Vega opowiadał mi o pomysłach zrobienia filmu o „satanistach pedofilach” już w 2018 r. w wywiadzie, który z nim przeprowadziłem dla „Sieci”. Od tego czasu nakręcił pięć filmów i stracił (na oko) z 50 kg wagi. Wrócił też w tym czasie do swoich religijnych poszukiwań. W „Pętli” pokazał próbę bycia wczesnym Ablem Ferrarą w wydaniu nadwiślańskim. „Small World” dowodzi natomiast dobitnie, że Vega, upadły grzesznik, odrodzony w neokatechumenalnym katolicyzmie, wszedł już pełną gębą na drogę (ostatecznie porzuconą) swojego idola od „Złego porucznika”. Nie artystycznie, ale na pewno mentalnie.

„Small World” jest najlepszym filmem Vegi od czasu „Służb specjalnych” (2014), które były pierwszą przymiarką do kręcenia krwawych, oblepionych ulicznym brudem moralitetów z krzyżem w tle. Pod względem aktorskim (Piotr Adamczyk jako wkurzony Liam Neeson jest zaskakująco wiarygodny), scenariuszowym (przemyślane skonstruowana postać gliniarza z wewnętrznymi demonami) i reżysersko (zamiast poszatkowanych scenek przyczynkowych mamy spójną akcję) jest naprawdę niezłe. Vega powiedział mi w wywiadzie, że psycholog uświadomił mu, iż ma „specyficzne strumienie, w których obok siebie płyną wiara i spojrzenie na mroczny świat gangsterów czy policji”. Strumienie zamieniły się w jeden nurt. Choć ma ten film w pierwszym akcie sporo wielkich, jak ego Vegi, dziur logicznych, to ostatecznie broni się wszystko w gatunkowych ramach. Gdyby to był film amerykański, to trafiłby od razu na VOD. Ale jako kino z gatunku „Patryk Vega przedstawia” jest to spory postęp.

To wciąż jest kino vegowskie. Absurdalna eksploatacja z mieszkanką krwi, spermy (znów dosłownie), krzyża, odkupienia nie jest tym razem podłana ulicznym językiem i kochanym przez karkówki z silki humorem z „Kobiet mafi”. Jest na poważnie. Może to język angielski, którym mówią Piotr Adamczyk i Julia Wie-

niawa, powoduje, że Vega zmienia ton? Może to obsadzenie w epizodzie mającego w dorobku role u Bałabanowa czy Zwiagincewa, ale też w kapitalnym tegorocznym „Nobody”, wybitnego aktora Aleksieja Sieriebri-

kowa, powoduje, że Vega ściąga lejce? A może to naprawdę jest najważniejszy dla niego film w karierze? Miał w końcu czas go dopracować przez zamrożenie na czas pandemii.

Vega robi swojego „Taksówkarza” o potłuczonym psychicznie, „ostatnim sprawiedliwym”, ratującym dziecko z rąk pedofilów. Kluczowe sceny osadza w miejscu skopiowanym z „Oczu szeroko zamkniętych” Kubricka, gdzie widzimy świat znany z opowieści altprawicy z QAnon. Elity nie tylko gwałcą dzieci, ale poddają je satanistycznym rytuałom, a rękawicę rzuca im Piotr Adamczyk. Filmowy JP2 toczy nawet, wyjęty z horroru o egzorcyzmach, bój z kapłanką satanizmu, ryczącą głosem Złego. Takie rzeczy tylko u Vegi, chciałoby się rzec!

Jest też wydłubywanie oczu, obcinanie palców i inne zabawy, jakie zakochany w kinie klasy C Vega lubi. No, ale jest też stały konsultant duchowy filmów Vegi, ks. dr Waldemar Maliszewski, najwyraźniej prowadzący Vegę w jego krwawych moralitetach. „Small World” jest o wiele lepszy w tym wymiarze niż „Pętla”, ale też nie wychodzi poza naskórkowe dotknięcie ważnego tematu. Nic nam Vega nie mówi o powiązaniach satanistów z pedofilami. Nie idzie też w teorie spiskowe rodem z QAnowskich

**Kino**

„Pizzagate”. Ma być prosto. Satanisci gwałcą i mordują dzieci? To wystrzela ich gliniarz o twarzy Adamczyka. I tyle. A duchowo? Cytat z Pisma Świętego na koniec wystarczy. Jak w „Pętli”. Ba, jest nawet konsekwentnie prowadzony od „Botoku” wątek pro-life.

No, ale neokatechumenalna droga, jaką sam nawrócony Vega przechodzi, taka właśnie jest. W duchu protestancka, trochę sekciarska i daleka od katolickiej złożoności. Nie mam złudzeń co do piarowskich sztuczek Vegi manipulatora, który potrafił wmówić publice, że zna się na polskiej polityce, chociaż nie ukrywa, że nawet jej bliżej nie śledzi. Wierzę mu jednak, że uwierzył w misję ewangelizowania poprzez zanurzenie swoich widzów w sam środek rynsztoku. Opowiada w końcu o własnych upadkach, o których narcystycznie kocha prawić. Ciekawe, jak długo w tym odcinku vegowskiego kina wytrzyma.

„SMALL WORLD”,
REŻ. PATRYK VEGA, DYSTR. KINO ŚWIAT

Artyzm

To słowo mnie ciągle upaja. Chodzi za mną. Nie daje mi spokoju. Nie mogę spać. Usuwam je z myśli, lecz wciąż powraca. Pewnie jestem nawiedzony



Artyzm. Gdy słucham, jak gra na fortepianie „Ocalić od zapomnienia” (Grechuta) Wojciech Majewski, a towarzyszy mu na saksofonie tenorowym gigant, śp. Tomasz „Szakal” Szukalski. Kiedy obserwuję na ekranie grę Marlona Brando w „Ojcu chrestnym”. Gdy po raz kolejny oglądam na DVD koncert Ennia Morricone w Colosseum. Albo kiedy sam piszę,

komponuję czy maluję. Czy potrafię sprostać wyzwaniu? Czy to, co zrobię, będzie coś warte? Cokolwiek? Choć odrobinę? Czy powodem jest obsesja? Natręstwo? Albo niespełnione ambicje? Nie wiem. Być może to ostatnie.

Czym jest artyzm, kto wymyślił to pojęcie? Dlaczego manifestujemy swój zachwyt nad obrazem van Gogha „Kawiarniany taras” (1888) albo zachłystujemy się widokiem nagiej modelki Modiglianiego „Czerwony akt” (1917)? Co sprawia, że osobiście doznaję zachwytu, gdy po latach przesłuchuję ponownie improwizację Szukalskiego w „Już nie ma dzikich plaż”. To, z jaką prostotą i wycuciem frazy, lekko, pozornie bez wysiłku, z nieomal orgiastyczną ekspresją potrafił wydobyć z saksofonu niebywale tony. Scena nie

do zapomnienia. Wpadam z nagraniem do Polskiego Radia. W pokoiku siedzi Andrzej Jaroszewski. Z tą swoją bródką, skupiony, podnosi na mnie wzrok. „Andrzeju! – wołam. – Posłuchaj Szakala!”. Andrzej posłuchał, a potem powiedział: „Stary, tego tu nikt nie będzie grał. To zbyt piękne, za smaczne. Jedź z tym do Ameryki”. Bez komentarza. Pomyślałem: smutne, gorzkie, beznadziejne. Był rok 2001.

Włączam płytę „Zamyślenie” (2003). Wśród wykonawców znów Wojciech Majewski przy fortepianie, Tomek Szukalski na saksofonie, Grzegorz Turnau – śpiew. Jaki spokój bije z tej płyty. Ile w niej jazzowej improwizacji, jak wiele kontemplacji, ileż romantycznych barw. Dlaczego, dumam, nikt nie gra tych utworów w mediach? Dlaczego wybitny muzyk, nominowany do Fryderyków, jest wtłaczany w niszę?

Artyzm pojawia się w dziele tylko wówczas, gdy twórca potrafi zawrzeć w nim choć krztynę prawdy o świecie, o ludziach. Szczególnie gdy próbuje namalować portret kobiety i mężczyzny. Właśnie! Francis Lai, zmarły w 2018 r. francuski kompozytor i jego przepiękny temat z filmu „Kobieta i mężczyzna”, potrafił to. Umiał zawrzeć w swym dziele żdźbło boskiego geniuszu. Podobnie Ray Charles w „You don’t know me” czy nasz Jan Kanty Pawluśkiewicz na płycie „Anawa”, z wierszami Leszka Aleksandra Moczulskiego i Ryszarda Krynickiego. Takich dzieł mi brakuje. Jak powszedniego chleba.

Jeśli artysta nie ma talentu, jeśli nie pracuje jak wół, gdy wypije tak dużo wódki, że przestaje cokolwiek rozumieć i zaczyna bełkotać – wszystko bierze w łeb. Maluje się sercem, nie mózgiem. Piszę się sercem, nie za pomocą rozumu. To nie z trzewi bierze

się natchnienie. Ono przychodzi nagle, pojawia się znikąd. Od Pana Boga. Albo dzięki ukochanej kobiecie, która wszak jest boskim dziełem. Gdy komponujesz, musisz wlecieć. Wysoko, nad góry i chmury, a może jeszcze wyżej. Ból. On jest dobry. Ma ciebie boleć dusza. Masz wycić! Z samotności, która jest twą najwierniejszą damą i trucizną. Powinieneś być biedakiem. Tak jak bywał nim niejeden z malarzy na Montparnassie 135 lat temu. Śpij na ławce w parku. Albo w pokoju u kumpla, na dywanie z gazet. Wysoko pod dachem, w nędznej mansardzie, do której zagląda srebrny nos księżyc.

Gdy komponujesz, poszukujesz melodii, jakiej nie wymyślił nikt. Kiedy piosenka jest gotowa, zarejestrowałeś jej początkowy kształt na dyktafonie, warto przesłuchać ją cztery, pięć razy. Burt Bacharach, tworząc, jak się przyznawał, często zastanawiał się, czy nie powstała zbyt prędko? Czy nie wpadł na nią za łatwo? Jakże chciałbym się dowiedzieć, jak komponował „Valley of the dolls” („Dolina lalek” – 1977) albo „One bell less to answer” („Przedostatni dzwonek”). Kto był dla niego inspiracją? Zapewne kobieta. Bez niej utwór może zyskać jedynie kształt produktu. Gdyż nikt, żaden artysta, np. Picasso, bez kobiety nie namalowałby nie!

Słowo artyzm istnieje także w sporcie. Mój ojciec, Bohdan Tomaszewski, często powtarzał: „Tenis to nie tylko artyzm gry, to także matematyka. Cudów nie ma – trzeba wygrywać najważniejsze punkty, bronić setboli i meczboli. Triumfator musi łączyć kilka przeciwstawnych w sobie cech. Powinien mieć polot, ale nieodzowne jest także wyrachowanie w liczeniu punktów. W środku musi być dżentelmenem. Jeśli umie pięknie przegrywać, będzie też potrafił wspaniale zwyciężać”.

Artyzm tkwi w prostych rzeczach. Dla mnie jest on zawarty w chwili narodzin dziecka. Dziecko nie jest „utrapieniem”. Jest dziełem sztuki. Nawet gdy rodzi się niedoskonałe. Piękne jest, gdyż jest kruche. Kiedy kwili cichutko, bo boli je brzuszek i choć nie potrafi o nim

opowiedzieć rodzicowi, umie wyrazić siebie w najprostszym sposobie.

Artyzm tkwi w tangu. W jazzie. W bluesie. W operze. W balladach Leonarda Cohena. Kiedy poeta krzychał w hotelowym pokoju, że nie potrafi dokończyć „Alleluja”. Gdy wałąc głową w ścianę, próbował wyrazić swą depresję. „Bez sięgania głęboko w duszę nie będzie artyzmu”.

Artyzmem wypełnił całą swą pianistyczno-kompozytorską twórczość Fryderyk Chopin. Jego nokturny, ballady, mazurki, preludia, scherza, wale, bar-

Artyzm pojawia się w wielu dziedzinach życia. Nie tylko w sztuce, literaturze, poezji, sporcie, w kontaktach ludzi, w codziennych sporach, w miłości, a nawet podczas spożywania posiłków, w sztuce odpoczywania

karole, sonaty i zaledwie dwa koncerty fortepianowe (e-moll i f-moll), jakie zdołał napisać w ciągu zaledwie 39 lat życia, skrzą się od niewypowiedzianego piękna. To brylanty w historii światowej muzyki!

Artyzm pojawia się w wielu dziedzinach życia. Nie tylko w sztuce, literaturze, poezji, sporcie, w kontaktach ludzi, w codziennych sporach, w miłości, a nawet podczas spożywania posiłków, w sztuce odpoczywania. Gdy niespiesznie zjadamy obiad, kęs za kęsem, a potem popijamy poetycko, z pasją przygotowanego pstręga otoczonego migdałami, z cytryną, a do tego wypijamy kieliszek wytrawnego chardonnay, życie zdaje się piękne, my zaś czujemy się szczęśliwi i spełnieni.

Swym artyzmem popisują się w corridzie torreadorzy, banderilleros, pikado-

rzy i matadorzy. Ten ostatni nosi grubo haftowaną złotem kurtkę, czarne, wąskie spodnie oraz szpadę. Gdy podrażniony przez pieszego torreadora, a następnie ugodzony kilkakrotnie przez banderillę w tłusty kark byk wpada w furję, matador zadaje ostateczny cios. Corrida to swoistego rodzaju teatr. Pełen maestrii. Brutalność człowieka miesza się tu z taneczną finezją kroków, pantomimą ciała, wdziękiem i wystudiowaną gracją. Strach sąsiaduje z odwagą. Polowanie na byka ma dostarczyć emocji. Za wszystko płaci publika.

Jak zawsze żądna krwi. Hemingway opisał ów teatr w „Rogach byka”, lecz kto dziś jeszcze czyta Hemingwaya?

Ostatnio obejrzałem serial „Ślepnąc od świateł”. Z trudem wytrzymując w kolejnym odcinku pierwsze dwa kwadranse. Aktor Robert Więckiewicz w sekwencji na basenie 28 razy (policzyłem!) wykrzykuje słowo „ku...a!”. Czy niezliczona ilość wulgaryzmów miała udowodnić artyzm jego kreacji? Jakakolwiek prawdę o niewykształconym, upadłym człowieku i o współczesnej Polsce? Wątpię. Przypomnę wielkie dzieło Francisza Forda Coppoli „Ojciec chrzestny”. Bohaterowie tej sagi mordują swych konkurentów z mafii z okrutnym spokojem. Bez jednego mrugnięcia powieką. Bez słów. To więcej niż tyrada pana Roberta.

Chciałbym, aby w publicznej telewizji i w każdej innej pojawiała się odrobina artyzmu. Mniej jałowych dyskusji o niczym, połajanek, chamskich odezwań, braku podstawowych manier. Życzylbym sobie w każdą sobotę i niedzielę rozmów z inteligentnymi, wrażliwymi ludźmi. Nawet jeśli mieliby to być kwiaciarka, poeta i taksówkarz. W rozrywce powrót do kabaretów: Starszych Panów, Dudka, Konia czy projekcji niezapomnianej Egidy Jana Pietrzaka. Jeśli idzie o piosenkę – życzylbym sobie stworzenie redakcji, która będzie promować najwyższy poziom. Teksty pełne poezji, z muzyką najwyższego lotu.

Artyzm. Kogo on jeszcze obchodzi? ➤

Polski Ład

– zamykamy etap podatkowego dorastania i wchodzimy w dorosłość

O zmianach podatkowych wchodzących w życie od 1 stycznia przyszłego roku, założeniach Polskiego Ładu i o gospodarczych prognozach na kolejne lata z wiceministrem finansów **Janem Sarnowskim** rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa”)

Panie ministrze, można właściwie powiedzieć: „Mamy to!”. 1 października Sejm przyjął Polski Ład, akceptując też zmiany podatkowe zaproponowane przez Ministerstwo Finansów. Odczuwa pan satysfakcję po tej batalii parlamentarnej?

Jan Sarnowski: Najbardziej cieszy to, że w Polskim Ładzie utrzymany został kierunek zmian, jaki założyliśmy, tworząc ten projekt. To przede wszystkim eliminacja pewnych anomalii, jakie istniały w polskim systemie podatkowym jeszcze od lat 90. Mam na myśli choćby bardzo niski poziom kwoty wolnej od podatku, praktycznie niespotykany w żadnym kraju Unii Europejskiej, a może i świata. To także zaskakujące zjawisko, jak pobieranie podatków od znacznej większości emerytów, od osób zarabiających płacę minimalną. Możemy powiedzieć, że wychodzimy z takiego wczesnego etapu tworzenia systemu podatkowego i wchodzimy w nowocześnieść. Zamykamy etap dorastania. Od stycznia Polska będzie miała nowoczesny, logiczny w swoich założeniach, system podatkowy.



Nowoczesny?

Ta nowoczesność leży w dwóch sferach. Po pierwsze, to elementarna sprawiedliwość, porównywalna ze standardami funkcjonującymi w innych krajach. Po drugie, bardzo precyzyjne wsparcie tego, na czym państwu szczególnie zależy – inwestycji i rozwoju przedsiębiorstw. Obie sfery były oczywiście stopniowo rozwijane już od 2016 r. Wtedy zaczęliśmy podwyższać kwotę wolną od podatku. W 2019 r. podnieśliśmy pracownicze koszty uzyskania przychodu, co poprawiło sytuację osób mniej zarabiających. Ostatnie lata były również okresem tworzenia rozwiązań wspierających rozwój przedsiębiorstw – to poprawianie założeń ulgi badawczo-rozwojowej czy wprowadzenie ulgi IP BOX, dzięki której dochody z produktu wytworzonego w Polsce opodatkowane zostały stawką nie 19 proc., ale 5 proc. To z kolei wspierało i nadal wspiera rodzime firmy, krajową produkcję.

Od stycznia przyszłego roku zacznie działać kompletny system wsparcia rozwoju i innowacji w firmach, wzorowany na tym, co doskonale sprawdziło się w krajach takich jak Singapur, Korea Południowa czy Tajwan, a więc u liderów zmian w tym obszarze. Po nich na tę samą ścieżkę weszły wielkie centra produkcyjne Europy Zachodniej, czyli Włochy, Francja, Niemcy czy Wielka Brytania.

Jak rozumiem, chcemy powalczyć o inwestycje nie tylko niskimi kosztami pracy, lecz także produktywnością...

Jest jeszcze jeden element. Okres pocovidowy to czas skracania łańcuchów dostaw, przenoszenia centrów produkcji, ośrodków badawczo-rozwojowych, centrów usług wspólnych bliżej ostatecznego konsumenta, czyli z Dalekiego Wschodu do Europy. Jesteśmy w sytuacji bardzo dużej konkurencji między krajami naszego regionu właśnie o miejsce lokowania tych inwestycji. Żeby ściągnąć do Polski wielki biznes, nie trzeba oferować tylko niskich podatków. Trzeba mieć niskie koszty obsługi podatków, czyli specjalne rozwiązania dla wielkich przedsiębiorstw, które operują przy pomocy wielu spółek realizujących duży projekt. Przepisy muszą dawać firmom możliwość wdrażania uproszczeń w zarządzaniu podatkowymi rozliczeniami,

ich obsługa musi być łatwa. I na koniec – informacja o wysokości opodatkowania w Polsce powinna trafić do potencjalnego inwestora szybko i sprawnie, by mógł porównać sobie oferty poszczególnych państw i zdecydować się na tę lokalizację, która zagwarantuje mu najkorzystniejsze rozwiązania. Możemy mieć najniższe podatki w regionie, ale jeśli potencjalny inwestor sprawnie nie dostanie pełnej i wiążącej informacji dotyczącej opodatkowania, to wybierze inny kraj.

Konkurujemy o inwestycje dużych firm, bo to przekłada się na korzyści dla mniejszych podmiotów współpracujących z większymi.

Chodzi o wprowadzenie w Polsce najnowocześniejszych, sprawdzonych na Zachodzie mechanizmów wspierających przedsiębiorców. To mocne wejście w rynek konkurencji podatkowej z innymi krajami regionu o wielkie międzynarodowe inwestycje. Bariery rozwoju polskich firm z sektora MŚP jest dziś brak finansowania, brak środków, które mogłyby zostać przeznaczone na inwestycje i... brak partnerów biznesowych gwarantujących rozwój. Duży podmiot, który przychodzi do Polski, tworzy wokół siebie cały ekosystem mniejszych firm, które dzięki współpracy z nim mogą się rozwinąć. Zjawisko to w praktyce możemy obserwować na przykład w klastrach tworzących się w specjalnych strefach ekonomicznych czy w ramach Polskiej Strefy Inwestycji.

Choć bezwarunkowe zapraszanie do Polski firm z kapitałem zagranicznym mamy już chyba za sobą. Do dziś oczekujemy skutki działalności potężnych koncernów zwalnianych radośnie z podatków, otoczonych ulgami, które miały być w latach 90. zachętą do inwestowania w Polsce. Dziś transferują zyski za granicę, nie płacąc u nas prawie żadnych podatków.

Podatki i ulgi powinny być powiązane z realnymi inwestycjami w państwach, w których działa przedsiębiorstwo. Nie ma mowy o premiowaniu fikcyjnych inwestycji czy spekulacji, wejścia na polski rynek tylko po to, by wykorzystać ulgi, kupić tanio i szybko spieniężyć. Jesteśmy na końcu negocjacji w OECD dotyczących globalnego podatku minimalnego.

Powinno nam zależeć, by ostatecznie taki podatek został zapłacony w miejscu inwestycji, czyli w naszym przypadku w Polsce. Dlatego w założeniach Polskiego Ładu pojawił się właśnie minimalny CIT, czyli podatek od wielkich korporacji. Jeśli firma rzeczywiście płaci podatki w Polsce, to nie będzie nim obciążona – na tym polega jego „minimalność”.

Do tych elementów porządkujących system podatkowy, o których pan mówi, dodalbyśmy jeszcze jeden – uszczelnienie systemu. Próby uproszczenia systemu podatkowego stały się u zarania rządów Zjednoczonej Prawicy hasłem wywoławczym zmian w podatkach. I wiele zasad i przepisów udało się rzeczywiście uprościć. Duża w tym zasługa JPK i technologii, która wkroczyła w progi urzędów skarbowych i kontroli skarbowej.

Zarówno w uproszczeniu, jak i w uszczelnieniu systemu podatkowego dokonaliśmy gigantycznego skoku. Przeszliśmy całkowitą rewolucję. Z jednej strony to są zmiany przepisów upraszczające podatki, ale też zdjęcie z podatników ogromnej liczby obowiązków. Spośród PIT-ów przesłanych skarbowce w tym roku aż 20 mln zostało złożonych elektronicznie, a połowa z tego przez usługę e-PIT, co w skrócie oznacza, że wystarczyło zaakceptować kilkoma kliknięciami wypełnioną przez urząd, gotową deklarację. Papierowy formularz z dużą liczbą okienek do wypełnienia odchodzi do historii. Takich PIT-ów złożono tylko w tym roku ok. miliona. Tymczasem jeszcze pięć lat temu w ten sposób rozliczało się niemal trzy czwarte podatników.

Teraz zależy nam na tym, żeby także przedsiębiorcom na każdym etapie rozwoju firmy udostępnić maksymalnie uproszczony sposób rozliczenia podatków. Takim sposobem jest na przykład ryczałt od przychodów ewidencjonowanych. Działa on na zasadzie „wpływy do kasy razy niska stawka” – żadnej amortyzacji czy liczenia kosztów. Jeszcze kilka lat temu możliwość korzystania z ryczałtu była dostępna tylko dla najmniejszych firm, osiągających przychód do 125 tys. euro rocznie. Teraz ten limit jest aż 16-krotnie wyższy. Od stycznia tego roku to już są 2 mln euro. Co więcej – usunęliśmy ok. 50 wyłączeń. Teraz

w ten maksymalnie uproszczony sposób nie rozliczą się tylko apteki, warsztaty samochodowe, producenci wyrobów akcyzowych i kantory. Z kolei dla spółek kapitałowych otworzyliśmy w zeszłym roku, a teraz poszerzamy, estoński CIT. To jest superulga podatkowa. W ulgach podatkowych chodzi o pomniejszenie dochodu do opodatkowania poprzez realizację inwestycji. Estoński CIT polega na tym, że nie płaci się podatku co miesiąc, co kwartał, co rok, a jedynie w sytuacji, gdy podatnik zdecyduje się wypłacić sobie zysk. Dopóki pieniądze zostają w firmie, można je wykorzystać na dowolną inwestycję, można je też zostawić w kasie, by stworzyć swoistą poduszkę bezpieczeństwa, na przykład na okres dekonstrukcji czy innych trudnych do przewidzenia sytuacji. Inne propozycje uproszczeń to choćby pakiet Slim VAT czy e-faktura. To też kolejne elektroniczne usługi administracji, które aktualnie rozwijamy.

Spowodowane lockdownem powszechne stosowanie rozwiązań IT (od podpisu elektronicznego po mechanizm podzielonej płatności w VAT) z pewnością pomogło wiele zmienić, przyspieszyć, przeorganizować. System przyznawania wsparcia z tarcz finansowych był takim sprawdzianem dla służb państwowych, dla instytucji państwa – także w części fiskalnej. Ale przekonał też przedsiębiorców do wielu rozwiązań.

Dzięki plikom JPK udało się uporządkować działalność gospodarczą wielu przedsiębiorców. Korzystają z tego podwójnie, bo np. łatwiej im uzyskać kredyt, gdy sytuację finansową mają przejrzystą i uporządkowaną. Od kilku lat wdramy też mechanizm podzielonej płatności VAT i właśnie czas pandemii pokazał wręcz eksplozję zainteresowania przedsiębiorców tym mechanizmem. Wcześniej rozliczały się w ten sposób tylko firmy, które miały taki obowiązek. Teraz, gdy przedsiębiorcy zostali zmuszeni sytuacją pandemiczną, aby na bieżąco dostosowywać swoje działalności do nowych warunków rynkowych, mają znacznie mniej czasu na weryfikację uczciwości swoich kontrahentów. Zamiast tego coraz częściej decydują się

na rozliczenie VAT w maksymalnie bezpieczny sposób, z wykorzystaniem mechanizmu podzielonej płatności. Liczba takich rozliczeń wzrosła na początku pandemii prawie dwukrotnie. Od kwietnia 2020 r., od pierwszego lockdownu, liczba transakcji z zastosowaniem mechanizmu podzielonej płatności osiągnęła ponad połowę wszystkich transakcji na rynku B2B. I tak pozostało do dziś.

To daje poczucie bezpieczeństwa przedsiębiorcom, ale też uszczelnia system.

Ogromnym sukcesem ostatnich lat jest właśnie uszczelnienie systemu. W samym podatku VAT to jest zmiana kosmiczna. Jeszcze w 2015 r. z obliczeń Ko-

Trzeba wrócić do pytania, czym tak naprawdę jest sprawiedliwy system podatkowy. Dla mnie jest to system, który mniej obciąża osoby zarabiające niewiele, a mocniej te zarabiające więcej. Myślą przewodnią całej reformy jest właśnie odciążenie osób mniej zarabiających

misji Europejskiej wynikało, że w szarej strefie i w kieszeniach „karuzelowców” lądowała co czwarta złotówka, która powinna trafić do budżetu państwa. Według danych za 2019 r. jest to już tylko co dziesiąta. Co więcej, w epidemicznym roku 2020 luka VAT nie wzrosła, tylko zmniejszyła się z 10 do ok. 8,2 proc. To oznacza, że te mechanizmy działają, a pole dla podatkowych przestępców się zmniejsza. To efekt unikatowy w całej Unii. Wysokość luki watowskiej jest niższa od średniej europejskiej, która wynosi 10–11 proc. I jest dwukrotnie niższa niż u naszych sąsiadów.

Zadziałała technologia.

Tak, jeśli 2015 r. był w administracji skarbowej jeszcze czasem system ołówka,

gumki i papieru, to od kilku lat, właśnie poprzez wdrożenie plików JPK, co półtora miesiąca dostajemy drogą elektroniczną informację o transakcjach, które dany przedsiębiorca w tym okresie wykonał. Są one badane przez algorytmy, a firmy, które handlują tylko na papierze, tworzą puste faktury i deklarują fikcyjne obroty, są automatycznie typowane do kontroli. Stąd żywotność karuzel watowskich nie trwa już kilka lat, jak to bywało przed 2016 r., ale kilka miesięcy. Dziś algorytmy natychmiast wskazują anomalie i pozwalają na błyskawiczną interwencję ze strony skarbowki. A to nie jest nasze ostatnie słowo, bo od stycznia startuje e-faktura. Dzięki jej zastosowaniu dane na temat obrotu firm będą do nas spływać de facto w czasie rzeczywistym. W efekcie żywotność karuzel zmniejszy się praktycznie do tygodni, a luka VAT może się zmniejszyć do poziomu, jaki obserwujemy we Francji, czyli do ok. 5 proc.

Choć to wywołuje też emocje. Bo, jak czytam w niektórych mediach, skarbowka będzie wiedziała o nas już wszystko. Po wprowadzeniu rejestrowania transakcji kartami nawet to, co i gdzie kupujemy.

Nie. To nie jest tak, że urząd skarbowy będzie wiedział, co kto kupił. Trzeba rozróżnić sprzedaż na rzecz klientów, konsumentów od obrotu między przedsiębiorcami. O transakcjach między przedsiębiorcami wiemy już teraz dzięki plikom JPK i wkrótce dzięki e-fakturze. Integracja terminala z kasą fiskalną ma jeden, bardzo konkretny cel. Umożliwi wprowadzenie nowej ulgi w podatku VAT, mianowicie podatnika bezgotówkowego. Sprzedawca detalista, u którego większość obrotu realizowana jest bezgotówkowo, czyli w sposób transparentny dla skarbowki, będzie mógł korzystać z ulgi na terminal (trzykrotnie wliczy koszty jego obsługi w koszty podatkowe) i będzie miał prawo do najszybszego zwrotu VAT w Unii Europejskiej – nie 60, nie 40, ale 15 dni. To czterokrotnie krócej niż zwykle.

Wracając jeszcze do Polskiego Ładu. „Potworek legislacyjny”, „finansowy frankenstein”, „najbardziej skomplikowany system podatkowy w histo-

rii” – w ten sposób posłowie Koalicji Obywatelskiej ocenili już kilka dni temu zmiany podatkowe w ramach Polskiego Ładu – cytuję za jednym z portali ekonomicznych. Tymczasem udało się wprowadzić kilka znaczących zmian korzystnych dla tych przedsiębiorców, którzy inwestują w sposób pożądaný przez państwo.

Trzeba wrócić do pytania, czym tak naprawdę jest sprawiedliwy system podatkowy. Dla mnie jest to system, który mniej obciąża osoby zarabiające niewiele, a mocniej te zarabiające więcej. Myślą przewodnią całej reformy jest właśnie odciążenie osób mniej zarabiających. Druga sprawa – sprawiedliwy system podatkowy to taki, w którym bez względu na rodzaj kontraktu, jaki zawarłem z moim pracodawcą, szefem, wysokość opodatkowania mojej pracy powinna być podobna. Nie może być tak, że na niekorzyść podatnika działa zawarcie umowy o pracę. Dlatego chcemy ograniczyć uprzywilejowanie działalności gospodarczej w odprowadzaniu składki zdrowotnej. Sytuacja, w której pracownik opłaca składkę zdrowotną od swojego dochodu, a przedsiębiorca płaci ją od ułamka przeciętnego wynagrodzenia, prowadzi do tego, że większość nakładów na służbę zdrowia pokrywają pracownicy, a nie przedsiębiorcy. Czy to jest w porządku? Poprzez zmiany w składce zdrowotnej uda się to wreszcie naprawić.

Dobrze. Powiedzmy, że przedsiębiorcy docenią to, że będzie sprawiedliwie. Kto w takim razie skorzysta na zmianach z Polskiego Ładu.

Polski Ład to przede wszystkim znaczne podniesienie kwoty wolnej od podatku i progu podatkowego. Na tym skorzysta 67 proc. pracowników, którzy w przyszłym roku zapłacą niższy podatek. To 8 mln Polaków. Do tego trzeba dodać PIT-0 dla rodzin 4+. To ulga dotycząca każdego z rodziców, nie tylko pracowników i przedsiębiorców rozliczających się na skali podatkowej, na zasadach ogólnych. To jedna z pierwszych ulg, z której mogą również skorzystać osoby na „liniówce” i rozliczające się ryczałtowo. Co więcej, Polski Ład podniesie limit ulgi na dzieci dla osób, które nie mają z czego jej odliczyć. Taka sytuacja stanie się jeszcze częstsza w wyniku znacznego



podniesienia wysokości kwoty wolnej od podatku. Zachowujemy zasadę zwrotności i w efekcie to jest kolejne pół miliarda złotych w portfelach podatników.

Obok pracowników i rodzin na zmianach skorzystają również pracodawcy. Szczególnie ci, którzy zmagają się z konsekwencją rekordowo niskiego bezrobocia, jaką jest trudność w znalezieniu rąk do pracy. W 2019 r. zaczął w Polsce obowiązować PIT-0 dla młodych, czyli ulga aktywizująca ludzi rozpoczynających swoją karierę zawodową. W przyszłym roku działać zacznie PIT-0 dla powracających z zagranicy, którzy zdecydują się przeprowadzić do Polski i w ten sposób zasilić nasz rynek pracy. Do tego proponujemy PIT-0 dla seniorów, którzy zamiast przejść na emeryturę, postanowią pozostać aktywni zawodowo. To również dostosowanie systemu podatkowego do aktualnych potrzeb rynku pracy.

To system zwolnień z podatków, które ktoś musi uzupełnić. Krytycy zmian rysują czarny scenariusz, przestrzegając przed ucieczką obciążonych podatkami w Polsce przedsiębiorców do naszych sąsiadów.

Tego rodzaju dywagacje oparte są na fake newsach. W Europie trudno znaleźć lepsze rozwiązanie proinwestycyjne dla jednoosobowych działalności gospodarczych niż polska spółka z o.o. na estońskim CIT. Firma nie musi płacić podatku, jeśli środki nie są z niej wyprowadzane, gdy służą inwestycjom lub zwiększeniu rezerw na przyszłość. Jej wspólnicy zasadniczo nie muszą płacić składek na

ubezpieczenia społeczne i zdrowotne. Do tego w przypadku decyzji o wypłacie dywidendy pobierane jest w sumie jedynie 20 proc. podatku dochodowego, łącznie CIT i PIT. Ta i inne opcje, które otwieramy dla firm prowadzących rzeczywistą działalność i chcących się rozwijać, sprawia, że ucieczka z biznesem poza Polskę po prostu się nie opłaca. Często również nie jest ona możliwa. Nie da się bowiem prowadzić działalności w Polsce za pośrednictwem firmy ulokowanej na Cyprze czy w Czechach i nie płacić podatków w naszym kraju. Jest to sprzeczne z przepisami i w przypadku kontroli będzie się wiązało z koniecznością zapłaty zaległości. Poza tym mam wiele optymizmu w podejściu do przyszłego roku. Prognozy dotyczące wzrostu gospodarczego, ale również symulacje dotyczące konsekwencji wprowadzenia pakietu podatkowego Polskiego Ładu pokazują, że przyszły rok będzie okresem bardzo szybkiego wzrostu obrotów wszystkich działających w Polsce przedsiębiorców.

Pan minister jest rzeczywiście optymistą.

Jesteśmy u progu okresu koniunktury. Czekają nas pięć kolejnych dobrych lat. Pracownik, emeryt i drobny przedsiębiorca wejdą w przyszły rok z większą ilością pieniędzy. Dzięki rosnącej konsumpcji i wzrostowi eksportu zwiększą się obroty przedsiębiorców. Będą oni też mieli łatwiejszy dostęp do środków na inwestycje, które staną się dla nich tańsze. Do tego, dzięki całemu systemowi ulg, będzie też łatwiej o pracowników. 



Z Zofią Paryłą,
prezes Grupy LOTOS,
o skutkach fuzji
z Orlenem, emocjach
wokół transakcji
i nowych inwestycjach
gdańskiej rafinerii,
rozmawia Maciej Wośko,
redaktor naczelny
„Gazety Bankowej”

Znamy nasze atuty, które wzmocnią powstający koncern multienergetyczny

Pani prezes, procesowi łączenia Grupy LOTOS z PKN Orlen poświęcono już wiele debat i dyskusji. Jak mówi prezes PKN Daniel Obajtek, czas na działanie – bo rozmowy mamy za sobą. Do 14 listopada 2021 r., jak wskazała Komisja Europejska, mają zostać złożone wszystkie dokumenty stanowiące realizację środków zaradczych w ramach łączenia Grupy LOTOS z PKN Orlen. Zdaniem ekspertów fuzja – stworzenie multienergetycznego koncernu – jest procesem pewnym i nieodwracalnym. Jesteście przygotowani do realizacji umów i założeń tego mariażu?

Zofia Paryła: Do połączenia z PKN Orlen przygotowujemy się już od dłuższego czasu. Faktycznie, w ostatnich miesiącach, a zwłaszcza po ogłoszeniu w maju tego roku struktury przyszłego koncernu multienergetycznego, przygotowania te jeszcze bardziej przyspieszyły. Aktualnie finalizujemy prace mające doprowadzić do reorganizacji naszej grupy kapitałowej. Chodzi m.in. o wydzielenie aktywów rafineryjnych z Grupy LOTOS i przeniesienie ich do spółki LOTOS Asfalt. Aby tego dokonać, niezbędna jest zgoda naszych akcjonariuszy. Uchwała w tym zakresie będzie poddana głosowaniu podczas nadzwyczaj-

nego walnego zgromadzenia Grupy LOTOS SA, które odbędzie się w tym tygodniu [14 października – przyp. red.]. Za tą koncepcją stoją mocne argumenty. To nie tylko potrzeba przystosowania grupy kapitałowej do wdrożenia modelu realizacji środków zaradczych. To także wiele wymiernych korzyści dla naszego koncernu. Połączenie całej działalności rafineryjnej w jednym podmiocie pozwoli m.in. na optymalizację procesów oraz uproszczenie struktury organizacyjnej w obszarze produkcji.

Wydaje się, że najistotniejszym elementem połączenia – poza oczywi-

ście spełnieniem warunków narzuconych przez KE – jest fakt, że Grupa LOTOS, chociaż traci podmiotowość prawną w ramach przyłączenia się do nowo tworzonego koncernu, nie utraci swoich kompetencji w ramach dotychczasowej działalności. Czyli załoga LOTOSU nie obawia się już o przyszłość gdańskiej rafinerii? Pamiętam, że na samym początku dyskusji na ten temat była to jedna z kluczowych spraw wywołująca spore emocje.

Większość z nas z założenia boi się zmian, co często przekłada się na niepotrzebne emocje. Dlatego tak duży nacisk kładziemy w tym procesie na otwartą komunikację i dialog z załogą. Regularnie publikujemy w naszych mediach wewnętrznych informacje dotyczące kolejnych etapów tej transakcji oraz rozmawiamy ze stroną społeczną. Od początku roku odbyliśmy już 12 takich spotkań. Podczas nich pracujemy nad zapisami porozumień, które mają odpowiednio zabezpieczyć wszystkie grupy pracowników. Równolegle staramy się przekonać naszą załogę, że mogą być spokojni o przyszłość rafinerii Grupy LOTOS, nawet jeśli ta straci swoją podmiotowość prawną. Gwarantem miejsc pracy w Gdańsku są chociażby realizowane tutaj inwestycje, w tym przede wszystkim nasze projekty wodorowe, czyli Pure H2 i Green H2. Te oraz inne tzw. centra kompetencyjne, które powstaną na Pomorzu, będą potrzebowały obsługi tu na miejscu – to właśnie szansa m.in. dla pracowników Grupy LOTOS.

Politycy opozycji cały czas straszą fuzją, rysując czarne scenariusze przyszłości gdańskiej firmy. Ostatnio swoją książką dołączył do nich także były prezes LOTOSU Paweł Olechnowicz, który w rozmowie z Onetem mówi tak: „Polityka nie może rządzić ekonomią. Moje stanowisko jest następujące – to nie jest fuzja, to nie jest przejęcie. To jest rozbiór, to jest wyprzedaż aktywów LOTOSU. Chodzi o stacje paliw, magazyny, logistyczne układy, a na koniec główny rdzeń tej części przerobowej, czyli rafinerię”. Odniesie się pani do tych słów?

Według mnie powinniśmy bazować na faktach, a nie na emocjach. A fakty są takie, że w najbliższej przyszłości europejskie rafinerie staną w obliczu malejącego popytu na paliwa płynne. To wynik kolejnych regulacji unijnych, które wymuszają na nich redukcję emisji, zwiększanie efektywności energetycznej oraz rozwój obszaru paliw alternatywnych i odnawialnych źródeł energii. W 2030 r. udział węglowodorów w produkcji energii w Europie ma spaść z obecnego poziomu 38 proc. do 33 proc. Obecna działalność Grupy LOTOS nie jest zdywersyfikowana. Spółka nie ma rozwiniętej np. petrochemii. Dlatego w wyniku zachodzących zmian na rynku jej działalność będzie bardziej narażona na skutki transformacji energetycznej, która będzie przyspieszać w najbliższych latach. Co do rozbioru LOTOSU, to chciałabym tylko przypomnieć, że środki zaradcze nie zakładają sprzedaży całego zakładu. Powstać ma natomiast tzw. rafineria procesingowa, w której zdecydowana większość udziałów pozostanie w gestii tworzonego koncernu multienerygetycznego.

Tymczasem zapowiadacie państwo nowe otwarcie w Grupie LOTOS polegające na tworzeniu w nowym koncernie centrów kompetencyjnych, budujących synergię z PKN i tworzących rynek. Pierwszym takim miejscem ma być właśnie rafineria gdańska, która nadal funkcjonuje jako główny dostawca paliw płynnych. Kolejne centrum opierać się będzie na projektach LOTOSU dotyczących zielonej energii. Zostanie wzmocnione znaczenie LOTOSU jako producenta zielonej energii i dostawcy zielonego wodoru. Dodatkowo LOTOS będzie rozwijał produkcję paliw żeglugowych oraz aspiruje do narodowego operatora morskiej energetyki wiatrowej zarówno podczas jej budowy, jak i serwisowania farm wiatrowych na Bałtyku. To atuty gdańskiego przedsiębiorstwa, które zostają w portfolio LOTOSU.

Znamy nasze mocne strony i chcemy, żeby wzmocniały one wartość powstającego koncernu multieneryge-

tycznego. To budowane przez lata unikatowe umiejętności i doświadczenie. Do tego dochodzi nadmorskie położenie, którego potencjał czeka jeszcze na pełne wykorzystanie. Centra kompetencyjne umożliwią bardziej efektywne zarządzanie wiedzą, a jednocześnie lepsze wykorzystanie posiadanych już struktur oraz środków przeznaczanych na badania i rozwój. W swoim pytaniu wymieniał pan większość centrów kompetencyjnych. Natomiast w puli jest jeszcze centrum olejów i środków smarnych oraz obszar logistyki kolejowej. Należąca do naszej grupy kapitałowej spółka LOTOS Kolej jest drugim największym kolejowym przewoźnikiem w Polsce, skoncentrowanym na logistyce towarów niebezpiecznych, i nadal się rozwija. Obecnie zainwestowała w zakup 326 jednostek do transportu intermodalnego.

Zatrzymajmy się na chwilę przy inwestycjach. Na łamach „Polskiego Kompas” pisze pani: „To dzięki innowacjom i inwestycjom Grupa LOTOS konsekwentnie wzmocnia swój potencjał. W połączeniu z ciągłą optymalizacją produkcji koncern utrzymał stabilną kondycję finansową mimo pandemii. Tylko w 2021 r. na projekty inwestycyjne spółka przeznaczyła aż 1,4 mld zł”. To ogłoszona niedawno inwestycja budowa Hydrokrakingowego Bloku Olejowego (HBO). Dzięki temu rafineria w Gdańsku już w 2025 r. będzie produkować wysokiej jakości bazy oleje smarowe. Głównym wykonawcą została firma KT – Kinetics Technology S.p.A., z którą gdański koncern współpracował podczas Projektu EFRA.

Jako Grupa LOTOS jesteśmy obecni na rynku olejów bazowych od wielu lat. Projekt HBO to niejako powrót do naszych korzeni. Wysokiej jakości bazy olejowe umożliwią nam produkcję środków, które będziemy sukcesywnie lokowali na rynku po jak najbardziej atrakcyjnych cenach. Instalacja ma produkować rocznie ponad 400 tys. ton baz olejowych grupy II oraz kilkadziesiąt tysięcy ton półproduktów paliwowych. Eksperci

szacują, że do końca tej dekady poziom produkcji olejów przemysłowych wzrośnie z 30 proc. całości produkcji olejowej do 50–60 proc. Dodatkowym czynnikiem wpływającym na zwiększone zużycie olejów przemysłowych wysokiej jakości są przewidywane nowe, duże inwestycje związane z tzw. zieloną energią. Realizacja projektu HBO pozwoli więc skutecznie konkurować z bazami olejowymi importowanymi w Europie oraz wypełnić niszę rynkową. Ponadto, także w tym przypadku, atutem jest lokalizacja naszej rafinerii, która umożliwia efektywną logistykę drogą morską i lądową.

Ostatnio informowaliście o kolejnej inicjatywie wodorowej – projekcie Vetni. Jego celem jest opracowanie wysoce efektywnej instalacji opartej na o elektrolizerach stałotlenkowych zasilanych energią elektryczną z odnawialnych źródeł. Urządzenia te umożliwią wysokosprawną produkcję wodoru o wysokiej czystości. Czy można się spodziewać, że to właśnie produkcja zielonego wodoru stanie się w niedalekiej przyszłości domeną gdańskiego LOTOSU?

O wodorze, który określany jest mianem paliwa przyszłości, myślimy kompleksowo. Strategicznym wyzwaniem Grupy LOTOS jest właściwe przygotowanie się do nadchodzących rewolucyjnych zmian na rynku paliwowym. Mamy ambitne plany związane z technologią wodorową. Chcemy wykorzystać nasz potencjał i doświadczenie, aby produkować wodór. W ramach projektu Green H2 chcemy docelowo zbudować wielkoskalową instalację do produkcji zielonego wodoru. Jeszcze w tym roku ruszamy z pilotażem. Realizujemy także projekt Pure H2, w ramach którego powstaną instalacje do oczyszczania i dystrybucji wodoru oraz dwie stacje tankowania tego paliwa – w Gdańsku i w Warszawie. Wspomniany przez pana projekt Vetni prowadzimy wspólnie z Instytutem Energetyki i Akademią

Górnico-Hutniczą im. Stanisława Staszica w Krakowie. To inwestycja o wartości blisko 10 mln zł, która uzyskała dofinansowanie Narodowego Centrum Badań i Rozwoju na poziomie ponad 80 proc. Dzięki tej instalacji będziemy produkować ok. 16 kg wodoru o czystości 99,999 proc. na dobę. Równoległe trwają prace nad kolejnymi projektami wodorowymi, ale o tym będziemy mówić w odpowiednim czasie.

Strategicznym wyzwaniem Grupy LOTOS jest właściwe przygotowanie się do nadchodzących rewolucyjnych zmian na rynku paliwowym. Mamy ambitne plany związane z technologią wodorową. Chcemy wykorzystać nasz potencjał i doświadczenie, aby produkować wodór

Za nami postój remontowy rafinerii – spore wyzwanie technologiczne i logistyczne. Jak słyszymy, prace pierwszego etapu zakończyły się planowo. Zostały wykonane bezpiecznie i zgodnie z budżetem. Druga część remontu rozpocznie się wiosną 2022 r. W czasie pandemii, zagrożenia lockdownem wymaga to ogromnego zaufania do załogi i wykonawców.

Postój remontowy zawsze wiąże się z ryzykiem nieprzewidzianych zdarzeń, a w tym roku rzeczywiście sytuacja była trudniejsza, bo remont był przeprowadzany w czasie pandemii. Aby zapewnić bezpieczeństwo pracowników, rafineria została podzielona na siedem stref, powstał też dodatkowy punkt medyczny, gdzie można było przeprowadzać testy na obecność koronawirusa. W trakcie

remontu na terenie zakładu przebywało ok. 2 tys. osób, w ubiegłych latach było ich nawet 5 tys. Ograniczenie liczby pracowników było kluczem do zminimalizowania zagrożeń. Przygotowania do postoju i jego realizacja przebiegały w trudnych warunkach, ale fakt, że nie odnotowaliśmy problemów czy opóźnień, świadczy o wysokiej jakości wykonanych prac. To zasługa wszystkich pracowników LOTOSU i wykonawców zaangażowanych w ten projekt.

Dotknęliśmy na koniec tematu, który jest obowiązkowy od półtora roku w wywiadach z zarządami największych spółek i przedsiębiorstw – pandemia i jej skutki dla biznesu. Jak pani ocenia ten czas z perspektywy Grupy LOTOS. Mam wrażenie, że udało się nam, także LOTOSOWI, uniknąć jakichś niezwykle bolesnych, kosztownych, brzemiennej w skutki decyzji. Choć, co wielokrotnie powtarzam, firmy, które łatwo mogły przenieść pracę do domów pracowników, miały z pewnością łatwiej niż zakłady produkcyjne, a zwłaszcza takie, jak rafineria, której działanie jest stałą i strategiczną potrzebą państwa.

Zwłaszcza początek pandemii był dla nas wszystkich testem szybkiego zaadaptowania się do nowej rzeczywistości. Priorytetem zawsze było bezpieczeństwo naszych pracowników, klientów oraz kontrahentów. Dzięki zaangażowaniu całego zespołu i dostosowaniu się do reżimu sanitarnego udało się utrzymać ciągłość dystrybucji naszych produktów. Nasza rafineria nie przerwała pracy, optymalizując swoją działalność do aktualnej sytuacji rynkowej oraz wykorzystując nasze mocne strony i przewagi konkurencyjne. W każdej trudnej sytuacji staram się też zawsze szukać pozytywów. W przypadku pandemii taką wartością dodaną dla LOTOSU było na pewno przyspieszenie procesu digitalizacji naszej organizacji. Wiele z tych rozwiązań zostanie z nami na dłużej.

PGNiG Mecenaszem Teatru ...w Twoim domu



To ważne, żeby dbać o tradycję, kulturę i sztukę.
Dlatego bycie mecenaszem, obecnego od lat
w Waszych domach **Teatru Telewizji**,
to dla nas zaszczyt.



Kolejne 100 ton złota w zasobach NBP – ambitne plany zwiększenia rezerw kruszców banku centralnego już w 2022 r.

Od wieków złoto było i nadal pozostaje w centrum zainteresowania inwestorów, w tym banków centralnych. Prof. Adam Glapiński, prezes NBP, sygnalizuje zamiar zakupu kolejnych 100 ton złota w 2022 r. Powiększanie zasobów złota to działanie mające na celu zwiększenie bezpieczeństwa finansowego Polski

W latach 2018–2019 NBP zakupił znaczną ilość, bo aż 125,7 t złota. Prof. Glapiński zapowiada, że jeśli będzie miał możliwość dalszej realizacji swoich zadań w ramach drugiej kadencji prezesa NBP, bank centralny będzie dążył do kontynuacji dotychczasowej polityki i do powiększania zasobów złota. Jednakże skala i tempo zakupów będą zależały m.in. od dynamiki zmian oficjalnych aktywów rezerwowych oraz bieżących warunków rynkowych. Wstępnie prezes Glapiński zakłada, że będzie proponował zarządowi NBP kupno w 2022 r. kolejnych 100 t tego kruszcu.

RELATYWNIE WYSOKI UDZIAŁ ZŁOTA W AKTYWACH NBP

Według stanu na koniec sierpnia 2021 r. zasób złota NBP wyniósł 7,402 mln uncji, tj. 230,2 t. NBP zajmuje 23. miejsce pośród banków centralnych na świecie i 11. wśród europejskich. Banki centralne mają łącznie ok. 30 tys. t złota. Największym posiadaczem złota są – z powodów historycznych – Stany Zjednoczone (8,1 tys. t), następnie Niemcy (3,4 tys. t) oraz kolejno Włochy, Francja, Rosja i Chiny – wszystkie po ok. 2 tys. t. Zasoby złota w posiadaniu NBP są niemal dwu-

krotnie większe niż w Szwecji (126 t), zbliżone do Belgii (227 t). Jeśli NBP zrealizuje zakup kolejnych 100 t złota, strategiczne rezerwy złota Polski mogą być większe niż m.in. Austrii, Hiszpanii czy Wielkiej Brytanii.

Oprócz wartości absolutnych, znaczenie ma też to, jaką część wszystkich aktywów banku centralnego stanowi złoto. W takim ujęciu NBP sytuuje się na poziomie zbliżonym, a nawet nieco wyższym niż banki centralne w Niemczech czy Stanach Zjednoczonych.

IM WIĘCEJ ZŁOTA, TYM WIĘKSZE ZAUFANIE DO KRAJU

Złoto jest „najbardziej rezerwowym” z aktywów rezerwowych: dywersyfikuje ryzyko geopolityczne i stanowi swoistą kotwicę zaufania, szczególnie w czasach napięć i kryzysów. Posiadanie znacznych rezerw dewizowych – w szczególności złota – zwiększa zaufanie do kraju w ocenie agencji ratingowych, inwestorów zagranicznych i instytucji międzynarodowych. Ma to wpływ na obniżenie kosztu finansowania na rynkach globalnych i ogranicza ryzyko gwałtownego odpływu kapitału z kraju.

Ponadto złoto pełni funkcję zasobu dywersyfikującego (różnicującego) strukturę aktywów rezerwowych banków centralnych. Mała zależność między cenami złota a cenami innych aktywów ogranicza ryzyko finansowe związane z utrzymywaniem rezerw, czyli zmienność wartości rezerw dewizowych wywołaną czynnikami rynkowymi.

ZŁOTO TO BEZPIECZNA REZERWA – WOLNA OD POLITYKI I RYZYKA KREDYTOWEGO

Złoto odgrywa szczególną rolę w strategii zarządzania rezerwami dewizowymi NBP. Przede wszystkim nie stanowi ono niczyjego zobowiązania, a zatem jest wolne od ryzyka kredytowego – zmory wszystkich zarządzających aktywami. Ponadto złoto jest wolne od bezpośrednich powiązań z polityką gospodarczą jakiegokolwiek kraju, odporne na zawirowania na światowych rynkach finansowych, a jego cechy fizyczne zapewniają trwałość i praktycznie niezniszczalność. Te wszystkie właściwości czynią ze złota tzw. safe haven asset, którego wartość zazwyczaj rośnie w warunkach podwyższonego ryzyka kryzysów finansowych czy też politycznych. W efekcie złoto odznacza się relatywnie niską korelacją z głównymi klasami aktywów – szczególnie dolarem amerykańskim dominującym w portfelu rezerw NBP – co korzystnie oddziałuje na dywersyfikację ryzyka finansowego.

ZŁOTE REZERWY W FORMIE 8392 SZTABELK

W skarbcach NBP znajduje się 104,9 t złota, co odpowiada 3,371 mln uncji. Choć o złocie mówimy niekiedy zamiennie kruszec, co przywodzi na myśl rudy tego szlachetnego metalu, w rzeczywistości są to sztabki: w skarbcach NBP w Polsce jest ich aktualnie 8392. Wszystkie sztabki – nie tylko te w skarbcach NBP, lecz także te utrzymywane



w Banku Anglii – spełniają najwyższe standardy czystości określane mianem „London Good Delivery” – każda sztaba ma zbliżoną masę około 400 uncji trojańskich (12,5 kg) oraz próbę złota co najmniej 995 (musi zawierać co najmniej 99,5 proc. czystego złota), wytłoczoną w widocznym miejscu, wraz z oznakowaniem rafinera i rokiem produkcji.

ZŁOTO TO NIE WSZYSTKO. NBP DOKŁADA SIĘ DO BUDŻETU PAŃSTWA

NBP realizuje wiele ustawowych zadań i dba o bezpieczeństwo finansowe Polaków, nie tylko kupując kolejne tony złota i zarządzając nimi. Bank centralny zasila budżet państwa miliardowymi kwotami. Skąd one pochodzą?

Zasadniczo główną rolę w kształtowaniu wyniku finansowego NBP odgrywa wynik z zarządzania rezerwami dewizowymi, których wartość wynosi blisko 170 mld dol. Stanowi to około sześciokrotny wzrost w stosunku do 27,5 mld dol. w 2000 r. i niemal podwojenie stanu aktywów wyrażonych w dolarach amerykańskich w ciągu ostatniej dekady.

Można więc powiedzieć, że NBP jest jednym z największych inwestorów w regionie. Ale rolę też odgrywają tu bardzo specyficzne uwarunkowania. Ponieważ NBP prowadzi politykę pieniężną w warunkach płynnego kursu walutowego, rezerwy służą przede wszystkim wzmocnieniu wiarygodności finansowej Polski i wspierają odporność naszej gospodarki na zaburzenia na światowych rynkach finansowych.

Stąd też NBP, jako inwestor publiczny, przywiązuje największą wagę nie tyle do maksymalizacji zysków, ile do zachowania płynności i bezpieczeństwa posiadanych aktywów. Niemniej jednak ostatnie lata rzeczywiście były dla NBP udane, bo mimo niesprzyjających warunków i bardzo niskich stóp procentowych na świecie, bankowi centralnemu udało się uzyskiwać dość dobre wyniki inwestycyjne. W latach 2016–2020 NBP wypracował zyski, z których łączna wpłata do budżetu państwa przekroczyła 32 mld zł.

NOWE
MOŻLIWOŚCI

K590



Polska gospodarka z silnym fundamentem wzrostu

Rekordowe inwestycje, ale też doskonały zarząd nad spółkami Skarbu Państwa i w efekcie niespotykane w dotychczasowej historii rezultaty finansowe stały się jednym z filarów ożywienia. Z drugiej strony stanęliśmy przed wyzwaniem transformacji energetycznej i rewolucyjnych zmian w gospodarce – zauważyli paneliści podczas dyskusji „Nowe możliwości polskiej gospodarki” podczas Kongresu 590 zorganizowanego w Warszawie

W panelu wzięli udział: dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU, Wojciech Dąbrowski, prezes PGE, Paweł Majewski, prezes PGNiG, Marcin Chłudziński, prezes zarządu KGHM Polska Miedź, Tomasz Hinc, prezes Grupy Azoty, Krzysztof Nowicki, wiceprezes zarządu Grupy Lotos, Paweł Szczeszek, prezes Enea, Artur Michałowski, wiceprezes ds. handlu, p.o. prezes, Tauron.

Gościem specjalnym otwierającym panel był wicepremier Jacek Sasin, minister aktywów państwowych. Jak podkreślił na wstępie wicepremier, zanim doszło do globalnego kryzysu, polska gospodarka od kilku lat rozwijała się w bardzo dobrym tempie. Wzrost

gospodarczy był u nas jednym z najwyższych w UE, a my znajdowaliśmy się w czołówce najszybciej rosnących krajów.

– Wraz z kryzysem nastąpiło załamanie, a później odbicie o bardzo dużej skali. W tym czasie podjęliśmy również odważne decyzje. Mówimy tu o wpomowaniu setek mld zł – i to zarówno w postaci bezpośredniego wsparcia, jak i gwarancji, ulg czy np. kredytów gwarantowanych – zauważył Jacek Sasin.

Jego zdaniem utrzymane zostały również inwestycje – choć istniała pokusa, żeby w trakcie kryzysu zwiększać poziom oszczędności. – Jednak uznaliśmy, że jeśli ma być wzrost i ożywienie gospodarcze, muszą być też utrzymane programy inwestycyjne. I były one

w zeszłym roku rekordowe, zarówno z punktu widzenia całego państwa, jak i poszczególnych spółek. Obecnie mamy bardzo mocne fundamenty wzrostu gospodarczego. Spodziewam się, że w tym roku znowu przekroczymy 5 proc. PKB – dodał wicepremier.

Według niego, jeśli skumulujemy zeszłoroczny wynik gospodarki (spadek o 2,8 proc.) i obecnie szacowaną skalę wzrostu na br. rządu 5,1 proc. – a przy niektórych prognozach agencji ratingowych nawet 5,7 proc. – to możemy de facto uzyskać odbicie PKB w wysokości 8 proc. Jest to więc wynik, o jakim jeszcze kilka lat temu mogliśmy pomarzyć.

– Pamiętajmy też, że jesteśmy krajem o zdrowych finansach publicznych. To efekt polityki, którą prowadzimy od

sześciu lat, w tym m.in. uszczelniania budżetu i systemu podatkowego. Dzięki temu mieliśmy też pieniądze, żeby efektywnie wspierać gospodarkę w tym trudnym okresie – zauważył Sasin.

KLUCZOWE FINANSE

Do kwestii silnych finansów państwa i odpowiedniego zaplecza kapitałowego odniosła się także dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU. Jej zdaniem kierowany przez nią konglomerat finansowy – z aktywami blisko 400 mld zł – kojarzony przede wszystkim z ubezpieczeniami [ale też działający w sektorach bankowym, inwestycyjnym czy zdrowotnym – przyp. red.], spełnia wyjątkową funkcję w polskiej gospodarce.

– Skala i zakres dywersyfikacji naszej działalności pokazują ogromny potencjał rozwojowy grupy. Ponadto pozwala nam to zachować pewien bufor bezpieczeństwa w sytuacji szczególnych turbulencji, z jakimi przyszło nam się mierzyć w 2020 r. – podkreśliła Beata Kozłowska-Chyła.

Według niej dowodem na to są wyniki finansowe, które spółka wypracowała w zeszłym i w I połowie tego roku. – Na koniec czerwca br. osiągnęliśmy zysk w wysokości 1,7 mld zł i jest to wartość najwyższa od sześciu lat. Mamy największy przypis składki w dotychczasowej historii, wypłacamy też rekordową dywidendę w wysokości 3 mld zł i ta kwota powędruje do naszych akcjonariuszy, m.in. do Skarbu Państwa – dodała prezes PZU.

Jej zdaniem liczby te pokazują, jak istotną rolę w krajowym systemie finansowo-gospodarczym odgrywa Grupa PZU. Inwestując czy udzielając ochrony finansowej, spółka bardzo aktywnie przyczynia się do realizacji ogromnych projektów i wyzwań – w tym jednego z głównych, jakie stoją przed naszą gospodarką, a więc transformacji energetycznej. – Aktywnie wspieramy ten proces, udzielamy finansowania np. na farmy wiatrowe, ponadto inwestujemy w obligacje ESG. Przystąpiliśmy niedawno do państwowego programu rozwoju morskiej energetyki wiatrowej. Przygotowaliśmy również produkty ubezpieczeniowe, które są przeznaczone dla segmentu OZE – powiedziała Kozłowska-Chyła.

Według Artura Michałowskiego, wiceprezesa ds. handlu i p.o. prezesa Tauronu, szczególnie ważna dla gospodarki jest obecnie kwestia transformacji w kierunku zielonej energii. – Jest to z całą pewnością dobry zwrot, choć drogi i kosztowny z perspektywy prowadzenia działalności biznesowej. Jednak bez wsparcia państwa i odpowiedniego zaplecza ta ścieżka może być trudna w realizacji. I tu musimy pamiętać o odpowiednim finansowaniu – podkreślił Michałowski.

Biorąc pod uwagę, że Tauron działa na południu Polski, jego biznes koncentruje się m.in. na obsłudze przemysłu ciężkiego, górnictwa, hutnictwa, energetyki. Jednym z istotnych elementów będzie tu wyodrębnienie aktywów węglowych i powołanie Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego (NABE).

Artur Michałowski zwrócił też uwagę na konieczność budowy zaplecza magazynowego dla pozyskiwanej energii ze źródeł odnawialnych – tak aby była ona dostępna przy odpowiednio niskim i jednocześnie opłacalnym koszcie produkcji.

ODWAŻNA STRATEGIA

Z kolei Wojciech Dąbrowski, prezes PGE – największej grupy produkującej ciepło i energię elektryczną w Polsce – zwrócił uwagę na kluczowe założenia strategii w zakresie neutralności energetycznej. – Rok temu ogłosiliśmy bardzo odważną strategię osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r. Skupiamy się z naszym duńskim partnerem na inwestycjach w budowę farm wiatrowych na Bałtyku. I tu pierwszy prąd do naszych odbiorców powinien popłynąć już pod koniec 2026 r. Rozwijamy także fotowoltaikę oraz farmy wiatrowe na lądzie. W tym ostatnim segmencie jesteśmy dzisiaj największym producentem energii elektrycznej w kraju – podkreślił Dąbrowski.

Według niego spółka jest obecnie w dalece zaawansowanej transformacji energetycznej – a jej inwestycje w najbliższych latach mają sięgnąć kwoty 75 mld zł. – Zależy też nam, aby jak największa pula środków, które zamierzamy wydać na programy inwesty-

cyjne, trafiła do polskich podmiotów i tym samym zasilila również krajową gospodarkę – dodał szef PGE.

Krzysztof Nowicki, wiceprezes zarządu Grupy Lotos, zwrócił uwagę na to, że jego firma również znajduje się w fazie istotnych przeobrażeń [fuzja z PKN Orlen – przyp. red.], a jej celem jest budowa multienergetycznego koncernu. – Przygotowujemy się na całą skalę wyzwań. Musimy też wypracować model, w którym wszystkie paliwa uznawane dotychczas jako alternatywne płynnie wejdą do energetycznego krwioobiegu i będą budować wartość naszej grupy. Dlatego też koncentrujemy swoją uwagę np. na wodrze – dodał Nowicki.

Jego zdaniem, podobnie jak w przypadku PZU, znaczenie ma tutaj odpowiednia dywersyfikacja działalności, co umożliwi stabilne prowadzenie biznesu w zmiennym i konkurencyjnym otoczeniu.

PRESJA NA ZMIANY

Tomasz Hinc, prezes zarządu Grupy Azoty – jednego z liderów europejskiego rynku nawozowego – zauważył, że w obecnej chwili rosnące ceny gazu są istotnym problemem dla branży i produkcji przemysłowej. – Taka sytuacja przekłada się na wzrost cen produktów. Filarem naszej działalności oprócz nawozów są także tworzywa sztuczne. Dywersyfikując działalność, podjęliśmy m.in. decyzję o budowie fabryki polimerów w Policach, która też istotnie wpłynie na polepszenie polskiego bilansu w eksporcie i imporcie tworzyw – dodał Hinc.

Jego zdaniem, biorąc pod uwagę bardzo restrykcyjne założenia polityki klimatycznej, Grupa Azoty musi podjąć wiele działań w kierunku transformacji – a założenia w tym zakresie zostaną opublikowane jeszcze w październiku, w ramach strategii na lata 2021–2030.

Natomiast Paweł Szczeszek, prezes zarządu Enei, zwrócił uwagę na presję ekonomiczną i czasową, w jakiej dokonywane są obecne zmiany. – Przede wszystkim wytwarzanie energii elektrycznej z węgla stało się bardzo nierentowne ze względu na blisko trzykrotny wzrost opłaty z tytułu emisji dwutlenku węgla w ciągu kilkunastu

miesiący. Mamy czasowy nacisk na zmniejszenie gazów cieplarnianych. Dlatego konieczne są odpowiednie narzędzia do przeprowadzenia tego procesu – powiedział Szczeszek.

Jego zdaniem warunkiem koniecznym, który otwiera drogę do zmian i umożliwi przygotowanie spółek do transformacji, jest stworzenie wspomnianej już wcześniej NABE. Chodzi m.in. o możliwość skutecznego konkurowania z prywatnymi podmiotami, które funkcjonują coraz powszechniej na polskim rynku. Drugim elementem jest zbudowanie szerokiego spektrum – wręcz całej filozofii działania sektora energetycznego – opartego na zielonej energii.

Paweł Majewski, prezes zarządu PGNiG, odniósł się do zeszłorocznych, doskonałych wyników grupy kapitałowej. – Ubiegły rok był wyjątkowy, udało nam się bowiem wywalczyć kilka miliardów złotych należności od Gazpromu. Pomijając jednak ten efekt, sytuacja finansowa grupy jest stabilna. Pamiętajmy, że oprócz działalności biznesowej w naszej misji kluczowe znaczenie ma zapewnienie ciągłości dostaw gazu dla polskiego odbiorcy – podkreślił Majewski. Szef PGNiG dodał też: – Z tym wiąże się również konieczność dywersyfikacji dostaw surowca na polski rynek. A podobnie jak my także nasi partnerzy na Zachodzie widzą, że Rosja za pomocą Gazpromu steruje w pewnym sensie europejskim rynkiem gazu.

Z kolei Marcin Chludziński, prezes zarządu KGHM Polska Miedź, skupił swoją uwagę na wyzwaniach związanych z transformacją energetyczną. – Opieramy się na strategii 4E (efektywność, elastyczność, e-przemysł, ekologia), która przynosi dobre efekty. Jednak największe koszty – oprócz pracy – stanowi właśnie zaopatrzenie w energię. Stąd, aby wygrywać w następnym dziesięcioleciu, musimy sobie zapewnić stabilne, efektywne i ekonomiczne źródła energii – dodał Chludziński.

Wskazał tutaj m.in. na fotowoltaikę, źródła gazowe, ale też wykorzystanie małych reaktorów jądrowych.

KP

Rynek finansowy – jak odpowiada na nowe potrzeby Polaków?

Pandemia uzmysłowiła wszystkim, że w każdej chwili musimy być gotowi na nieoczekiwane zagrożenia. Szeroko rozumiane bezpieczeństwo – fizyczne, psychiczne, finansowe, cyfrowe, zarówno własne, jak i rodziny, biznesu, pracowników – to dziś najbardziej pożądane i poszukiwane dobro. Zapewnienie go to wielkie wyzwanie i zarazem szansa rozwoju dla sektora finansowego

Nad najważniejszymi dla bliskiej przyszłości trendami na rynkach ochrony zdrowia, finansowym i ubezpieczeniowym zastanawiali się uczestnicy tegorocznej edycji Kongresu 590. W panelu „Jak rynek finansowy odpowiada na nowe obawy, nadzieje i możliwości Polaków?” udział wzięli: Katarzyna Szwarz, pełnomocnik ministra finansów ds. strategii rozwoju rynku kapitałowego, Małgorzata Sadurska, członek zarządu PZU SA, Robert Zapotoczny, prezes PFR Portal PPK, Jan Grzegorz Prądyński, prezes zarządu Polskiej Izby Ubezpieczeń, Maciej Brzozowski, wiceprezes zarządu Alior Banku.

OBAWY POLAKÓW

– W jednym z ostatnich raportów staraliśmy się pokazać, jak ubezpieczyciele są gotowi do odpowiedzi na obawy Polaków, czy są w stanie im sprostać. Oczywiście tak, mamy obecnie w ofercie takie produkty, żeby nie tyle zapewnić bezpieczeństwo, ile wspomóc w trudnych momentach życia, jak ciężka choroba. Pomagamy klientom oszczędzać długoterminowo, czy po prostu tak, by mieli te pieniądze w zapasie – na wstępie zaznaczył prezes PIU Grzegorz Prądyński. – Zdecydowanie widać większe zainteresowanie produktami zdrowotnymi po pandemii i ubezpieczeniami na życie.

Pełnomocnik ministra finansów ds. strategii rozwoju rynku kapitałowego zauważyła z kolei, że rynek finansowy to lustro, w którym przegląda się cała nasza gospodarka. Odbijają się w nim panujące nastroje – ostatnio np. widać wyraźny wzrost aktywności inwestorów w produkty związane z pandemią.

– Zaobserwowaliśmy w skali globalnej aż 30 proc. wzrostu emisji obligacji społecznych, czyli papierów wartościowych, które umożliwiają m.in. finansowanie projektów nastawionych na poprawę ochrony zdrowia. Natomiast na Zachodzie wśród młodszych inwestorów widać zainteresowanie w inwestowanie w produkty odpowiadające na bardzo konkretne wyzwania. Chociażby klimatyczne. Nie ma takich badań obecnie wśród inwestorów polskich, ale jestem przekonana, że wyniki byłyby podobne – stwierdziła Katarzyna Szwarz.

PRZED WSZYSTKIM ZDROWIE I OPIEKA ZDROWOTNA

Zdrowie i dostęp do opieki zdrowotnej stały się kluczowymi elementami dobrostanu w społeczeństwie, co jest oczywiste w obliczu pandemii.

– Im mniejsze poczucie bezpieczeństwa, tym większa potrzeba ochrony. Zainteresowanie produktami ubezpieczeniowymi w pandemii wzrosło w porównaniu z rokiem 2019. Zauważamy

wzrost świadomości rodaków szczególnie w kwestii ubezpieczeń zdrowotnych – obecnie posiada je ponad 3 mln Polaków i rynek ten ma bardzo duży potencjał rozwojowy – mówiła Małgorzata Sadurska, członek zarządu PZU.

Grzegorz Prądyński dodał, że dopóki system ochrony zdrowia w Polsce nie będzie spójny, dopóty nie nastąpi szybki rozwój rynku dodatkowych ubezpieczeń zdrowotnych. W jego opinii system prywatnych ubezpieczeń zdrowotnych to system suplementarny, a tak nie powinno być. Wymaga to pogłębionej dyskusji społecznej, tak by wybrać dla Polaków najbardziej odpowiednie możliwości dostępu do ochrony zdrowia.

OSZCZĘDNOŚCI POLAKÓW

Krajowy Rejestr Długów w styczniu br. sprawdził, jakimi oszczędnościami dysponują Polacy. Blisko jedna czwarta (24 proc.) respondentów deklaruje, że nie ma oszczędności. Więcej niż co dziesiąta (11,5 proc.) osoba trzyma na czarnej godzinie mniej niż 1 tys. zł. Od 1 tys. do 4,9 tys. zł ma 17 proc. Polaków, a prawie jedna trzecia deklaruje oszczędności wyższe niż 5 tys. zł.

Prezes Robert Zapotoczny wyjaśniał, czy pandemia, ostatni rok, przyniosły w kwestii oszczędności Polaków jakieś pozytywne zmiany.

– Na początku drugiego kwartału 2020 r. zaobserwowaliśmy wzrost o blisko 100 tys. osób aplikujących do I fazy PPK. Wydaje mi się, że dotychczas mieliśmy trudności z kwestią zaufania do programów emerytalnych, które zostało podważone w czasie zmian funkcjonowania otwartych funduszy emerytalnych. Zabrakło komunikacji, informacji i ostatecznie zaufanie drastycznie spadło w 2013 r. Musimy to obecnie odbudowywać. Pandemia obnażyła rzeczywiste wartości, które dają ochronę. Budowanie oszczędności w miejscu pracy wydają się sporą strefą rozwoju na przyszłość. Jestem wielkim orędownikiem PPK. Dzięki codziennej pracy widać, że ludzie



Małgorzata Sadurska,
członek zarządu PZU SA

przekonują się do tego systemu – powiedział Zapotoczny.

Z kolei minister Katarzyna Szwarz podkreśliła, że w sprawie oszczędności Polaków ma dwie wiadomości: optymistyczną i pesymistyczną.

– Dobra wiadomość jest taka, że coraz więcej Polek i Polaków oszczędza. Pojawia się czasem taka narracja, której nie lubię, że winna niskiej stopie oszczędności jest słaba edukacja finansowa. To nie jest do końca prawda. Mimo że nasza gospodarka się rozwija, wciąż część z nas nie ma po prostu z czego oszczędzać. Coś pesymistycznego? Mimo że coraz więcej z nas oszczędza, to niewielu inwestuje oszczędności. Na giełdzie i w fundusze inwestycyjne inwestuje odpowiednio tylko 5 i 6 proc. Polaków. Wciąż wielu inwestorów za najbardziej atrakcyjne uznaje lokowanie oszczędności w nieruchomościach, ale i w... kryptowalutach. Tutaj zauważamy, że dla nas – dla ministerstwa to największe wyzwanie. Chcemy, żeby inwestowanie było łatwiejsze, ale także bezpieczniejsze. Mówię o pasywnym inwestowaniu. Pracujemy nad regulacjami, które pozwolą funkcjonować funduszom ETF – zaznaczyła.

CYFRYZACJA

W ostatnich miesiącach nastąpił gwałtowny rozwój cyfryzacji – co widać w codziennym życiu. Coraz więcej

Polaków robi zakupy w sieci czy załatwia sprawy urzędowe przez internet.

– Pod koniec lat 90. czytałem książkę o tym, jak rozwinie się postęp elektronicznych kanałów dystrybucji. Nikt nie przewidział wtedy tego, co mamy obecnie. Jak się okazuje, jeszcze przed pandemią zauważyliśmy spory rozwój. Natomiast covid jednym ruchem zmienił reguły gry. Spowodował, że pewnymi instrumentami posługujemy się nie dlatego, bo chcemy, a po prostu nie mamy innego wyjścia. Cała rzesza ludzi nie wyobraża sobie już współpracy z bankami bez możliwości wykorzystania kanału online. Zatem, jako instytucje finansowe,

dbające o współpracę z klientem, nie mamy wyboru, musimy się dostosować do tych zmian. Trzeba jednak podkreślić, że nie ma możliwości, by całkowicie zrezygnować z bezpośredniego kontaktu z klientem. Oddziały muszą i będą funkcjonować, choć pewnie będzie ich mniej. Ale bankowcy nadal będą mieć dobry, bezpośredni kontakt z klientem, bo są też takie osoby, które tego po prostu wymagają – przyznał Maciej Brzozowski, wiceprezes zarządu Alior Banku.

Brzozowski dodał też, że banki sprzedają coraz więcej produktów nie tylko finansowych. – W czasie pandemii transformacja w Polsce przyspieszyła w ciągu roku o dekadę. Grupa PZU odpowiada jednak na oczekiwania wszystkich klientów – zarówno cenionych nowoczesnych form kontaktu, jak i tych preferujących tradycyjne kanały. Nasi klienci mogą załatwić sprawy online, ale drzwi do naszych oddziałów są zawsze szeroko otwarte. Klienci zawsze mogą przyjść i porozmawiać z doradcą ubezpieczeniowym, wszystko po to, by czuli się komfortowo – zapewniała Małgorzata Sadurska.

W podobnym tonie debatę podsumowali pozostali prelegenci. Potwierdzili, że nie uda się w wielu sferach przenieść zadań całkowicie do trybu zdalnego. Chociażby przy ubezpieczeniach zdrowotnych wydaje się to niemożliwe. ➤

(KG)



Transformacja skazana na sukces

PKP CARGO widzi swoją przyszłość rynkową jako silny europejski operator logistyczny. Transformacja z firmy przewozowej w logistyczną już trwa. Nie przeszkodziła jej pandemia ani przejściowe załamanie gospodarek europejskich

Po 20 latach obecności na rynku TSL (transport – spedycja – logistyka) firma ma już silną pozycję w regionie Trójmorza. Teraz zamierza wyjść poza ramy europejskiego transportu i aktywnie uczestniczyć w projekcie nowego jedwabnego szlaku. Już teraz liczby wskazują, że te ambicje nie są na wyrost. Dynamika wzrostu w przewozach multimodalnych, jaką wykazuje spółka PKP CARGO w ostatnich latach, jest dwucyfrowa. A prze-

wozy intermodalne stanowią już 1/5 wszystkich realizowanych przez firmę, tymczasem średnia dla całego polskiego rynku to około 12 proc.

Spółka w szybkim tempie staje się międzynarodowym operatorem logistycznym świadczącym kompleksowe usługi w zakresie transportu intermodalnego, w tym przeładunków, magazynowania i usług celnych. Dzięki temu zaczyna odgrywać poważną rolę w transporcie towarów z Chin do

Polski i innych krajów europejskich. Samodzielnie realizuje przewozy intermodalne do Niemiec, Holandii, Czech, Austrii i na Słowację, a w ramach Grupy PKP CARGO także na Węgry i do Słowenii.

Zarząd spółki nie ukrywa, że przekształca się w operatora logistycznego o zasięgu międzynarodowym. – Chcemy być firmą usługową, świadczącą przewozy „od drzwi do drzwi”, w odpowiednim czasie i w odpowied-

niej cenie. To jest nasza specjalizacja i nasza wartość – mówi Czesław Warszewicz, prezes zarządu PKP CARGO.

TU JEST POTENCJAŁ

By stać się ważnym europejskim graczem logistycznym, spółka PKP CARGO położyła nacisk na kompleksowość i wszechstronność swojej oferty.

Stawia na kompleksowość obsługi takich branż jak budowlana, hutnicza, górnicza, spożywcza i motoryzacyjna. Poza tym PKP CARGO ma dla każdego klienta ofertę All In, która zawiera usługi spedycyjne, celne, przeładunkowe i dowozy do ostatecznego odbiorcy.

By świadczyć tak szeroki zakres usług, spółka ma do dyspozycji odpowiedni tabor: 2 tys. lokomotyw i 58 tys. wagonów, co stawia ją na pierwszym miejscu w kraju pod względem potencjału przewozowego. A to w praktyce oznacza wielką skalę działania. W minionym roku Grupa PKP CARGO (do której należy PKP CARGO), dzięki 21-tysięcznej załodze, przewiozła 93,6 mln ton towarów. Już co czwarty pociąg obsługiwany przez spółkę PKP CARGO na trasach zagranicznych to pociąg kontenerowy.

ELEMENTY UKŁADANKI

Logistyka to niewidoczny dla konsumenta krwiobieg, który pozwala sprawnie funkcjonować całej gospodarce. Ale wszystko zaczyna się od przewozu towarów. Zaplecze techniczne i posiadane know-how czynią spółkę PKP CARGO partnerem pierwszego wyboru w przewozach dla największych polskich firm, a także globalnych korporacji obecnych na naszym rynku. PKP CARGO od lat przewozi produkty masowe typu węgiel, koks, materiały budowlane, chemiczne czy paliwa, ale ostatnie lata to także branże automotive i przesyłki specjalne. W sumie firma dziennie przewozi ok. 300 tys. ton ładunków.

Jednak zarząd spółki PKP CARGO od dawna stawia na przewozy intermodalne. Dziś PKP CARGO jest wiodącym przewoźnikiem w tym segmencie przewozów. Ekspertcy są zgodni, że przewozy intermodalne bardzo szybko stają

się zasadniczą częścią kolejowego transportu towarowego. Mimo że przewozy intermodalne są na naszym rynku wciąż na niższym poziomie (jako wskaźnik przewozów ogółem) niż w krajach europejskich, to różnica systematycznie maleje, a dynamika ich wzrostu osiągała w ostatnich latach dwucyfrowe wartości. W 2020 r. przewiezionych zostało przez kolej 660 tys. kontenerów.

Wartością dodaną operatora logistycznego jest kompleksowość usług, w tym usługi spedycyjne. W Grupie PKP CARGO znajduje się spółka PKP CARGO CONNECT, posiadająca własną infrastrukturę logistyczną, na którą składają się cztery terminale przeładunkowe i magazyny we wschodniej części kraju oraz 18 agencji celnych na terenie kraju. Spółka ta oferuje spedycję kolejową, samochodową oraz morską i lotniczą w Polsce i w innych krajach Europy. Taki potencjał pozwala jej realizować 46 tys. zleceń w ciągu roku.

Jak ważne dla logistyki jest posiadanie własnej infrastruktury, przekonali się ci operatorzy, którzy bazowali na zlecaniu usług przeładunkowych firmom zewnętrznym. W dobie pandemii te łańcuchy się pozrywały. Spółka PKP CARGO ma tę przewagę nad konkurencją, że posiada 25 własnych terminali przeładunkowych w najważniejszych lokalizacjach w Polsce (Poznań, Warszawa, Gliwice), w tym wyspecjalizowane centrum logistyczne w Małaszewiczach, przy granicy z Białorusią, zwane bramą z Chin do UE (aktualnie spółka modernizuje i rozbudowuje ten terminal). Do tego dochodzą dwa centra logistyczne i pięć terminali kontenerowych.

SOLIDNY PARTNER

Podczas uroczystych obchodów 20-lecia działalności spółki, jakie miały miejsce na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych (PKP CARGO jest notowana na GPW od 2013 r.), prezes zarządu Czesław Warszewicz podkreślił, że pandemia COVID-19 nie miała większego wpływu na realizację strategii spółki – konsekwentnego przekształcania się z przewoźnika kolejowego w operatora logistycznego.

– Nasz udział w polskim rynku wzrósł w tym roku o 2 proc., a przewozy zagra-

niczne o 20 proc. Udało nam się ustanowić stałą siatkę połączeń, zarówno krajowych, jak i międzynarodowych – wylicza Warszewicz. Dodaje, że w tym roku PKP CARGO zakupiło fabrykę wagonów, co w przyszłości zwiększy możliwości przewozowe całej Grupy PKP CARGO.

Prezes Warszewicz jest przekonany, że jako operator logistyczny spółka będzie bardzo szybko odchodziła od przewozów towarów masowych, takich jak węgiel, chemikalia czy paliwa, na rzecz transportu intermodalnego. Nie oznacza to jednak pewnej dozy elastyczności i dostosowywania się do wyzwań, które się pojawiają, np. takich jak w okresie pandemii było zerwanie dotychczasowych łańcuchów dostaw. – Z takich okazji firma logistyczna powinna korzystać – przyznaje prezes PKP CARGO.

Szansę na stanie się znaczącym graczem w europejskiej logistyce dostrzega przede wszystkim w rozwijaniu infrastruktury własnej (terminale), skoncentrowaniu się na przewozach intermodalnych i korzystaniu z okazji, jakie daje sytuacja rynkowa. Na przykład dziś, kiedy koszty paliw szalenie wzrosły, a szlaki transportowe stały się mniej bezpieczne, kolej stała się konkurencyjna co do ceny wobec transportu morskiego, który jest już trzy razy droższy od tego po torach.

Podczas jubileuszowych uroczystości na warszawskim parkiecie minister infrastruktury Andrzej Adamczyk podkreślił, że dziś PKP CARGO jest firmą ofensywną na skalę europejską. Stąd dostrzega szansę, by stała się ona elementem hubu transportowego, dołączając do takich przedsięwzięć jak Centralny Port Komunikacyjny (CPK), Via Carpatia i Via Baltica.

Prezes Warszewicz jest przekonany, że mając tak olbrzymi potencjał infrastrukturalny i znakomite położenie Polski na skrzyżowaniu szlaków komunikacyjnych (Wschód–Zachód i Północ–Południe), nasz kraj może odgrywać rolę hubu logistycznego obsługującego międzynarodową wymianę, nie tylko między Unią Europejską a Chinami i innymi państwami Europy oraz Azji, lecz także z innymi kontynentami.

DS



Sekrety



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Chociaż może się to wydawać zaskakujące, wiele wskazuje na to, że właśnie u nas żyje największa słodkowodna ryba świata. Sum europejski Silurus glanis. Jak wielki może być? Od dawna pojawiają się doniesienia o istnieniu pięciometrowego drapieżnika, żyjącego w słodkich wodach naszej części świata. Czy to możliwe?

Największy spośród współcześnie zmierzonych i zważonych sumów z rzeki Pad we Włoszech ważył 144 kg i mierzył 278 cm długości (Pod koniec września tego roku na mazowieckim odcinku Wisły wędkarze złapali suma giganta, który mierzył 261 cm. To nowy rekord Polski). Imponu-

jące – niewiele ryb słodkowodnych, nawet żyjących w Mekongu czy Amazonce, osiąga bowiem podobne rozmiary.

Bardzo prawdopodobne jest jednak, że możliwości sumów w tym zakresie są dużo, dużo większe, znane są bowiem zarówno z żarłoczości, szybkiego wzrostu, jak i długowieczności. Zresztą wiek osiągany przez te wielkie ryby jest wciąż zagadką. Nie znamy jego górnej granicy, a w literaturze można znaleźć informacje określające ją na około 80 lat – z zastrzeżeniem, że jest to wartość orientacyjna. Należy przypuszczać, że ewentualna korekta dotyczyłaby raczej podniesienia jej w górę.

W wielu naukowych źródłach uparcie przewijają się doniesienia dawniejszych przyrodników, osób wiarygodnych i cieszących się autorytetem do dziś, mówiące o sumach mierzących 5 m długości i ważących 300–400 kg, jakie spotykano w Dunaju, Dnieprze czy węgierskiej Cisie. Czy należy w to wątpić? Pisali o nich cenieni badacze, tacy jak Węgier Herman Ottó czy słynny niemiecki klasyk zoologii Alfred Brehm.

Warto zauważyć, że dawne rzeki, czyste, nieprzegrodzone zaporami i swobodnie się rozlewające, oferowały rybom znacznie lepsze warunki. Największa, jaka kiedykolwiek pojawiała się w naszych wodach – bałtycki jesiotr ostroń – wyginęła całkowicie, właśnie na skutek regulacji i grodzenia rzek. Nie zapominajmy jednak, że mówiąc o dawnych relacjach, nie mamy na myśli legend czy zmyśleń, lecz informacje

zbierane przy użyciu metod wprawdzie innych niż obecnie, lecz ogarniające niepomniernie dłuższy czas niż ten, do którego odnosi się współczesna nauka. Istnienia pięciometrowego suma nie można więc wykluczyć.

NA GŁĘBINIE

Niezależnie od rozmiarów maksymalnych, niewątpliwie imponujących, sum jest rybą niezwykłą. Szaro-zielonkawo-marmurkowy, o małych, niepokojących oczkach, wielkiej paszczy z wieloma rzędami zębów ułożonych na kształt ostrych, chwytanych tarek, z długą częścią ogonową, małą, nieco rekinia płetwą grzbietową i dużymi, okrągłymi jak paletki do ping-ponga płetwami piersiowymi, ze swoimi sześcioma długimi i sztywnymi jak drut wąsami, jest osobliwością naszej ichtiofauny.

W jeziorach jest rzadki, a choć przyciąga go ciepłe wody w miejscach zrzutów z elektrowni, ulubionym i tradycyjnym środowiskiem życia suma są duże rzeki z leniwie płynącym nurtem, dużą liczbą odnóg, zakoli, piaszczystych łach graniczących z głębiną. Dnie często spędza w takich właśnie dołach, kilkumetrowej głębokości, zwanych dawniej kołbaniami. Na polowanie wyrusza w nocy. Czasem świadczy o tym nagły, solidny plusk, jakby do rzeki wpadł pień drzewa lub głaz – to sum na płyciźnie głuży drobnie.

Potrafi również ostrożnie się skradać za płynącą rybą. Dzięki narządowi roz-

suma

mieszczonemu wzdłuż ciała, nazywanemu linią boczną, wyczuwa nawet bardzo delikatne ruchy wody. Prowadzone w podczerwieni obserwacje sumów wykazały, że dzięki wyczulonej linii bocznej w absolutnej ciemności sumy podążają za pływającą ofiarą tak precyzyjnie jak człowiek, idący po wyraźnych śladach. Mają również doskonały węch; ich kubki smakowe rozmieszczone są na całym ciele i wychwytyują najmniejsze nawet drobinki zapachowe.

Na bliską odległość sum wykorzystuje swoje bardzo czułe, wysunięte do przodu wąsy, działające jak precyzyjne lokalizatory. Dwa większe, kilkudziesięciocentymetrowej długości, wystają u góry paszczy, a cztery krótsze u dołu.

W końcu następuje atak: potężna plestwa ogonowa dodaje sumowi nagłego przyspieszenia, o jakie nie podejrzwalibyśmy tej pozornie powolnej ryby, otwarcie paszczy powoduje zassanie wody wraz z ofiarą, która znika w sposób zbyt szybki, aby uchwycić to ludzkie oko.

NIEBEZPIECZNY DRAPIEŹNIK

Ta niezwykła ryba obecna jest w licznych opowieściach, choćby takich, w których wielki sum wciągał i topił człowieka, niemającego się uwolnić od liny, na końcu której był drapieżnik. Istnieje legenda znad Biebrzy o wielkim sumie, władcy rzeki, mieszkającym w rejonie Osowca. Znane i potwierdzone są historie o atakach sumów na ludzi – sumy są terytorialne, a w okresie rozrodu ryby bronią miejsc, w których złożona jest ikra. Atakują wówczas, gryząc wszystko, co pojawi

się w pobliżu i zostanie uznane za zagrożenie, obojętne, czy jest to inna ryba, bóbr, piżmak czy człowiek. Same obyczaje rozrodcze sumów są zresztą również ciekawostką. Budują one bowiem gniazdo, oczyszczając dno z roślinności i formując zagłębienie, aby bronić ikry, a następnie małych, szklistych sumików, które się z niej wyklują.

Nad Dunajem, w dolnym biegu tej rzeki, łowienie sumów ma odwieczną tradycję, a wiele dawnych metod wpisało się w miejscowy folklor. To stamtąd pochodzi niezwykle malownicza metoda wabienia sumów. Gdy w letnią, parną, przedburzową noc żerujące sumy podpływają z głębin ku powierzchni, rybacy uderzają o powierzchnię wody tak zwanymi kwokami, przypominającymi odwrócony kubek i wydającymi odgłos podobny do tego, jaki wydaje sum, zasyssając ofiarę. Odgłosy żerowania – a w zasadzie odgłosy naśladowane przez rybaków – przywabiają drapieżniki liczące na obfitość pokarmu, a także chcące się zmierzyć z konkurentem w swoim rewirze (najchętniej zjadając go).

NATURA ŁOWCY

Kiedy mowa o rybach, często dotyka się tematu wędkarstwa. Istnieją zwolennicy całkowitego zakazania amatorskiego połowu ryb. Inni są za łowieniem ryb, lecz z bezwzględnym nakazem ich wypuszczania. Jeszcze inni preferują model tradycyjny, w którym złowioną rybę zabiera się, żeby ją zjeść. Co sądzić o wędkarstwie?

W głębi naszej natury wciąż jesteśmy łowcami, tak jak byliśmy nimi setki ty-

sięcy lat. W każdym razie dotyczy to wielu ludzi, którzy wciąż odczuwają łowiecki zew. Tego nie zmienimy. Nie możemy jednak zapominać o fakcie kurczenia się środowiska naturalnego i jego zasobów. Co mają więc robić osoby, dla których łowienie i ryby są ważne?

Możliwości realizacji ichtiologiczno-wędkarskich pasji są różne. Na wielkie sumy można polować na przykład w Hiszpanii, w wodach, w których dorastają olbrzymich rozmiarów, są jednocześnie gatunkiem obcym, wsiedlonym nieroztropnie przez ludzi, inwazyjnym i tępiącym rodzimą faunę. Podczas gdy u nas mówi się o ochronie sumów, dla tamtejszej przyrody są one zagrożeniem.

Można wkraczać w podwodny świat w sposób bezinwazyjny. Jakiś czas temu odkryłem – i zafascynowałem się – obserwacjami ryb przy użyciu podwodnej kamery. Pozwala na poznanie zachowania ryb w ich naturalnym środowisku. Z zaskoczeniem też zobaczyłem gatunki, o których obecności nie przekonałbym się w inny sposób. Można więc oglądać, cieszyć się obecnością ryb, ale ich nie łowić.

Czy tradycyjny model wędkarstwa, w którym złowioną rybę zabiera się do domu po to, żeby ją zjeść, jest godny potępienia? Jeżeli robimy to w sposób rozsądny i umiarkowany, nie dążymy do przetrzebienia ryb, przestrzegamy wymiarów i okresów ochronnych, tak żeby nie zakłócać tarła i umożliwić pojawianie się kolejnych pokoleń i trwanie gatunków... Jeżeli odnosimy się z szacunkiem do ryb i ich wodnego środowiska życia? Cóż, jeżeli jako ludzkość tylko w ten sposób ingerowalibyśmy w przyrodę, niepotrzebne byłyby czerwone księgi i listy ginących gatunków, a świat byłby bliski ideału.

RUKMINI IYER

AUTORKA KSIĄŻKI „UPIECZ TO!”

Gdy obiad szykuje się sam



W Wielkiej Brytanii rozpoznaje ją każdy, kto ceni dania wyrafinowane, ale też te proste w wykonaniu, smaczne i zdrowe. Oczywiście w każdej opcji jedzenie podane jest tak, że chce się zasiąść do stołu.

Rukmini Iyer zawodowo zajmuje się tzw. stylizacją jedzenia. Książkę „Upiecz to!” (która ukazała się właśnie nakładem Wyd. Znak Literanova) napisała ponoć z myślą o samej sobie. Kiedy po całym dniu tworzenia wyszukanych kompozycji kulinarnych wracała zmęczona do domu i marzyła tylko o odpoczynku. Trzeba było jednak przygotować coś do jedzenia. By jak najbardziej skrócić ten czas, niemal całą pracę postanowiła sdelegować na... piekarnik.

Ponad milion wykupionych egzemplarzy i opinie czytelników potwierdziły, że poradnik „Upiecz to!” jest skutecznym sposobem na „porządkoporną kuchnię”. Najważniejsza okazała się w nim prostota.

Czas potrzebny na przyszykowanie składników to zaledwie kilkanaście minut. Pieczenie – w zależności od przepisu – od 30 min do godziny. W wyjątkowych okolicznościach, gdy na gości czekać będzie np. udziec jagnięcy z harissą czy czosnkowa pieczeń wieprzowa

po filipińsku, danie trafia do piekarnika nawet na trzy godziny. Jednak w każdym przypadku – zapewnia autorka – dzieje się to „po naprawdę szybkim i łatwym przygotowaniu składników”.

Potrzebne przybory kuchenne? Naczynie żaroodporne, deska do krojenia i nóż. Zabawa zaczyna się na poziomie wyboru składników. Książka zawiera tabele z propozycjami łączenia składników i ponad 70 przepisów, których ponoć nie można zepsuć.

Autorka uczy radzenia sobie w kuchni bez inwestowania w dodatkowe sprzęty. Podpowiada: „...możesz sięgnąć po brytfankę, blachę do pieczenia lub dowolne naczynie żaroodporne (szklane lub ceramiczne) albo po

plytką formę do zapiekanki – sprawdzi się tu każde naczynie żaroodporne. Jeżeli zaś chcesz przygotować potrawę, którą nakarmisz gromadę gości, na przykład pieczone na blasze wędzone kielbaski z batatami i czerwoną cebulą, użyj dużej blachy do pieczenia – takiej, jaka znajduje się w każdym piekarniku”.

Większość przepisów przeznaczona jest dla czterech osób. – Z niejedzonych resztek można przyrządzić naprawdę znakomity posiłek na następny dzień – podpowiada Iyer. – Jeśli chcesz wzbudzić zazdrość wśród znajomych z pracy podczas przerwy na lunch, zapakuj do pudełka makaron orzo z brokulami, kurczaka z awokado i ryżem lub orkisz z chorizo.

Na koniec zapewnia: – Przygotowanie posiłku na blasze wymaga minimum pracy – na początek wystarczy z grubsza pokroić składniki, a na koniec spróbować ich, dodać soli lub skropić sokiem z cytryny. I co najważniejsze, obiad przygotowuje się sam.

Jolanta Gajda-Zadworna

Pikantne skrzydełka kurczaka

Porcje: 4. Czas przygotowania: 10 min.

Czas pieczenia: 1 godzina.

Składniki: 800 g skrzydełek kurczaka z wolnego wybiegu, 800 g batatów, obranych i pokrojonych na kółeczki o grubości 2½ cm, 2 łyżeczki papryki chipotle w płatkach, 1 łyżeczka wędzonej papryki, 1 łyżka cukru muscovado, 3 łyżki oliwy z oliwek, sól morską, 1 limonka, 4–5 łyżek jogurtu greckiego, garść liści świeżej kolendry, posiekanych, liście świeżej kolendry i ćwiartki limonki do podania.

Wykonanie: Rozgrzej piekarnik do 150°C w trybie z termoobiegiem / 170°C bez termoobiegu. W piekarniku gazowym ustaw pokrętkę na 3. Włóż skrzydełka kurczaka i kawałki batatów do dużej brytfanki. Osobno wymieszaj płatki chipotle, wędzoną paprykę, cukier, oliwę z oliwek, 2 łyżeczki soli morskiej oraz skórkę i sok z połowy limonki. Otrzymaną miksturą polej kurczaka i bataty, po czym wymieszaj wszystko rękami, żeby składniki równomiernie się nią pokryły. Całość wsuń do piekarnika. Piecz przez 40 min. Po tym czasie podkręć temperaturę do 180°C w trybie z termoobiegiem / 200°C bez termoobiegu. W piekarniku gazowym ustaw pokrętkę na 6. Piecz przez kolejne 20 min, aż skórka kurczaka stanie się chrupka. W tym czasie wymieszaj jogurt, posiekaną kolendrę, skórkę i sok z połowy limonki oraz szczyptę soli morskiej. Odstaw na bok. Posyp chrupiące skrzydełka i bataty listkami kolendry. Podawaj danie z ćwiartkami limonki oraz dipem jogurtowym.





SŁODKO-SŁONY

Śliwki z pieca

ANNA MONICKA

Moim jesiennym pewniakiem zawsze była stara śliwa węgierka u ciotki na wsi. Porośnięta mchem i powykręcana jak spracowane dłonie. Miała swoje chimery, zdarzało jej się przed czasem pozrzucić niedojrzałe owoce albo w ogóle odmówić współpracy. Zazwyczaj jednak co dwa lata rodziła tyle, że cała rodzina najadała się genialnymi śliwkami, a ciotka przez parę wieczorów walczyła z wyciąganiem pestek, a potem przez kilka następnych smażyła powidła. Nie musiała nawet do nich dosypywać cukru, bo miąższ miał pod dostatkiem własnej słodyczy. W tym roku jednak było tak zimno, gdy drzewko kwitło, a potem tak sucho latem, że marzenia o jesiennym smażeniu powideł rozwiąły się dość wcześnie. Podobnie było z gruszkami, a i jabłonki się nie popisały. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będą miały okazję, po poziom wód gruntowych na Pojezierzu Drawskim obniżył się tak bardzo, że wyschły trzy stawiki, przy których przedwojenni gospodarze posadzili sad.

Musiałam się więc rozejrzeć za jakimś sadownikiem z węgierkami. Próbowалам robić powidła z innych śliwek, bo teraz jest mnóstwo nowych odmian, ale nie wychodziły smaczne. Węgierki mają jednak zapach, którego nie da się podrobić. Na szczęście rodzice dopadli na bazarze w swoim miasteczku miłego pana, który miał lekko już pomarszczone, ale bardzo słodkie owoce. Przywieźli mi trzy wielkie siaty, no i się zaczęło obieranie.

W tym roku postanowiłam, że potraktuję je tak, jak zwykle paprykę – czyli upiekę. Mam głęboką żeliwną blachę, do której zmieściły się wszystkie. W piekarniku robi się przetwory rewelacyjnie – ogrzane ze wszystkich stron pięknie i równomiernie odparowują. Co jakiś czas trzeba tylko przemieszać, żeby za bardzo się nie spiekły z wierzchu. Pod koniec trzeba tylko skosztować – ja moje lekko podsypałam cynamonem, żeby podbić naturalny smak, i dosłodziłam odrobinę miodem. Niczego więcej nie potrzebowały i po dwóch dniach załadowałam je do słoiczków, które zapasteryzowałam w piekarniku.

Powidła zimą są doskonale do ciasta, białego sera oraz węgijlińskiego piernika.

Fot. Archiwum autorki, Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Dlaczego węch?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Arystoteles w książce „Historia Animalium” zanotował niezwykle spostrzeżenia: „Ryby posiadają słuch. [...] Podobnie rzecz się ma z węchem. Olbrzymia większość ryb nie chce tknąć przynęty, która nie jest świeża. [...] I tak, niektóre ryby idą za przynętami o wstrętnym zapachu, np. salpa za ekskrementami. [...] Ogólnie mówiąc, wszystkie ryby szczególnie wabi zapach pieczonego mięsa”. Twórca „Etyki nikomachejskiej” nie pisał o błahych sprawach. Mimo że IV w. p.n.e. był momentem, kiedy przed przyrodą było jeszcze ponad tysiąc lat oczekiwania na to, aby ludzkość dojrzała do jej badania, to grecki filozof już wiele mechanizmów świata przyrody dostrzegł. Rolę węchu w ekosystemie nauka odkrywa dopiero teraz.

Dla zwierząt leśnych węch nie jest jedynie pomocą przy orientowaniu się w przestrzeni. Węch, a wraz z nim zapach tworzą skomplikowany system komunikacji. Niedźwiedź ma zmysł powonienia dwa tysiące razy czulszy niż człowiek. Taka sytuacja pociąga konieczność znuansowania zapachowego języka ciała. Zwierzęta mają więc do dyspozycji najrozmaitsze sposoby ekspresji: żbik – specjalne gruczoły potowe przy opuszkach palców, wilk – gruczoł fiolkowy u nasady ogona, tchórz – gruczoły wydzielające śmierdzącą substancję w okolicach odbytu, borsuk – narząd zapachowy ogonowy. Być może nie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, jak niezwykle obraz świata tworzą zwierzęta na podstawie woni. Arystoteles dostrzegał wagę węchu, natomiast inny filozof dyskredytował ten zmysł. Był to Georg Wilhelm Friedrich Hegel, który w „Estetyce” odrzucał powonienie jako istotne narzędzie poznawcze, dużo mniej istotne niż wzrok i słuch. Jeszcze inaczej kwestię tę widział Freud, jak można się domyślić, w mocno rozseksualizowany sposób: „Można by postawić pytanie, czy następująca po przyjęciu postawy pionowej atrofia węchu u człowieka i organiczne stłumienie przyjemności węchowej, które z niej wynika, nie wpłynęło w istotny sposób na podatność człowieka na nerwice?”

Wyjaśniałoby to fakt, że w miarę jak ludzka cywilizacja osiągała coraz wyższy poziom, właśnie seksualność musiała ponieść koszty stłumienia. Od dawna bowiem wiadomo, jak ściśle węch jest związany z instynktem seksualnym w świecie zwierząt” (tł. B. Banasiak). Kiedy więc następnym razem pocujemy miły zapach, wspomnijmy, jak zredukowaną w stosunku do zwierząt mamy możliwość poznania świata węchem i docenimy ich moce poznawcze.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Jak Piekarska w Sejmie

W ciągu 400 lat naszej historii przyjęło się mówić o kimś, kto mówi od rzeczy, gada bzdury, konfabuluje itd., że „zachowuje się jak Piekarski na mękach”. Michał Piekarski, szlachcic sandomierski, 15 listopada 1620 r. usiłował zamordować króla Zygmunta III Wazę. Zaczaił się na niego z czekaniem przed kolegiatą św. Jana w Warszawie na ul. Świętojańskiej. Jedynie lekko ranil króla, został obozwardniony, osądzony i szybko skazany na obcięcie dłoni, którą podniósł na króla, i rozdarcie członków końmi. Wcześniej jednak starano się od niego dowiedzieć, oczywiście niedobrowolnie, czy za zamachem nie stały jakieś wrogie królowi i Polsce siły. To na torturach Piekarski wygadywał niestworzone rzeczy, chcąc zapewne opóźnić egzekucję, i to jego zachowanie stało się źródłem powiedzonka „gada jak Piekarski na mękach”. Pewnym dla niego usprawiedliwieniem mogło być to, że Piekarski już w młodości uważany był za chorego psychicznie.

A historia wciąż dopisuje nowe wydarzenia, rodzą się nowe skojarzenia i powiedzonka. O zachowaniu posła Katarzyny Piekarskiej, która przeszła długą partyjną drogę, poczynając od ROAD, UD, UW, SLD do KO, będzie można mówić – „krzyczała jak Piekarska w Sejmie”. Chodzi oczywiście o debatę sejmową w sprawie przedłużenia stanu wyjątkowego w związku z agresją Białorusi na naszej wschodniej granicy. Dla opozycji debata była dodatkową okazją do bezpardonowego ataku na polski rząd oraz do zmanifestowania wiernopoddańczej lojalności wobec Donalda Tuska, nazywanego w niemieckich mediach „Polnischer Oppositionsführer”. Jest to całkiem zrozumiałe, gdyż przewodniczący Tusk z pewnością osobiście będzie układał kolejne listy kandydatów do Sejmu i Senatu. Piekarska ciężko waliła dłonią w sejmową mównicę i przerażonym głosem wyrażającym gniew i strach wrzeszczała: „Gdzie są dzieci z Michałowa?”. To pytanie też już można uznać za powiedzonko wytrych z repertuaru totalnej opozycji. Kryje się w nim oskarżenie PiS o okrutny los, jaki zgotowano dzieciom imigrantów w budynku Straży Granicznej w Michałowie. Ponieważ rodzice dzieci odmówili przyjęcia pomocy prawnej w Polsce, nie wystąpili o azyl polityczny, zostali wraz z dziećmi odwiezieni na granicę, skąd swobodnie i pod kontrolą wrócili do kraju, który udzielił im wiz turystycznych. Część rodzin wraz „z dziećmi z Michałowa” znalazła się już w Niemczech i udziela wywiadów, ale to w niczym nie osłabia wciąż zawieszonoego w powietrzu złowrogiego krzyku Piekarskiej, który przez to stał się zbiorowym

krzykiem całej opozycji. Chytre, niby pełne dramatu i empatii pytanie opozycji „Gdzie są dzieci z Michałowa?” żyje własnym życiem i obrasta w niewyobrażalne konfabulacje. Organizowane są marsze, manifestacje, protesty, pisane są petycje do UE, wszystko „w trosce” o dzieci z Michałowa. Na czele frontu dezinformacji i walki z polskim rządem stoi oczywiście „Gazeta Wyborcza”. Jej tragiczny dodatek „Wysokie Obcasy”, piórem redaktor Anny Dryjańskiej pyta: „Czy dzieci z Michałowa mają jeszcze rodziców? Czy leżą pod ziemią i liśćmi w bezimiennych grobach?”. A o PiS, zgodnie z pokrętną logiką tego środowiska: „Na trupach rosną słupki poparcia”. Histeria opozycji, krzyk Piekarskiej niesie się w kierunku oskarżeń rządu o mord na dzieciach z Michałowa.

Wtórzy mu niedouczony, ale sprawny ideologicznie i propagandowo profesor literaturoznawca Jacek Leociak z Instytutu Badań Literackich PAN. To, co dzieje się na polsko-białoruskiej granicy, nazywa Holokaustem. Już wcześniej posłanka Klaudia Jachira, osoba bez najmniejszego śladu polskiego kodu kulturowego, sztydziła z pracy polskich służb granicznych: „Polacy tak pomagają uchodźcom jak kiedyś Żydom”.

To jakby kontynuacja myślenia równie niedouczonej i zaślepionej nienawiścią do wszystkiego co polskie reżyser Agnieszki Holland, która żołnierzy straży granicznej przyrównuje do strażników muru berlińskiego. Z kolei białostocki „Michnikoid”, kolejny pseudoredaktor Maciej Chładowski przekazuje swoim czytelnikom wszystko to, co nakłamię o Polsce prasa białoruska.

Nie można wierzyć w ani jedno słowo wszystkim tego typu Piekarskim. Tym bardziej że to, co mówią, nie jest niczym wymuszone, nie mówią tego „na mękach”. Tacy po prostu są. Żeby utrzymać się w polskiej polityce, muszą zgodnie z zaleceniem Palikota nieustannie kłamać, gdyż mówieniem prawdy nie powiększą swojego elektoratu. Jedynie kłamiąc i podsycając nienawiść do obecnej władzy, mogą utrzymać swój liczący 25–30 proc. elektorat. Ich prawdziwy stosunek do dzieci, takich jak te z Michałowa, to nie troska o ich los, ale żądanie powszechnej aborcji na życzenie i na koszt podatnika, dostępna szeroka eutanazja, adopcja dzieci przez pary homoseksualne, powszechna ideologizacja dzieci i młodzieży pod hasłami równości LGBT, legalizacja narkotyków i... Polska słaba, bez żadnych norm etycznych i moralnych. Ich treścią jest nihilizm. Powszechna nicość.

www.wojciechreszczyński.pl



Ale smalec

Jest taki stary dowcip. Pani pyta dzieci w klasie, co mamy z gęsi? Zgłasza się Jasio i odpowiada, że smalec. W wersji mówionej dowcipu Jasio sepleni. Pani nie daje za wygraną i pyta, co jeszcze mam z gęsi? Jasiu konsekwentnie, że smalec. No to pani naprowadza go na trop, pytając, czym on się okrywa na noc? Jasiu, że pierzyną. A co jest w pierzynie? – ciągnie pani. Jasiu odpowiada, że pióra. No to uradowana pani powtarza pytanie: – No to co mamy z gęsi, Jasiu? – Smalec – spokojnie odpowiada Jasiu.

Tak też odbieram dyskusję o naszej sytuacji na wschodniej granicy. Wszyscy i wszędzie, w każdym programie od prawa do lewa dają wyraz przekonaniu, że to prowokacja putinowsko-lukaszenkowska, że to element wojny hybrydowej, że granic trzeba strzec, bo to granice żywej Polski i trupa Unii Europejskiej (a właściwie europejskiego zombi), ale... No właśnie, po tym „ale” włącza się wyuczona na pamięć mantra „humanitaryzmu” i już szczelność granic jest daleko mniej ważna niż kanapki dla imigrantów. Po prostu – smalec.

Można zwariować, gdy się słyszy, że musimy granic strzec jak oka w głowie, ale wpuszczać każdego, kto zechce, że trzeba się bronić przed białoruską inwazją przybyszów z Azji i Afryki, „ale” pozwalać przechodzić do Polski w dowolnym miejscu pasa granicznego albo stworzyć (to pomysł Poncyłjusza) „korytarz humanitarny”, chociaż dociskany przez dziennikarza poseł nie był w stanie wydukać, dokąd ma prowadzić ów korytarz. Zapewne odpowiedź byłaby tak samo głupia, jak sam pomysł. Czyli jeden wielki, uparty, idiotyczny „smalec”. Czyli bronić granic, „ale” ich nie bronić.

To „ale” nas prześladowa w wielu sferach życia. Widać to u niezłomnych obrońców Kościoła. Zatroškany Smarzewski kręci filmy, aby bronić Kościoła i oddać hołd dobrym kapłanom, Terlikowski lata jak z pieprzem do TVN z tego samego powodu, Gajos w specjalnym klipie oświadcza, że „Kler” nie jest przeciwko Kościołowi, a on sam przyjaźnił się przecież z bp. Pieronkiem, Kolenda-Zaleska z zatroškana miną wprost do kamer martwi się, czy papież Franciszek w ramach wizyty biskupów polskich ad liminas nie zapomni powiedzieć im tego, co powiedziała hierarchom pełna troski i katolików Zaleska. Tusk chce zdejmowania krzyży w szkołach, „ale” jest katolikiem i „przekreśla chleb”. To ostatnie to cytaty z pewnego tumana tefalenowskiego, który (za każdym razem deklarujący,



**Aleksander
Nalaskowski**

*Można zwariować, gdy się
słyszy, że musimy granic strzec
jak oka w głowie, ale wpuszczać
każdego, kto zechce*

że jest ateistą) uznał, że ks. Kazimierz Sowa to dla niego ideał kapłana... apolitycznego. Nitras z miłości do katolików chce ich pilować, a Sekielski chce oczyścić Kościół, bo go przecież bardzo kocha i nie wątpię, że w październiku codziennie odmawia różaniec. Czyli Kościół jest w porządku i należy go chronić przed nim samym, co robią właśnie Biedroń, Zandberg czy nade wszystko Michnik. „Ale” też Kościół musi zaprzestać nauczania, nie wolno mu odnosić Ewangelii do czasów współczesnych, nie powinien epatować dzieci okrutnym widokiem Ukrzyżowanego, nie powinien odmawiać homoseksualistom ślubów etc. Ma być Kościołem, „ale” tak jakby nie był. Pyszny smalec?

Doskonałym przykładem „ale” stał się ostatnio Adam Ferency. Gdzieś tam na spotkaniu publicznym uchlał się i bełkotał coś o Kaczyńskim. Było z tego coś dobrego, bo patologiczny antypisizm dostał wreszcie adekwatną twarz – to twarz obłędnego pijanego Ferencgo. W wywiadzie komentującym ten skandal aktor przyznał, że było to niewłaściwe, „ale” on tak nie znosi PiS, że musi się kurować wódą.

Czyli oczywiście spotkanie z publicznością po pijaku jest naganne, „ale” gdy robi to Ferency, to jest dobre. Prawda, że tłusty smalec z gęsi?

Niedawno odwiedziłem II Liceum Ogólnokształcące w Gorzowie Wielkopolskim, który jak sama nazwa to wskazuje, leży w sercu ziemi lubuskiej. Ja, stary doświadczony belfer, wiedzący o szkole wszystko, już niemal lądujący na lotnisku Emerytura, nie mogłem się nadziwić młodzieży, którą tam spotkałem. Kulturalne, elokwentne, taktowne i niezwykle dzieciaki. Nieskazoane pychą i zepsuciem metropolii. Widać to chociażby po stroju, fryzurach, sposobie mówienia, manierach. Potrafiły zadawać mądre pytania, słuchać bez zniecierpliwienia (część zapewne tylko z grzeczności) i były takie niewinne – w najlepszym tego słowa znaczeniu. Pytałem siebie: „To jest jeszcze taka młodzież?”. Serce drży ze strachu, że mogą trafić na jakieś lewackie uczelnie, gdzie im pokażą, jak się zachowuje i co myśli Europolak. Gdybym miał dzieci w wieku szkolnym, tobym dał do tamtej szkoły (bo ma internet), aby jadły w szkolnej stołówce (dosłownej i metaforycznej), bo tam na pewno nie serwują gęsięgo smalcu. Wiem też doskonale, że to, co widziałem, to wierzchołek góry lodowej. Pod powierzchnią kryje się ogromna praca całego zespołu z mądrym szefem na czele. I chociażbym chciał, nigdzie tu nie umiem wcisnąć żadnego „ale”.



JAN POSPIESZAŃSKI

Wyznawcy, ideolodzy i cenzorzy

Sposób zerwania umowy jest banalny i dobrze znany. Należę do pokolenia, które pamięta ten mechanizm

Pamiętacie historię drukarza z Łodzi? Zakład poligraficzny odmówił wyprodukowania roll-upu z treściami promującymi subkulturę gejowską. Zamawiający, działacze LGBT, podali go do sądu i zrobili awanturę na całą Europę. Proces toczył się pięć lat. Był umarzany i wznawiany. Zajmowały się nim kolejne instancje, trafił do Sądu Najwyższego. Aktywistów wspierał pracowicie rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Prokurator generalny wnioskował, by Trybunał Konstytucyjny zbadał zgodność art. 138 Kodeksu wykroczeń z ustawą zasadniczą, a działacze homoseksualni reprezentowani przez Kampanię przeciw Homofobii próbowali nawet skierować pytanie prejudycjalne do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Sędziowie i adwokaci roztrząsali skomplikowane relacje, jakie zachodzą między prawem niedyskryminacji a wolnością gospodarczą, klauzulą sumienia a równym traktowaniem podmiotów itp. Jakkolwiek byśmy próbowali ubrać to w formuły prawne, źródłem napięcia są nieusuwalne różnice światopoglądowe, czyli coś, co stanowi jądro ludzkiej tożsamości.

Od kilku dni śledzę podobną sprawę i choć przyczyną sporu też jest odmowa świadczenia usługi biznesowej,

pozornie na tym kończą się podobieństwa. Ale tylko pozornie. Instytut Promowania Zdrowia już po raz dziesiąty organizuje Targi Umiejętności Dbania o Zdrowie, których częścią są prelekcje, wykłady i prezentacje. Tegoroczne hasło konferencji brzmi: „Czego lekarz ci nie powie”. Impreza cieszy się powodzeniem nie tylko wśród zwolenników medycyny naturalnej i żywności ekologicznej. Ma charakter handlowy, promocyjny i popularyzatorski. Zainteresowanie tematyką i wystawianymi produktami, stale rosnąca liczba wystawców i uczestników sprawiły, że od trzech lat organizatorzy wynajmują hale Międzynarodowych Targów Poznańskich. Tak miało być w tym roku, ale nie będzie.

Zaczęło się banalnie, od... donosu. Szef Wielkopolskiej Izby Lekarskiej Artur de Rosier napisał listy do prezydenta Jacka Jaśkowiaka i prezesa Międzynarodowych Targów Poznańskich, wyrażając „głęboki sprzeciw” wobec zaplanowanej w obiektach Targów konferencji. W liście lekarz de Rosier uznał, że sam tytuł konferencji: „Czego lekarz ci nie powie”, podważa zaufanie do medycyny. Alarmuje, że wydarzenie zaplanowano w sąsiedztwie największego w Poznaniu punktu szczepień, tuż obok szpitala tymczasowego „gdzie trwała i prawdopodobnie będzie trwać heroiczna walka o życie pacjentów”. Na dwa tygodnie przed planowaną imprezą organizatorzy dostali pismo od zarządu MTP, że wypowiedziano im umowę w trybie natychmiastowym. Zarząd Targów powołał się na opinie ekspertów, którzy twierdzą,

że „program Konferencji i dobór prelegentów Konferencji jednoznacznie wskazują na kwestionowanie istnienia pandemii COVID-19 i podważają zasadność szczepień”. Szczególną rolę w całej sprawie odgrywa prezydent Jaśkowiak (pozujący często do zdjęć w podkoszulce z napisem „Poznań miasto wolności”), który naciska na zarząd MPT, by zablokować imprezę, a lokalny dodatek „Gazety Wyborczej” zestawiał prelegentów zablokowanej konferencji z atakami i podpaleniami punktów szczepień.

Sposób zerwania umowy jest banalny i dobrze znany. Należę do pokolenia, które pamięta ten mechanizm. Ostatnio doświadczył tego Rafał Ziemkiewicz na lotnisku w Londynie. Izba lekarska wysłała donos, następnie tylko z powodu podejrzenia, że mogą być głoszone jakieś treści, które ktoś (kto?!), uznał za antyspołeczne i szkodliwe, należy zastosować cenzurę prewencyjną, czyli wyprzedzająco zablokować, zakneblować, odwołać, nie wpuścić, zerwać umowę. I tu dochodzimy do kwestii światopoglądu. Wobec wielości badań naukowych podważających jedynie słuszną narrację dotyczącą pandemii COVID-19, kwestionujących stosowanie restrykcyjnych obostrzeń, a także wobec statystyk pokazujących rosnące liczby zakażeń ludzi w pełni zaszczepionych, wypieranie tych informacji i sekciarska niechęć do wszystkiego, co niezgodne z naszym dogmatem, widoczne w postawach prezydenta Jaśkowiaka, izby lekarskiej i zarządu MTP, mają wszystkie cechy wyznania lub ideologii.

Sędziowskie Diamenty

Krakowska para sędziów – Beata Morawiec i Waldemar Żurek – nagrodzona najwyższym laurem branżowym. W Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku w drugi weekend października kilka fundacji i stowarzyszeń różnych zawodów prawniczych zorganizowało Krajową Konferencję Polskich Sędziów Patriotów pod hasłem: „Europa patrzy na nas”. Współorganizator konferencji, gdański ratusz, zaproponował rozszerzenie hasła o dopisek „i Niemcy”. Wniosek prezydent Gdańska Aleksandry Dulkiewicz popierał gorąco były szef MSZ Radosław Sikorski. Jednakże zaproszeni goście – m.in. prof. Marcin Matczak i prof. Wojciech Sadurski, którzy prowadzili dwie główne dyskusje panelowe – przekonali sekretariat konferencji, że to zakłóci centralny wątek.

Jednym z najważniejszych punktów konferencji był wybór laureata tradycyjnej już, dorocznej nagrody Diamentowa Temida, przyznawanej najbardziej zasłużonym sędziom. Za rok 2021 wobec bogactwa kandydatów i wybitnych osiągnięć dwojga sędziów wyjątkowo przyznano jednocześnie dwie



**Jerzy
Jachowicz**

drogocenne statuetki. W poprzednich latach zdarzało się, że dokonywany przez samych sędziów wybór nagrodzonych budził niekiedy kontrowersje. Aby temu zapobiec, w tym roku postanowiono skompletować kapitułę spoza środowiska prawniczego, składającą się z osób publicznych, znanych z bezstronności i godnych najwyższego zaufania.

Oto jej skład: Krystyna Janda, Magda Umer, Andrzej Seweryn, Maria Seweryn, Michał Bajor, Olgierd Łukaszewicz, Emilia Krakowska, Grzegorz Warchoń, Radosław Pazura, Leszek Miller i jego żona, Mariusz Walter, Katarzyna Kieli – prezes i dyrektor zarządzający Discovery, Zbigniew Grycan – polski przedsiębiorca pochodzący z rodziny o długiej tradycji cukierniczej, oraz jego żona Elżbieta, Mariola Bojarska-Ferenc wraz z mężem – celebrytka, swego czasu prekursorka zdrowego stylu życia, dr Irena Eris, zajmująca się produkcją kosmetyków, oraz jej mąż Henryk Orfinger.

Zaszczytną funkcję przewodniczącego kapituły pełnił powszechnie znany i lubiany rektor Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego prof. Zbigniew Gaciong.

REKLAMA

**Jedna
perfekcyjnie
DOPASOWANA
RATA**

**60 dni
bez rat**



provizji

RRSO tylko 6,22%

	60 miesięcznych rat	84 miesięczne raty	119 miesięcznych rat
10 000 zł	194 zł	147 zł	112 zł
25 000 zł	484 zł	366 zł	280 zł
50 000 zł	967 zł	731 zł	559 zł
80 000 zł	1547 zł	1169 zł	894 zł

KASA STEFCZYKA

Zawsze u siebie

**kasastefczyka.pl
801 600 100**

(koszt wg taryfy operatora)

Pożyczka Fit umożliwia konsolidację zobowiązań zaciągniętych wyłącznie w innych instytucjach finansowych. Maksymalna kwota pożyczki, o którą zawnioskujesz bez wychodzenia z domu, wynosi 100 tys. złotych. Pożyczka Fit bez wychodzenia z domu dostępna jedynie dla Klientów Kasy Stefczyka. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej. Koszt połączenia wg taryfy operatora. Pożyczka Fit to najtańszy kredyt konsolidacyjny wg rankingu serwisu www.17bankow.com, stan na marzec 2021 r. 60 dni bez rat dotyczy możliwości odroczenia spłaty pierwszej raty.

Przykład reprezentatywny z dnia 26.02.2021 r. dla Pożyczki Fit: Całkowita kwota kredytu wynosi 78 840 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (provizją: 0 zł, opłatą za dwa przelewy: 160 zł) wynosi 6%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 6,22%. Czas obowiązywania umowy – 107 miesięcy, 106 miesięcznych rat równych: 955,05 zł oraz ostatnia, 107. rata: 954,76 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 102 190,06 zł, w tym odsetki: 23 190,06 zł.

Rysuje Jerzy **Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Sztabka do sztabki

Czasy zrobiły się rozchylane i mała stabilizacja wydaje się zagrożona, ale...

Czy w obecnej Polsce żyje się gorzej niż w poprzednich latach? Pewnie jednym tak, innym nie, ale generalnie, jak na czas pandemiczny, katastrofy nie ma. Nawet można mó-

wić o cudzie gospodarczym. Z jednej strony rosną ceny i inflacja, ale z drugiej mamy coraz więcej złota. To znaczy nie każdy ma zakopane w słoiku, tylko tak wspólnie mamy więcej w skarbcu Narodowego Banku Polskiego. Niezwykłe intrygująca była wypowiedź prezesa tejże instytucji: „Do nas przychodzi cały świat i chce od nas pożyczać”. Wiadomo, co pożyczać. Pieniądze. Te same, o których minister finansów PO mówił: „Pieniądzy ni ma i ni bendzie”. A tu patrzaj no ty, są. Inny fragment wypowiedzi szefa NBP też brzmi zaskakująco: „My bez środków unijnych, którymi się nas teraz szantażuje, jesteśmy sobie w stanie doskonale zapewnić dynamiczny rozwój”. Do tego pan prezes zapowiedział zakup kolejnych 100 ton złota w charakterze rezerw. A mamy już ponad 228 ton.

Za czasów Platformy rządzący też postavili na złoto. Wspierali Amber Gold. Nie dość, że to złoto było teoretyczne, to jeszcze zniknęło. Co za pech. I to tak skutecznie, że nawet komisja śledcza nic nie dała. Platforma cały czas przedstawia się jako środowisko fachowców od gospodarki. Tęgie głowy, tylko za ich czasów zawsze wypadł jakiś kryzys, a miliardy z VAT parowały w sposób niepojętym. Ostatnio cudowne dziecko platformianych finansów, niefortunnie dorabiające na Ukrainie, podarowało samochód straży granicznej. Może nie bezpośrednio, ale gest się liczy.



Ryszard Makowski

Michał Korsun prezentuje:
Franek „Niemądry Człowiek” Sterczewski



Wycinki z przeszłości

Stanął tam po raz pierwszy w lipcu 1910 roku. Był darem najslawniejszego w świecie Polaka swych czasów – Ignacego Paderewskiego – dla miasta Krakowa z okazji 500. rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem – opisywał „Przekrój” w październiku 1976 r. krakowski pomnik Grunwaldzki. Dlaczego w październiku? Bo właśnie wtedy pomnik króla Władysława Jagiełły wrócił na swoje miejsce, zburzony w 1939 r. przez zbrodniarzy niemieckich. Monument odsłonięto w rocznicę bitwy pod Lenino 12 października, był to wówczas Dzień Wojska Polskiego.

„Przekrój” opisywał też transport pomnika helikopterami. Najpierw przetransportowano elementy z huty gliwickiej na krakowskie Błonia. Wreszcie, wieńcząc operację, podczepiono do śmigłowca na 11-metrowej linie 4,5-tonowy posąg króla Jagiełły. W ten sposób precyzyjnie trafił na cokół.

Trudno sobie dziś bez niego wyobrazić Kraków.

I tak dwukrotnie Polacy stawiali swój pomnik, zawsze za własne pieniądze. Ci, którzy zniszczyli go, do dziś nie poczuwają się do zadośćuczynienia. Za nic.

(mk)



Leszek **Długosz**

Przed koncertem

(Konkursowiczom
 w Warszawie
 w październiku 2021 r.)

*Twarz dłonią zasłoniwszy
 Pomyślał:
 – O mnie ta muzyka...
 – Dopiero wtedy koncert jest
 uprawniony*

*Dobrze jest chwilę pomilczeć
 przed koncertem*

Ma siłę

*Potem westchnąwszy
 – W myślach usłyszeć:
 – W górę podnieście strop,
 cieśle!*

*Dobrze jest pomilczeć
 przed koncertem chwilę...
 – Jak nurek zanim
 w głębię skoczy*

*Koncert to nie jest tylko
 popis sprawnej ręki
 Galop olśniewający
 wirtuozerii*

*Na progu stoisz
 Haust powietrza wzięwszy
 Wszak umiem – jeszcze się
 utwierdzasz*

*I nawet kryształ – sławny
 „ton błękitny”*

*O więcej przecież pytasz
 – Czy powinienem?*

*Niechby się dobywał
 z fortepianu*

*Jaki jest powód
 Jeszcze dzisiaj?
 Ty inwestorze – serce moje
 Znasz odpowiedź?*

*To jeszcze mało
 – Oczarowanie?
 Ono już bezszelestnie*

*Tam w rzędach
 – Publiczność też
 Czujniki serc swych stroi...
 Na miłość boską i na
 każdą inną ziemską*

*rozeszło
 Esemesy wśród widowni...
 Ale poważnie
 – Coś więcej musi się
 wydarzyć*

Jeszcze ten raz...

*– Choć moment
 Chwila choć prawdy takiej
 – Przed wszystkim
 i nade wszystko*

*czaczynajmy!
 – W górę podnieście strop,
 cieśle!*

*Żeby ktoś Drugi
 z naprzeciwka*

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZ

Presja bez sensu

Gdy przeczytałam rzeczony apel, pomyślałam sobie: co te podpisane pod apelem osoby wiedzą o uchodźcach, o ochronie granic unijnych czy o przepisach regulujących migrację?



DEZ/INFORMACJA

W mediach wokół hasła „kryzys humanitarny” zgiełk informacyjny. Rozczarowuje wywiad z Piotrem Skrzypczakiem dla „Więzi” (1 października). Skrzypczak jest założycielem Stowarzyszenia „Homo Faber” wchodzącego w skład Grupy Granica. Jeździ na granicę i pomaga uchodźcom. Pod koniec rozmowy radzi, by obywatele szukali rzetelnych informacji. Między innymi, by uświadomić sobie, „że pierwszy raz w historii Polski po upadku komunizmu tak brutalnie i masowo naruszane są prawa człowieka i giną ludzie” i by naciskać polityków, bo „presja ma sens”.

A jaką wiedzę sam przekazuje czytelnikowi? Podaje niepokojącą informację: „Odnotowaliśmy już kilka pierwszych przypadków śmierci. Uchodźcy, z którymi rozmawiamy, mówią, że w lasach są masowe groby. Całych grup, które tak długo wędrowały, że w końcu umarły z wycieńczenia. Nie trafiliśmy jeszcze na takie przypadki, być może dlatego, że najwięcej ludzi jest w strefie, do której nie możemy wejść”.

Niezweryfikowaną informację o masowych grobach Skrzypczak za pomocą „Więzi” puszcza w obieg. Stawia także poważny zarzut państwu: „Doszliśmy do sytuacji, że nagle jakiś żołnierz decyduje o tym, czy danej osobie należy się ochrona, czy nie. [...] Polska przestała stosować obowiązujące prawo, doprowadzając do katastrofy humanitarnej”. Czytając coś takiego, czujemy zbulwersowanie, prawda? Szkoda, że aktywista nie mówi, jak podobne kryzysy rozwiązywane są we Włoszech lub w Grecji. W tle dziesiątki spraw co do których brak jasności. Oto pole do spokojnej pracy. Zamiast pustej presji.

Katarzyna Zybertowicz

Tak się składa, że 10 lat temu wydałam książkę zatytułowaną: „Nieobecne wyzwanie? Integracja jako zadanie polityki społecznej wobec cudzoziemców w Polsce po 1989 roku” (Toruń, UMK 2011). Gdy czytam takie pompatyczne, a jednocześnie w istocie puste postulaty, to trudno uwierzyć, że to coś więcej niż populistyczny trik. Nawet gdy podpisują apel postaci znamienite, jak w tym przypadku.

HUMANITARYZM I INTERESY

Zjawisko migracji jest stare jak świat, lecz jednocześnie należy do tych obszarów ludzkiego życia, którymi nie jest prosto zarządzać przez jego uwikłanie w liczne konteksty polityczno-gospodarcze. Choć od czasu wydania wspomnianej książki wiele w geopolityce się zmieniło, to w obszarze polityk migracyjnych kryzys wciąż goni kryzys.

Gdy przeczytałam rzeczony apel, pomyślałam sobie: co te podpisane pod apelem osoby wiedzą o uchodźcach, o ochronie granic unijnych czy wreszcie o przepisach regulujących migrację? A zwłaszcza o stosowanej w Unii (także za czasów Angeli Merkel!) praktyce push-back i np. stanowisku Włoch lub Grecji wobec tej zasady?

Już samo ogarnięcie całości regulacji prawnych jest trudne dla wielu badaczy migracji, a co dopiero ma powiedzieć laik. A ile w przepisach prawnych nieśpójności i... hipokryzji. Czy to dziwne? Wszak regulacje ruchów migracyjnych tworzone w aurze humanitaryzmu podlegają jednak ciśnieniu interesów państw oraz presji międzynarodowych korporacji, np. domagających się dopływu świeżej siły roboczej. Kimże jest uchodźca w grach moźnych tego świata?

Miało być o czymś innym. Szykuję się do pisania, gdy radiowa Dwójka podaje, że dziś (6 października) o godz. 12.00 przedstawiciele środowisk kultury w Polsce oraz Grupy Granica wyjdą przed swoje siedziby i odczytają apel w sprawie uchodźców. Tekst apelu już od paru dni jest w sieci z podpisaniami znanych artystów.

POPULIZM

Taka moda, że niezależnie od tematyki i zawłości problemu jakaś część środowisk artystycznych obsadza się w roli ekspertów i arbitrów, a nawet w roli uniwersalnej busoli moralnej. Wspomnianą petycję zaczynają słowa: „My, niżej podpisani i podpisane, stanowczo przeciwstawiamy się nielegalnym i niehumanitarnym praktykom wywózek osób, szukających w Polsce ochrony międzynarodowej, na granicę i wypychaniu ich przez polską Straż Graniczną na stronę białoruską”. Kończy zaś fraza: „Domagamy się przestrzegania zapisów konwencji genewskiej, a przede wszystkim: ratowania ludzkiego życia”.

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825



DBAMY O BEZPIECZEŃSTWO FINANSOWE POLAKÓW

W zasobach NBP w sumie jest ponad 230 ton złota. To gwarancja wiarygodności i bezpieczeństwa finansowego naszego kraju. Prezes NBP zapowiada zakup kolejnych 100 ton złota w 2022 r.

Realizując nasze konstytucyjne, ustawowe i po prostu patriotyczne zobowiązanie, nie tylko budujemy siłę gospodarczą państwa polskiego, ale też tworzymy rezerwy, które będą strzegły jego bezpieczeństwa finansowego.

Prof. Adam Glapiński, Prezes Narodowego Banku Polskiego

